JACEK KOMUDA O HUSARII
Codzienne troski słynnych skrzydlatych jeźdźców

IMPERIUM AUGUSTA
Jak spadkobierca Cezara został pierwszym cesarzem

CZARNA SERIA MOSADU
Incydent w Lillehammer uruchomił kaskadę fatalnych dla Izraela zdarzeń

NR 7(137)/2024 LIPIEC 2024

CENA 12,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

Sekrety niezwyciężonej kawalerii

CHWAŁA HUSARII!

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515 Nr indeksu 296 031

REPUBLIKA

Ostre rozmowy Miłosza Kłeczka ze znanymi politykami
o najważniejszych sprawach dotyczących Polski.
Wszystko W RUCHU, podczas aktywnego uprawiania sportu



RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

Telewizję Republika oglądać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz w lokalnych multipleksach naziemnych MUX w: Katowicach, Warszawie, Trójmieście, Wrocławiu, Częstochowie, Tomaszowie Mazowieckim, Jeleniej Górze, Legnicy, Głogowie, na Śląsku i w części woj. opolskiego i małopolskiego. Aktualna lista MUX dostępna jest na serwisie www.tvrepublika.pl – gdzie także obejrzysz TV Republika na żywo. Wszystkie programy znajdziesz na kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

eprasa.pl 95c197360b

ADRES:
HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**
Redaktorzy: **Tomasz Stańczyk, Anna Szczepańska**

STUDIO GRAFICZNE:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

KOREKTA: Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska

OKŁADKA: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL
redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA:
Orle Pióro SA
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

spółka notowana na GPW
PMPG POLSKIE MEDIA SA

ZARZĄD PMPG POLSKIE MEDIA SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

ZARZĄD ORLE PIÓRO SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA
Adam Borzęcki
a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631
Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl
https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna)
tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl
www.kolporter.com.pl
Garmond, tel.: +48 (12) 422 14 85
e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o., tel.: +48 (22) 649 41 61
www.glm.pl
Poczta Polska
https://prenumerata.poczta-polska.pl/

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, 17 września 1933 r.

Parada przed pomnikiem Jana III Sobieskiego w 250. rocznicę odsieczy wiedeńskiej



FOT. NAC

Od redaktora

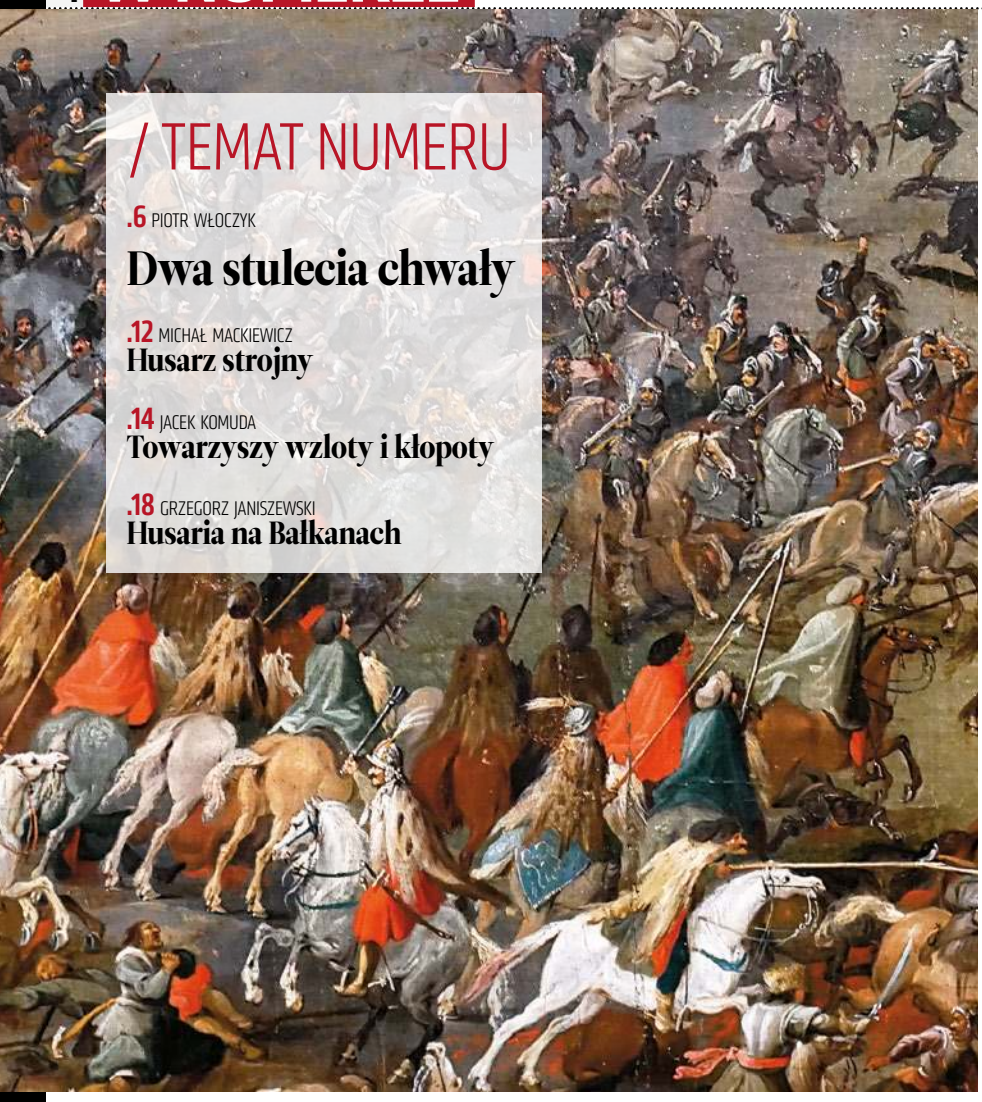


Piotr Włoczyk

Pancerna pięść Rzeczypospolitej

Kłuszyn 1610, Chocim 1673, Wiedeń 1683. Największe zwycięstwa Rzeczypospolitej Obojga Narodów były możliwe dzięki szarżom legendarnych skrzydlatych jeźdźców. Żadna inna kawaleria nie mogła się mierzyć z naszą husarią. Nikt inny nie posiadał tak potężnej konnicy, która w galopie potrafiła zmiatać całe szeregi wrogów. Husarzom nie byli straszni ani ciężcy kirasjerzy, ani piechota wyposażona w piki. Długie kopie naszych jeźdźców sięgały dalej niż broń innych kawalerzystów, a wyszkolenie husarii było wręcz legendarne. A gdy trzeba było, to – jak choćby pod Hodowem w 1694 r. – husarze wraz z pancernymi potrafili odeprzeć wielokrotnie silniejszego wroga (w tym konkretnym przypadku być może nawet 50-krotnie silniejszego) bez pomocy koni – na piechotę, walcząc za pomocą pistoletów i szabli. Co sprawiało, że ta kawaleria miała tak niesamowite morale i etos, przez co nasi sąsiedzi nie byli w stanie skopiować husarii? Dlaczego husarze byli gotowi przetracić majątek, byleby tylko móc służyć w tej formacji? Jakie były ich największe bolączki i dlaczego ostatecznie husaria straciła swój blask i zginęła wraz z całą Rzecząpospolitą? Na te pytania odpowiadają na naszych łamach dwaj świetni znawcy tematu: Kuba Pokojski i Jacek Komuda. Obaj autorzy są też husarskimi praktykami, którzy doskonale wiedzą, jak wygląda świat z perspektywy szarżującego z kopią skrzydlatego jeźdźca. – Husaria mogła jeszcze spokojnie królować na polach walki przez kolejne 100–150 lat – mówi w wywiadzie Kuba Pokojski. Przez ponad dwa stulecia ci elitarni kawalerzyści zapewniali Rzeczypospolitej potęgę, zadziwiając jej wrogów. Przenieśmy się więc do świata husarskiej chwały, której legendą żyją kolejne pokolenia Polaków. ©℗

eprasa.pl 95c197360b



/ TEMAT NUMERU

.6 PIOTR WŁOCZYK
Dwa stulecia chwały

.12 MICHAŁ MACKIEWICZ
Husarz strojny

.14 JACEK KOMUDA
Towarzyszy wzloty i kłopoty

.18 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Husaria na Bałkanach

/ CZASY I LUDZIE

.22 PIOTR WŁOCZYK
Horror „Hanoi Hilton”

.26 JAKUB OSTROMĘCKI
Tesle belle époque

.30 TOMASZ STAŃCZYK
Bunt Spytka z Melsztyna

.34 MIKOŁAJ IWANOW
Armia i ona

.38 SŁAWOMIR KOPER
Granice Augusta

.42 MAREK GAŁĘZOWSKI
Kultura zepchnięta w podziemie

.46 ŁUKASZ CZARNECKI
Afgańska klęska imperium brytyjskiego

.50 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Sny o Wielkiej Holandii

.56 PIOTR WŁOCZYK
„Specjalsi” Sikorskiego

.58 TADEUSZ M. PŁUŻAŃSKI
Kaźń cichociemnego

.61 PIOTR SEMKA
Samotny wilk Biermann

/ CO CZYTAĆ

.64 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Wróg tych chamów

.68 RECENZJE

/ FELIETONY

.66 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Z dziejów kancelu i szejmingu w Polsce

.69 PIOTR SEMKA
Śmierć wieje z Polski

/ BATALIE I WODZOWIE

.74 ANNA SZCZEPAŃSKA
Cesarz spod Złotej Bramy

/ TECHNIKA

.78 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Rewolucja 1885 r.

/ POD PRĄD

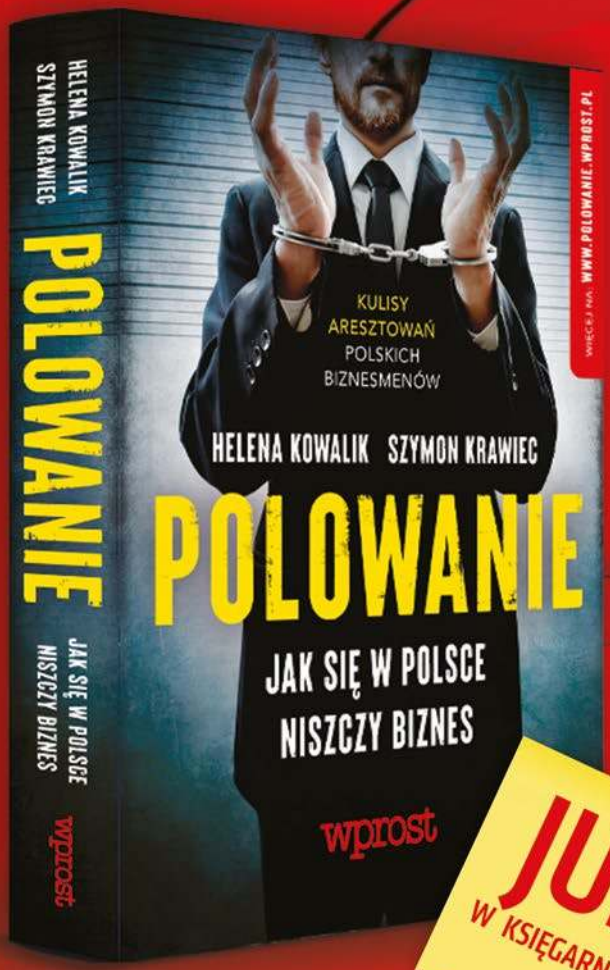
.80 PIOTR ZYCHOWICZ
Czternaście kul Mosadu

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Tułaczka Ordonówny

eprasa.pl 95c197360b

SENSACYJNA, OPARTA NA FAKTACH



KULISY GŁOŚNYCH SPRAW I ARESZTOWAŃ

WSTRZĄSAJĄCE RELACJE

ROZMOWY Z EKSPERTAMI I LUDŹMI Z WYMIARU SPRAWIEDLIWOŚCI

PONAD 500 NAZWISK I FIRM

AUTORAMI SĄ DOŚWIADCZENI DZIENNIKARZE ŚLEDCZY

JUŻ W KSIĘGARNIACH

Bezprawne areszty, popisowe zatrzymania, stawianie zarzutów bez pokrycia w dowodach. Tasiemcowe rozprawy sądowe, prawdziwe historie o twardym zetknięciu się z więziennymi realiami.

Bohaterami tej książki są ludzie sukcesu, rozpoznawalni biznesmeni z pierwszych stron gazet, jedni z najbogatszych Polaków, którzy w jednej chwili znaleźli się w środowisku zupełnie dla siebie obcym, znanym im dotąd jedynie z filmów kryminalnych.

Zamawiając książkę wraz z PDF na stronie

KSIAZKA.WPROST.PL

Otrzymasz gratis praktyczny poradnik stworzony w oparciu o porady adwokatów i osobiste relacje osób zatrzymanych.

W przypadku chęci zakupu większej liczby książek, prosimy o kontakt
+48 539 953 631 , +48 508 040 664



PARTNERZY:

Polska Rada Biznesu · ZPP · WEI · Fundacja Court Watch Polska · Fundacja Pomysł o Przyszłości · Comparic.pl · My Company Polska · Towarzystwa Biznesowe · BRIEF

eprasa.pl 95c197360b

Wywiad / Z Kubą Pokojskim, autorem książki „Wielka Księga Husarii”



rozmawia Piotr Włoczyk

Dwa stulecia chwały

– Morale i wyszkolenie husarza były decydujące. Szarża stu pod Wiedniem nie była przypadkiem – tylko ludzie absolutnie oddani ojczyźnie i hołdujący etosowi rycerskiemu byli w stanie wykonać rozkaz uderzenia na takie morze wrogów – mówi historyk

PIOTR WŁOCZYK: Czy husarze z chorągwi koronnej królewicza Aleksandra przeprowadzili najbardziej niesamowitą szarżę w historii tej formacji?

KUBA POKOJSKI: Jeżeli chodzi o jednostkowy wyczyn husarski, to palmę pierwszeństwa możemy śmiało przyznać husarzom właśnie z chorągwi koronnej królewicza Aleksandra. Ok. 100–110 skrzydlatych jeźdźców wysłanych zostało w – mogłoby się wydawać – samobójczą misję. Mieli oni rozpoznać bojem, czy stoki Kahlenbergu pozwolą na zaszarżowanie ciężką kawalerią. Husarze dostali rozkaz szarży wprost na siły tureckie.

Ilu wrogów mieli wówczas naprzeciw siebie?

Turków mogło być tam już najprawdopodobniej nawet 40–50 tys.

Ależ to musiał być widok...

Jak na filmie Petera Jacksona – szarża Rohirrimów. Garstka husarzy przeciw morzu Turków. Co ciekawe, nasi husarze dotarli aż pod namiot wielkiego wezyra Kary Mustafy. I dopiero tam zostali otoczeni.

Niestety, ale taka sytuacja musiała się skończyć wybiciem kawalerzystów do nogi.

Tak, to się nie mogło inaczej skończyć. Ale to jednak była husaria, więc większość jeźdźców zdołała wrócić i zameldować, że szarża jest wykonalna. Jak na husarię oddział ten poniósł wówczas bardzo ciężkie straty, ponieważ poległo kilkunastu towarzyszy oraz do 30 pocztowych – łącznie było ok. 40 zabitych.

FOT. MICHAŁ TREUTLER

Szarża tej chorągwi była pięknym preludium przed właściwym uderzeniem...

Brali w nim udział prawie wszyscy husarze oraz najprawdopodobniej petyhorcy (lżejsza odmiana husarii), więc ok. 3 tys. kopijników. Do tego atakowały jazda pancerna, lekka, oddziały niemieckie i austriackie, łącznie po stronie chrześcijańskiej walczyło ok. 20 tys. kawalerzystów. W 1683 r. pod Wiedniem miała miejsce największa szarża w historii świata. Wydaje się też, że użycie wówczas 3 tys. kopijników polskich oznaczało, że mogła to również być największa szarża dla husarii. Wynik był jednoznaczny: kawaleria dosłownie wdeptała Turków w ziemię i wjechała na ich karkach do obozu.

Wygląda na to, że rozpoznanie bojem pod Kahlenbergiem nie ma sobie równych, jeżeli chodzi o dysproporcję sił i bohaterstwo husarzy, ale bardzo nierównych starć było w ich wykonaniu dużo więcej...

Tak, husarze właściwie zawsze szarżowali na przeważające siły wroga. Jeżeli chodzi o spektakularne szarże pod kątem dysproporcji sił, to musimy wspomnieć o trzech innych takich wydarzeniach. Pierwszym była szarża 100 husarzy przeprowadzona 3 lipca 1577 r. pod Latarnią na 1180 żołnierzy zaciężnych w służbie gdańskiej. Stosunek 1:12 okazał się niewystarczająco korzystny dla wrogów, ponieważ ci na widok pędzącej husarii po prostu uciekli.

Drugim takim spektakularnym wydarzeniem była szarża 600 husarzy, do której doszło 7 września 1621 r. pod Chocimiem. Rozbili oni 10 tys. Turków (stosunek sił 1:15), nad czym zapłakał następnie sułtan Osman II.

To było uderzenie na samą piechotę?

Turcy dokonali kombinowanego ataku janczarów i spahisów – ciężkiej jazdy – na polskie fortyfikacje. Piętnastokrotnie mniej liczna husaria uderzyła na te siły od boku, rozbijając je.

Trzecia spektakularna szarża miała miejsce 26 września 1660 r. pod Kutyszczami. Około 140 husarzy uderzyło na 700–1000 kirasjerów moskiewskich (ciężkich kawalerzystów) i – po dokonaniu przełamania – rozjechało następnie 1000-2500 Kozaków. Stosunek sił mógł tu więc wynosić nawet 1:25.



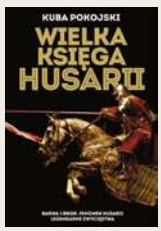
Marcin Altomonte „Bitwa pod Wiedniem”
FOT. MUZEUM PAŁACU W WILANOWIE

Jednak bitwa, w której husarze mieli pod względem dysproporcji sił najtrudniej, wyglądała zupełnie inaczej niż wyżej wymienione...

W 1694 r. pod Hodowem husarze walczyli w sposób spieszony. Biło się tam 400 husarzy i pancernych (lżejsza jazda) przeciw nawet 40 tys. Tatarów (wojowników i czeladzi tarskiej).

Co uratowało husarzy pod Hodowem?

Husarze dobrze przygotowali pozycje obronne, fortyfikując wieś. Z jeden strony osłonięci byli stawem, a resztę wjazdów do wsi zastawili, czym tylko się dało, m.in. kobylicami, płotami, beczkami, stołami, byli też dobrze wyposażeni w broń palną. Tatarzy ostrzeliwali ich z łuków, ale dochodziło też do szturmów, które kawalerzyści odpierali bronią palną i walcząc wręcz. Z uwagi na zabudowania i barykady Tatarzy nie byli w stanie uderzyć w jednym miejscu naraz, ale nie znaczyło to, że obrona była łatwa. Husarze walczyli bez przerwy, a Tatarzy mogli rotować swoje siły.



KUBA POKOJSKI
„WIELKA KSIĘGA HUSARII. BARWA I BROŃ. FENOMEN HUSARII. LEGENDARNE ZWYCIĘSTWA”
FRONDA

W walce poległo ok. 40 husarzy i pancernych.

I jak na husarię były to już bardzo poważne straty, choć musimy też pamiętać, że walka trwała ok. pięciu godzin. Niemal każdy kawalerzysta odniósł jakieś rany. Gdy Tatarzy zrozumieli, że nie mają szans zdobyć Hodowa w boju, spróbowali paktować. Gdy jednak Polacy nie chcieli z nimi rozmawiać, Tatarzy ściągnęli z pola walki zabitych, spalili ich i po prostu odeszli spod Hodowa bez jasyru.

Jak często husarze decydowali o zwycięstwie Rzeczypospolitej?

W zdecydowanej większości bitew to właśnie atak husarii okazywał się kluczowy. W ciągu dwóch stuleci chwały husarii – w wiekach XVI i XVII – bitew przegranych przez tę formację było bardzo niewiele. Nawet jednak gdy husaria brała udział w przegranej bitwie, wcale nie oznaczało to, że powodem klęski była postawa tych kawalerzystów – przecież obok nich w walkach brały też udział inne oddziały.

Husarskie szarże decydowały o zwycięstwach w bitwach, które miały strategiczne znaczenie.

Pod Kircholmem (27 września 1605 r.) armia Rzeczypospolitej, składająca się w większości z husarii, licząca zaledwie ok. 3,7 tys. żołnierzy, rozbiła w pył ok. 11 tys. Szwedów. Przy stratach własnych wynoszących ok. 100 żołnierzy kawalerzyści położyli trupem 9 tys. Szwedów!

eprasa.pl 95c197360b

Potężne szarże czołowe na wielokrotnie liczniejszą piechotę pikiniersko-muszkieterską czy piorunujące szarże na skrzydłach łamiące szwedzką kawalerię zadecydowały o losie tej bitwy i uratowały Rygę.

Pod Kłuszynem – 4 lipca 1610 r. – ok. 2700 żołnierzy polskich pokonało ok. 18 330 żołnierzy moskiewskich i najemników z zachodniej Europy. Husaria, walcząc w trudnych warunkach (zmuszona do atakowania przez wąskie wyrwy w płocie), szarżowała nawet po 8–10 razy na wroga. W tej właśnie bitwie legendarnym wyczynem popisali się husarze dowodzeni przez Andrzeja Firleja – uzbrojeni w kopie czołowo przełamali pikinierów chronionych przez kobylice po wcześniejszej gęstej salwie z muszkietów. W efekcie bitwy polska załoga zajęła Kreml na ponad dwa lata, a polski królewicz Władysław został obrany wielkim księciem moskiewskim.

10–11 listopada 1673 r. pod Chocimiem, gdy zagładzie uległa ponad 30-tysięczna armia turecka, husaria dokonała wielkich czynów. Między innymi uratowała szturmującą tureckie wały własną piechotę przed kontratakiem Turków. Po istnej rzezi uciekających Turków sława zwycięskiego wodza sięgnęła zenitu i utorowała drogę Sobieskiemu do korony.

Co było rolą husarzy?

Ich zasadniczym zadaniem było przełamanie przeciwnika w szarży na wprost z kopiami. Takie uderzenie łamało szeregi wroga i dezorganizowało je. Czasem taka szarża kończyła bitwę, a kiedy indziej po przełamaniu posuwające się za husarzami oddziały kończyły dzieło. Tak wyglądała teoria, jednak życie pisało bardzo różne scenariusze. Zdarzało się, że jeżeli z jakiegoś powodu husarze nie mieli kopii, ponieważ albo nie zostały dostarczone, albo w wyniku intensywności bojów po prostu ich zabrakło, musieli nacierać z szablami czy pałaszami w rękach. Tak było podczas jednej z szarż pod Połonką. Bywały też sytuacje, gdy husarze walczyli bez zbroi. Wtedy mówiło się, że służyli po kozacku. Niekiedy natomiast husarze wybierali się na harce przedbitewne, czyli wykonywali zadania lekkiej kawalerii. Zdarzało się też, choć bardzo rzadko, że husarze walczyli pieszo – jak we wspomnianym już Hodowie.



Rotmistrz. Rysunek Juliusza Kossaka FOT. PAUART, PAN

W swojej książce podaje pan listę 80 takich przypadków, co jest bodaj pierwszym w literaturze przypadkiem zebrania w jednym miejscu takich starć.

Stwierdziłem, że trzeba pozbierać rozproszone informacje na temat walk spieszonych husarzy. Czasem nie było innej opcji i husarze musieli stawać do boju pieszo, gdy np. z powodu braku załogi pełnili służbę na murach. Czasem jednak na ochotnika brali udział w szturmach na zamki.

Patrząc na straty bitewne wśród husarzy, można odnieść wrażenie, że strzały i kule nie imały się ich...

Bardzo niskie straty są bardzo charakterystyczne dla husarii. Można powiedzieć, że jeżeli w wiekach XVI czy XVII chciało się przeżyć na polu walki, trzeba było wstąpić do husarii. Przeciętnie bowiem w szarży chorągiew (licząca ok. 100 jeźdźców) traciła półtora husarza. To, że wysokie straty były w kontekście tej formacji czymś niespotykanym, dobrze ilustruje sytuacja, gdy w 1660 r. pod Słobodyszczami doszło do zepchnięcia chorągwi husarskiej w bagna przez licznych Kozaków. Zginęło wówczas ok. 30 skrzydlatych jeźdźców. Jak to opisywał autor współczesnego źródła, chorągiew była według niego „totaliter rozbita".

Kiedy husaria poniosła największe straty?

Najprawdopodobniej pod Batohem (1652), ale oczywiście nie w trakcie samej bitwy, tylko w wyniku mordów na jeńcach, które zostały dokonane przez Kozaków po ich zwycięstwie. Wyginęła tam prawie cała husaria kwarciana. Najprawdopodobniej ponad 1 tys. husarzy zostało wtedy zamordowanych.

Bardzo wysokie straty poniosła też wczesna husaria w bitwie nad Seretem (1538), gdy ok. 1,8 tys. kawalerzystów, głównie husarzy, nie dało rady być może nawet 20 tys. Mołdawianom. Walki toczyły się na oblodzonych stokach nad rzeką i w ich trakcie zginęło być może aż 800 husarzy.

Co tak naprawdę stanowiło o fenomenie husarii i jej skuteczności?

Przede wszystkim doskonały dobór ludzi. Morale i wyszkolenie husarza były decydujące. Szarża stu pod Wiedniem nie była przypadkiem – tylko ludzie absolutnie oddani ojczyźnie i hołdujący etosowi rycerskiemu byli w stanie wykonać rozkaz uderzenia na takie morze wrogów.

Samuel Leszczyński pięknie podsumował to, opisując udział husarii w bitwie pod Kutyszczami: „Tam wszystko towarzystwo ojczyzny miłością pałające do boju szli z wielką radością. Zarobiłeś Wilczkowski nieśmiertelną sławę" (Wilczkowski dowodził wtedy szarżą).

Swoje robiły też doskonałe konie – wytrzymałe, potężne, świetnie wyszkolone, ale przez to niezwykle drogie – i wyposażenie: zbroje, szyszaki, skrzydła, szable, koncerze i słynna kopia. Ta ostatnia mierzyła nawet 6,2 m i pozwalała husarii – jako jedynej kawalerii na świecie – rozbijać w starciu czołowym formacje muszkietersko-pikinierskie, które wyglądały jak jeże.

Podczas nieustannych treningów husarze zgrywali się i poznawali skomplikowane manewry, jak choćby uchodzenie odwodem, które było charakterystyczne dla polskiej kawalerii w wiekach XVI i XVII. Byli w tym naprawdę sprawni, świetnie się rozumieli na polu walki i potrafili działać jak jedna pięść.

Bardzo interesującą funkcję w tym kontekście spełniali tzw. towarzysze rząd czyniący. Pokazuje to, jak doskonale chorągwie były przygotowane pod kątem taktycznym. Byli to husarze najlepiej wyszkoleni, z największym stażem. Było ich dwóch lub czterech. W szarży nie pędzili w pierwszym rzędzie, lecz jechali nieco z tyłu i boku chorągwi. Gdy chorągiew uderzyła na przeciwnika, lecz z jakiegoś powodu nie przełamała go, dokonywała zwrotu na zadzie i odjeżdża-

eprasa.pl 95c197360b

ła w miejsce, z którego mogła ponowić uderzenie. Jednak w tym momencie rotmistrz znajdował się na końcu szyku. Dowodzenie przejmowali więc towarzysze rząd czyniący i prowadzili chorągiew na nowe miejsce koncentracji. Mieli oni jednak do odegrania jeszcze drugą bardzo ważną rolę. Ich zadaniem było zabicie każdego husarza, który wyłamałby się z szarży, czyli po prostu stchórzył.

Jak często się to zdarzało?

Nie ma ani jednego źródła, które mówiłoby o takiej sytuacji. Wydaje się więc, że ta kara była uważana za tak nieuchronną, iż nikomu nie przyszłoby do głowy stchórzyć. Inna rzecz, że husaria była formacją ochotniczą, do której wstępowali ludzi gotowi na największe poświęcenia, więc tchórze trzymali się od niej z daleka.

Jak husaria była postrzegana przez inne nacje?

Mamy wspaniałe świadectwo włoskiego duchownego Cosmy Brunettiego, który w 1674 r. tak mówił o husarii: „Próżna byłaby praca opowiadać okazałość i piękność rycerstwa tego; mówić bowiem o zbrojach jego, o wysokich kopiach z długiemi chorągiewkami, o tygrysich ich skórach, pysznych koniach, kulbakach, rzędach, strzemionach, cuglach od złota, haftów i drogich kamieni, byłoby to przyćmić ich piękność. Jest to jazda, jakiej nie ma na świecie; żywości i przepychu, bez widzenia własnemi oczyma, pojąć niepodobna". Warto też przytoczyć szczególnie wartościowe opinie przeciwników. Król Szwecji Gustaw II Adolf w trakcie bitwy pod Gniewem miał powiedzieć, widząc szarżę husarii: „O, gdybym miał taką jazdę, z moją piechotą obozowałbym tego roku w Konstantynopolu". Podobnie wyrazić miał się o niej wiele lat później Karol X Gustaw: „Gdybym miał przynajmniej dziesięć tysięcy takich żołnierzy, to nie tylko Turcję, ale cały świat spodziewałbym się z łatwością podbić".

Skoro husaria była tak skuteczną jazdą, to dlaczego inni po prostu nie skopiowali tego wzorca?

Niektóre nacje próbowały kopiować husarię, np. Moskale. Efekt był jednak raczej komiczny. Na przykładzie Moskwy najłatwiej zobaczyć, w czym tkwił problem. Husaria to przede wszystkim człowiek. Można skopiować zbroję i broń, ale etosu, morale, wyszkolenia nie da się tak łatwo powielić. To była kawaleria składająca się z tak elitarnych żołnierzy, że była ona nie do skopiowania.



RYS. MARZENA WŁOCZYK/JÓZEF BRANDT, „HUSARZ"

Na jakie kategorie dzielili się husarze?

Podobnie jak inne rodzaje kawalerii narodowego autoramentu, np. jazda kozacka, husaria dzieliła się organizacyjnie na towarzyszy i czeladź pocztową. Towarzysze byli rycerzami, jak ja to nazywam – prawdziwymi husarzami. Towarzysze przybywali do chorągwi ze swoim pocztem, czyli z czeladzią pocztową. Oczywiście pocztowi również byli w spisach chorągwianych uznawani za husarzy.

Jeżeli chorągiew liczyła 100 husarzy, to ilu było w niej towarzyszy, a ilu pocztowych?

Przed rządami Stefana Batorego mogło to być nawet 10 towarzyszy i 90 pocztowych. Potem proporcje te wynosiły mniej więcej 1:5. Natomiast od czasów reformy Stanisława Koniecpolskiego w 1643 r. stosunek ten wynosił 1:2. Aż do XVIII w. szlachectwo nie było wymogiem dla towarzyszy, ale jednak ciężko sobie wyobrazić chłopa czy mieszczanina, którego byłoby stać na wystawienie pocztu. Wśród pocztowych służyli zarówno biedna szlachta, jak i chłopi.

Czyli z kopią na koniu mógł szarżować na wrogów Rzeczypospolitej zwykły chłop?

Jak najbardziej. Dlatego opinie, jakoby husaria była tylko szlachecką kawalerią, są nieuprawnione. Wśród pocztowych zdarzało się dużo chłopstwa. Ponieważ zawsze pocztowych było więcej niż towarzyszy, mogłoby się okazać, że były chorągwie, które składały się w większości z chłopów.

Towarzysz musiał być sponsorem swoich pocztowych, zapewniając im całe wyposażenie. Ponadto musiał utrzymywać czeladź obozową.

Państwo wypłacało jednak husarzom żołd.

Tylko że to były śmiesznie małe pieniądze, zważywszy na całokształt kosztów. W pierwszej połowie XVII w. żołd wynosił 40 zł na kwartał, podczas gdy koń husarski kosztował od 200 do nawet 2,5 tys. zł. Pamiętajmy też, że husarz musiał mieć kilka koni, ponieważ w każdej szarży mógł stracić rumaka.

Czyli przekładając to na dzisiejsze realia – towarzysz był multimilionerem, który z własnych pieniędzy kupował czołg Abrams wraz z całą obsługą, a państwo płaciło mu tyle, że wystarczało jedynie na paliwo?

eprasa.pl 95c197360b



„Atak husarii pod Zbarażem". Obraz Antoniego Piotrowskiego FOT. WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA IM. H. ŁOPACIŃSKIEGO W LUBLINIE

Myślę, że to całkiem dobre porównanie. Jest to coś niewyobrażalnego w obecnych realiach. Pieniądze, które z własnej kieszeni musieli wyasygnować towarzysze, by husaria mogła istnieć i bronić Rzeczypospolitej, były ogromne.

Dodałbym tylko, że w takim scenariuszu państwo zapewniałoby jeszcze towarzyszowi z abramsem supernowoczesną amunicję przeciwpancerną, która byłaby na polu walki bezkonkurencyjna i „robiłaby różnicę". Myślę oczywiście o kopii husarskiej dostarczanej przez państwo.

Dlaczego to król zapewniał akurat tę broń?

Ponieważ była ona bardzo droga i skomplikowana w produkcji. Kopia była lekka, ważyła maksymalnie 3 kg, ale równocześnie była niezwykle mocna – mogła przebić w galopie zbroję. W pierwszej połowie XVII w. husarz zarabiał ok. 40 zł kwartalnie, pika piechura – wielokrotnego użytku – kosztowała złotówkę, a jednorazowa kopia husarska – 9 zł… Gdyby husarze mieli jeszcze sami płacić za swoje kopie, to myślę, że większość stwierdziłaby, że jednak nie stać ich na służbę w takiej kawalerii.

Czy zawsze towarzysze dopłacali do tego „interesu"? Może jednak łupy w przypadku zwycięstw kompensowały poniesione wydatki?

Co do zasady towarzysze byli po względem finansowym „na minusie". Łupy oczywiście zdarzały się, ale nigdy nie były pewne. Husarz mógł też liczyć na bonusy, np. dodatkowy żołd kwartalny, a niektórzy szczęśliwcy na nadania ziemskie za większe sukcesy w boju, zwłaszcza jeżeli mieli odpowiednich patronów, co mogło być odskocznią od kariery politycznej. Przykładem takiej fenomenalnej kariery jest Stefan Czarniecki, który dosłużył się hetmaństwa. Rotmistrzem husarskim był też Jan III Sobieski, ale jego kariera była akurat jedyna w swoim rodzaju.

W kwestii finansowej świetną ilustracją jest przypadek Jana Chryzostoma Paska, który co prawda był pancernym. Swoją karierę w wojsku zakończył po tym, gdy w krótkim czasie stracił kilka koni i jego ojciec nie był już w stanie dosłać mu kolejnych rumaków.

Co w takim razie pchało szlachtę do husarii, skoro służba była tak droga?

Etos rycerski, umiłowanie ojczyzny, ale nie można też zapominać o kwestiach religijnych. „Antemurale christianitatis" nie było wtedy pustym frazesem. Husarze chcieli też dotrzymać kroku przodkom. Na tym niezwykłym etosie husarze budowali swoje morale, wolę walki i to był główny powód ich zwycięstw.

Husarze przybyli do nas z Węgier?

Z Węgier, a także z Serbii. W Polsce były bowiem dwa wzorce husarskie: węgierski i właśnie serbski. W 1498 r. przybyły do Polski te dwa wzorce kawalerii i istniały obok siebie do lat 20. XVI w. Wówczas oba te typy zanikły i wykształcił się wzorzec polskiego husarza, który był nieco cięższą wersją węgierskiego kawalerzysty.

Niewiele słychać w historii o wielkich sukcesach węgierskiej czy serbskiej husarii. Polacy, kopiując husarię, doprowadzili ją do perfekcji i prześcignęli oryginał?

Bałkańska kawaleria była ceniona, ale nie była tak dobra jak polska. Faktycznie, mimo że nie był to nasz pomysł, Polacy doprowadzili tę formację do perfekcji. Podobnie było z szablami. To nie Polacy wymyślili tę broń, ale jak już szable trafiły nad Wisłę, to zostały świetnie dopracowane i stały się nieodłącznym elementem naszej kultury.

Czy husarze mieli swojego superbohatera?

Takich postaci jest wiele. W literaturze często pojawia się Marek Sobieski, jako przykład najwspanialszego husarza epoki batoriańskiej, wojownika i dowódcy niższego szczebla. I to zarówno w boju, np. w harcach, jak i w wyczynach indywidualnych – Sobieski przepłynął Wisłę w zbroi. Był on bardzo sprawnym wojownikiem i zawsze można było na nim polegać, jak na Zawiszy. Stefan Batory mawiał o nim, że gdyby miał związać los królestwa z jednym człowiekiem, to byłby to właśnie Marek Sobieski.

Daje pan wiarę opowieści o husarzu, który nadział na kopię sześciu wrogów?

O takim wyczynie wspomina tylko jedno źródło, ale już o przebiciu czterech czy pięciu wrogów mamy więcej źródeł. Jak najbardziej było to możliwe podczas atakowania skupionej piechoty. Najdłuższa kopia miała ponad 6 m, więc jeżeli jeden człowiek zajmuje ok. 0,5 m, a kopia wystaje przed konia na 4,5 m, to jest miejsce na kilku wrogów…

Te największe skrzydła, zawinięte nad głową i przypinane do pleców, nie były stosowane w bitwach?

Ten rodzaj skrzydeł jest typowy dla XVIII w. Były one używane jedynie w czasie parad. W okresie wcześniejszym też używano skrzydeł, ale wyglądały one inaczej. Były proste i doczepiano je zazwyczaj do siodeł.

Do czego służyły w boju?

Dużo wyjaśnia list przepowiedni dla Stefana Bielawskiego, gdzie wyjaśniono, że skrzydła były „dla okazałości i postrachu nieprzyjaciela". Jeździec ze skrzydłami wygląda oczywiście piękniej, ale z daleka można było też odnieść wrażenie, że husarzy jest więcej.

Skrzydła nie były po to, żeby uratować kawalerzystę przed tatarskim lassem?

Raczej jest to wymysł literatury. Podobnie ma się sprawa z szumem, który miały wywoływać skrzydła, płosząc rzekomo konie przeciwnika. Testy pokazują, że taki szum jest podczas szarży ze skrzydłami bardzo niewielki i zdecydowanie bardziej hałasują proporczyki na kopiach. Natomiast co innego mogło płoszyć konie wroga – sam

eprasa.pl 95c197360b

widok nowego, dużego elementu, którym są skrzydła. Polskie konie były do tego przyzwyczajone, ale zagraniczne rumaki mogły pierwszy raz widzieć coś takiego. I niewykluczone, że właśnie to mogło je niepokoić i przez to mogły łamać szyk. Zdarzało się też tak, że wyposażeni w skrzydła harcerze wyjeżdżali przed szereg polskiej kawalerii, podjeżdżali do wrogiego oddziału i płoszyli konie, ułatwiając reszcie jeźdźców przełamanie.

Ilu husarzy było w Rzeczypospolitej w jednym momencie?

Ich liczba nigdy nie przekroczyła granicy 10 tys. – mówimy tu zarówno o towarzyszach, jak i pocztowych. Natomiast samych towarzyszy było maksymalnie 1,7 tys. To była absolutna elita wojska.

O ile towarzysz wykładał spore sumy na siebie i swoich pocztowych, o tyle już rotmistrz, dowodzący chorągwią, musiał chyba wydawać na służbę prawdziwą fortunę?

Z tym stanowiskiem wiązał się olbrzymi prestiż, a także równie wielkie wydatki. Rotmistrzami mogli zostać tylko najbogatsi. Rotmistrz czasem musiał z własnej kieszeni dostarczać skóry, nieraz kopie, musiał też zapraszać na uczty towarzyszy ze swojej chorągwi, opiekował się rodzinami poległych husarzy… Szczególnie w drugiej połowie XVII w. rotmistrzami byli już w zasadzie jedynie magnaci. To z kolei przyczyniło się do stopniowego upadku husarii, ponieważ magnaccy rotmistrzowie nie dowodzili już osobiście husarią, lecz cedowali to zadanie na swoich zastępców.

Najbardziej elitarne były chorągwie królewskie, ale to wcale nie oznaczało, że to król utrzymywał taki oddział?

Król był tytularnym rotmistrzem i służba w takiej chorągwi była najbardziej prestiżowa, ale poza tym warunki finansowe były takie same – towarzysz musiał niemal za wszystko płacić z własnej kieszeni.

A może husaria byłaby jeszcze skuteczniejsza, gdyby była lepiej opancerzona?

To jest odwieczny dylemat miecza i tarczy. Husaria była opancerzona w sposób praktycznie maksymalny dla tej dynamiki jazdy, którą w niej wykorzystywano. Husarze mogli być oczywiście tak ciężcy jak rycerstwo w gotyckich zbrojach, ale tamto rycerstwo nie szarżowało galopem czy cwałem. Gdyby więc dodać husarzowi kolejne płyty i opancerzyć konia, to odbyłoby się to kosztem dynamiki jazdy i cwał byłby już nieosiągalny.



Marek Sobieski FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Jak wyglądały starcia husarii z cięższą od niej kawalerią?

Przykładem jest bitwa pod Kutyszczami, gdzie ok. 140 husarzy uderzyło na 700–1000 moskiewskich kirasjerów, rozbijając ich.

Wydawałoby się, że to fizycznie niemożliwe.

Swoje robiły pęd szarży husarskiej i długie kopie. Kirasjerzy przyjmowali uderzenie w miejscu ostrzałem lub wolniejszą kontrszarżą. Husarze mieli wprawdzie zbroje nieco lżejsze od kirasjerów, ale i tak dobrze ich chroniły, zapewniając przy tym jednak lepszą mobilność. I wreszcie kluczowe było świetne wyszkolenie, szczególnie w walce wręcz.

Kiedy husarię dopadł kryzys? Czy widać bezpośrednią korelację między siłą Rzeczypospolitej a jakością tej jazdy?

Tak, husaria była „dzieckiem" swojego społeczeństwa i państwa. Gdy pojawił się kryzys w społeczeństwie i państwie, to odbiło się to również na jakości husarii. Symboliczną datą jest 1702 r. – bitwa pod Kliszowem. Po jednej nieudanej szarży husarzy ich dowódca wycofał się z bitwy. Niewykluczone, że został przekupiony przez Szwedów. To było uderzenie w morale husarzy, kropla, która przelała czarę goryczy. Coś takiego zdarzyło się po raz pierwszy i towarzysze mogli stwierdzić, że poświęcenie nie ma sensu, skoro dowództwo tak się zachowuje.

Magnaci w roli pozornych rotmistrzów przyczynili się dodatkowo do poluzowania więzów łączących tych kawalerzystów?

Jak najbardziej, ale jednak głównym powodem upadku husarii było pojawienie się towarzyszy sowitych. Taki „towarzysz" nie służył w wojsku osobiście, a jedynie utrzymywał swój poczet.

Czyli było to coś w rodzaju „honorowego husarza"? To nie brzmi zbyt dobrze…

Tak. Gdy pocztowy, biedny szlachcic czy chłop widzi, że ma atakować wroga, a nie przewodzi mu jego towarzysz, natomiast na domiar złego chorągwią nie dowodzi rotmistrz, tylko jego zastępca, to jaki to może mieć wpływ na morale? Jeżeli jego bezpośredni dowódca chowa się w bezpiecznym miejscu, tak samo jak rotmistrz, to husarz w oczywisty sposób traci zapał do wojowania. Równolegle pogłębiał się inny problem – coraz mniej czasu poświęcano na szkolenie. Wszystko to razem sprawiało, że wspaniała husaria, która przez dwa stulecia decydowała o wielkości Rzeczypospolitej, stopniowo upadała. I niemal równolegle ze śmiercią Rzeczypospolitej zniknęła też husaria.

Czyli to wcale nie udoskonalenie broni palnej sparaliżowało działanie husarii?

Nie. Wprowadzenie broni skałkowej przyspieszyło nieco oddawanie salw, ale nie była to zmiana rewolucyjna. Piechota wciąż mogła oddać tylko jedną salwę w kierunku szarżującej kawalerii. Z drugiej strony broń skałkowa była mniej celna od broni lontowej… Husaria mogła jeszcze spokojnie królować na polach walki przez kolejne 100–150 lat. Przecież jeszcze w epoce napoleońskiej kirasjerzy odnosili sukcesy, a i w latach 30. i 40. XIX w. kawaleria pokazywała swoją skuteczność.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Kuba Pokojski
jest znawcą dziejów husarii, praktykiem i teoretykiem XVII-wiecznej sztuki walki, prezesem i instruktorem Katowickiego Klubu Polskiej Sztuki Walki Signum Polonicum.

eprasa.pl 95c197360b



Husarz strojny



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Nie tylko zbroja płytowa i imponujący arsenał zaczepny świadczyły o elitarności husarii. Słynni jeźdźcy wyróżniali się też bogatym ubiorem, który – pomimo silnych obcych wpływów – zyskał miano narodowego

Już w połowie XVI w. wzorce tureckie i węgierskie były wyraźne widoczne w polskiej odzieży. W czasach ostatnich Jagiellonów zaznaczył się duży wpływ mody wojskowej, zwłaszcza husarskiej (vestes hussaronicae), na cywilne stroje szlacheckie. W czasach króla Stefana Batorego, który panował w latach 1576–1586, odzież w typie wschodnim zaczyna już bezwzględnie dominować. Poseł republiki weneckiej Pietro Duodo zauważył w 1592 r., że „Polacy mają własny swój ubiór, zbliżający się do węgierskiego". Szlachecki zestaw złożony z delii i żupana traktowany jest jako ubiór własny – narodowy. Zachodnia moda dla panów braci stała się obca. Gdy w czasie walk z Moskwą w 1617 r. ubrany z hiszpańska jeździec wysunął się przed szereg wojska, powitały go niemiłe okrzyki: „Do Salamanki, do Compostelli, mospanie Hiszpan". Wpływ środowiska dworskiego na ogół społeczeństwa był oczywisty. Orientalne ubiory, poza atrakcyjną egzotyką, zapewniały wygodę w życiu codziennym, a zarazem dostosowane były do rodzimych warunków klimatycznych.

Wśród elementów odzieży szlacheckiej, a więc także wojskowej, wymienić wypada przede wszystkim podbijaną futrem delię. W inwentarzach szlacheckich zaczęła się pojawiać od 1577 r., a pod koniec XVI w. stała się szatą reprezentacyjną, zastępując popularną wcześniej szubę. W czasach Batorego, „króla wojennego", szczególnie efektownie były okrycia długie, dopasowane do linii stanu, dołem rozszerzane, zapinane na guzy, z charakterystycznymi dekoracyjnymi zwisającymi rękawami i wydatnym futrzanym kołnierzem. Warto wspomnieć, że były one niekiedy wyśmiewane; Jan Kochanowski pisał: „Kołnierz li to u delije, Czy delija u kołnierza, Na grzbiecie cnego rycerza".

Szatę wykonywano z kosztownych importowanych tkanin, podszywano atłasem, tkaniną jedwabną (kitajka), suknem lub futrzanymi błamami. Była na tyle obszerna, że zakładano ją na zbroję płytową. Widać to doskonale na portretach, na których magnaci i monarchowie prezentowali się „po husarsku". Popularne były też delie nieco krótsze, z rękawami sięgającymi łokcia i bez kołnierza. W ubiorze ważna były kolorystyka, żywe barwy, odmienne dla wierzchu i spodu. W wojsku ceniono przede wszystkim czerwień, karmazyn (zwłaszcza wśród kadry oficerskiej i bogatszych towarzyszy), ale popularny był także niebieski. Dodatkowy efekt osiągano, dekorując delie listwami, pętlicami, a zwłaszcza guzami, które służyły do spinania i były jednocześnie efektowną biżuterią. Guzy zwano też pągwicami i kneflami; wytwarzano je ze złota, złoconego srebra i cyny techniką odlewania, puklowania i zdobiono barwną emalią, rytami, niellem oraz kolorowymi kamieniami szlachetnymi. Ich bryły były niezwykle urozmaicone: kuliste, jajowate, cebulaste, gruszkowate.

Delię noszono narzuconą swobodnie na ramionach i spiętą pod szyją okrągłą zaponą. Innym sposobem było nałożenie tylko jednego rękawa normalnie, natomiast na drugie ramię delię narzucano i także spinano pod szyją.

Inną wierzchnią szatą noszoną przez polską szlachtę była ferezja, o bezsprzecznie tureckim rodowodzie. Miała stojący kołnierz, szerokie rękawy i zapinano ją na pętlice. Stosowano ją często jako odzież zimową, podróżną. Nieodłącznym elementem ubioru husarza (a także całej szlachty przez 200 lat) był żupan, który można było nosić nie tylko pod spód, lecz także samodzielnie, jako odzież codzienną. Sięgał najczęściej poza kolana, był lekko dopasowany do talii, a dołem rozkloszowany, z prawą połą zachodzącą na lewą. Miał długie zwężające się rękawy i kołnierzyk podwyższony lekko z tyłu. Zapinano go na małe guzy, do wysokości pasa. Był bardzo wygodny i nie tak kusy jak męskie stroje zachodnioeuropejskie. Do kompletu – delia plus żupan – najlepiej pasowały obcisłe

eprasa.pl 95c197360b



spodnie husarskie (zwane też węgierskimi) z nogawkami wpuszczanymi w cholewy safianowych półbutów; te ostatnie były z obcasami i podkówkami. Na obrazach z epoki husarze prezentują się niezwykle kolorowo, ale w ramach poszczególnych chorągwi – zwłaszcza tych finansowanych przez majętnych magnatów – zapewne dbano o jednolitą barwę. W warunkach polowych preferowano też mniej efektowną odzież, np. burki. Na ilustracji: fragment tzw. Rolki sztokholmskiej; muzykanci chorągwi husarskiej odziani są w żupany i delie z krótkimi rękawami.

Kontusz

W latach 40. XVII w. w rodzimej modzie rozpoczęła się imponująca kariera kontusza, który w ciągu dwóch dekad stał się najpopularniejszym, a wręcz obowiązkowym ubiorem wierzchnim całej szlacheckiej Rzeczypospolitej. Delię nadal wymieniano w inwentarzach, ale zwykle towarzyszyły jej określenia: „staroświecka", „stara", „przerobiona".

Komplet złożony z kontusza i żupana pozostał szlacheckim „uniformem" aż do lat 60. XVIII stulecia, stając się symbolem patriotyzmu i wojennych cnót. Pochodzenie i nazwa kontusza nie są do końca wyjaśnione; był to może efekt wpływów orientalnych, ale jego charakterystyczna i oryginalna forma oraz krój są bezsprzecznie polskim wynalazkiem. Tym, co wyróżniało kontusz wśród innych długich okryć wierzchnich, był sposób modelowania. Z tyłu od linii pasa plecy kontusza przechodziły bez przecięcia aż do dolnego brzegu, tworząc długi i wąski prostokąt zwany „słupem". Do niego doszywano po obu stronach (od talii w dół) kloszowe boki układające się w fałdy. Krój pleców nie zmienił się mimo ewolucji kontusza w ciągu prawie 100 lat. Z przodu rozcięty był na całej długości, prawa poła zachodziła na lewą. Wczesne kontusze posiadały szamerowane zapięcia, futrzane kołnierze i były najczęściej podbijane futrem. Szerokie rękawy wszywano w duże owalne wykroje pach; zwężały się one przy mankietach, a dzięki temu, że były dłuższe niż ręka, układały się nad nadgarstkiem w miękkie poprzeczne fałdy. W Muzeum Narodowym w Krakowie znajduje się kontusz wydobyty z grobu zmarłego w 1640 r. wojewody Stanisława Daniłowicza. Uszyty jest z żółtego atłasu i posiada charakterystyczny „słup" z tyłu. Do długiego kontusza i żupana zakładano buty na obcasach i z miękkimi cholewami sięgającymi z tyłu do połowy łydki, a z przodu do kolan. W przeciwieństwie do delii kontusza nie zakładano na zbroję. Husarze nosili go „poza służbą".



Skóry

Skóry drapieżnych zwierząt, lampartów, tygrysów, pum, a także rysi, wilków i niedźwiedzi były, obok skrzydeł i kopii, najbardziej charakterystycznym elementem husarskiego ekwipunku. Stanowiły bez wątpienia oznakę przynależności do wojskowej elity. Fakt ich stosowania nie podlega dyskusji, uwieczniono je na obrazach z epoki i odnotowano w źródłach pisanych. Szczególne wrażenie robiły na cudzoziemskich dygnitarzach i cywilach, którzy widywali husarzy zazwyczaj w sytuacjach reprezentacyjnych, a nie w boju: „Husarze albo lansjerzy, na których sile najbardziej polegają, rekrutują się z najznamienitszej szlachty kraju – pisał w latach 20. XVII w. Holender Abraham van Booth. – Wspaniałe są ich ubiory i okrycia koni […], z ramion zwieszają się im skóry leoparda lub pantery […]". Kosztowne skóry, a więc te zdjęte z egzotycznych kotów i sprowadzane z odległych krain, np. Kaukazu, były zarezerwowane dla towarzyszy, a więc kadry oficerskiej. Pocztowi zakładali tańsze „zamienniki" pozyskiwane w rodzimych borach. Bardzo popularne, sądząc na podstawie zabytków malarstwa, były też rozmaite materiałowe narzuty (kilimy/opończe), jednolite lub jaskrawe, wzorzyste, których zasadniczą rolą była zapewne ochrona przed zimnem. Francuz Charles Ogier wspominał, że „ci, którzy nie mają kosztownych skór, okrywają ramiona kobiercami, i to tak dla ozdoby jak dla zakrycia szczelin w zbroi". Różnorodność i kolorystyka wierzchnich ubrań „bojowych" są doskonale widoczne na obrazie Petera Snayersa przedstawiającym bitwę pod Kircholmem (fragment na zdjęciu; obraz jest własnością Fondation de France i znajduje się w Zamku Sassenage).

Koń

„Konie są małej postury, ale nie mniejszej zwinności niż te [używane przez] Turków i niezwykle śmiałe do każdej służby wojennej. Wszystkie są kastrowane, a szlachcice z niczego innego nie są bardziej dumni jak ze swoich koni i umiejętności jeździeckich i utrzymują, że długie szaty noszą jako wygodne dla jeźdźców, aby móc zarzucić swoją szatę wierzchnią na konia, kiedy się zgrzeje od biegu" – pisał Anglik Fynes Moryson, który odwiedził Polskę w 1593 r. W Rzeczypospolitej szczególnie ceniono konie tureckie i arabskie, a szerzej – szlachetne rasy wschodnie, azjatyckie. Konie te, o dziwo, dobrze znosiły panujące w Polsce warunki klimatyczne, a nawet – jak twierdzą specjaliści od hipologii – zyskiwały na wytrzymałości i okazałości z pokolenia na pokolenie. Husaria używała koni najdroższych i najlepszych, pozyskiwanych z najprzedniejszych kresowych stadnin. Hodowano tam własne rasy, które sukcesywnie uszlachetniano odmianami wschodnimi. Arvid Wittenberg, słynny szwedzki dowódca z okresu potopu, ostrzegał swych żołnierzy przed jadą Rzeczypospolitej: „Niechaj zaś żaden z was w ucieczce ratunku nie szuka, albowiem nic nie jest w stanie ujść przed nadzwyczajną koni polskich rączością i wytrzymałością".



© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 95c197360b

Konie, rzędy i szable / Dzień powszedni husarza



Zbroje husarskie w Sali Rycerskiej pałacu w Podhorcach

FOT. EDWARD TRZEMESKI, MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Towarzyszy wzloty i kłopoty



Jacek Komuda

Chwała na polu bitwy, poważanie u króla, karmazynów i szlachty. A poza tym: brak pieniędzy, ruina zdrowia, utrata koni, rynsztunku i pachołków. Oto jak wyglądało życie towarzysza husarskiego w XVII w.

Nikt w dawnych czasach nie rodził się husarzem, chyba że jego ojciec, jak Samuel Łaszcz, kazał wpisać go jako dzieciucha do rejestrów chorągwi, wystawiając w zamian sowity poczet. Większość jednak przyszłych towarzyszy skrzydlatego znaku wstępowała do wojska z trzech przyczyn. Z biedy i potrzeby zrobienia kariery na żołdzie Rzeczypospolitej, dla wypełnienia rodowej tradycji, wreszcie z chęci zdobycia sławy.

W dawnej Polsce żyły rodziny, w których wielopokoleniową tradycją była służba wojskowa. Przykładem familia bohatera „Potopu" Stefana Czarnieckiego. Dla jego dziewięciu braci – Piotra, Wojciecha, Pawła, Stanisława, Tomasza, Dobrogosta, Franciszka, Marcina i Jana – nie było miejsca w rodzinnej wiosce. Gdyby podzielili się majątkiem rodziców, spadliby w szeregi szlachty zaścianko-wej. Czarnieccy musieli zatem myśleć o karierze poza rodzinną Czarncą. Cztere-ch z nich – Paweł, Stanisław, Dobrogost i Marcin – zaciągnęło się do wojska, i to nie byle jakiego. Marcin, który brał udział w „wojnach węgierskich", służył w oddziałach legendarnych jeźdźców – lisowczyków. Być może wstąpił w ich szeregi już w 1619 r., potem wciągnął braci, w tym sławnego Stefana. Z czasem przeszli oni do lepszych formacji wojsko-wych, także do husarii.

Jan Władysław Poczobut Odlanicki nie miał tradycji wojskowych. Zaciągnął się z chęci zdobycia sławy. Najpierw jednak, w 1658 r., bracia wyprawili go na

eprasa.pl 95c197360b



Wacław Pawliszak „Hetmańska straż”
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PINAKOTEKA ZAŚCIANEK

pospolite ruszenie, pod chorągiew kozacką Mikołaja Szemeta, podkomorzyca Słonimskiego. Rok później sam zgłosił się do wojska. 14 września kupił poczet husarski od brata za 1,6 tys. zł – trzy konie z rzędem, czwartego, powodowego, ponadto wozy, rynsztunek i czeladź. Zaciągnął się pod chorągiew husarską hetmana polnego i podskarbiego Wincentego Aleksandra Gosiewskiego.

Samuel Maskiewicz, znany pamiętnikarz, został wyprawiony na służbę przez rodzinę. Najpierw służył na dwa konie w Inflantach, potem zaciągnął się do wojska kwarcianego, a po rozpuszczeniu oddziałów – do chorągwi Janusza Poryckiego. W 1609 r. wziął udział w oblężeniu Smoleńska, następnie w sławnej bitwie pod Kłuszynem. Wreszcie wkroczył do Moskwy, służąc z dużym pocztem liczącym osiem koni. Później, po powrocie do Rzeczypospolitej, przejął poczet brata, przyprowadził go do swojej chorągwi, służąc aż w 12 koni. W kwietniu 1614 r. wrócił do domu, przejmując dobra po zmarłym ojcu. Jego syn, Bogusław Maskiewicz, także został husarzem.

Rzadko który szlachcic zatem zaczynał karierę wojskową od razu jako husarz. Wielu walczyło wcześniej w rotach kozackich albo lekkich. W XVII w. bowiem należało stawić się do chorągwi z własnym koniem, oporządzeniem, rynsztunkiem, pachołkami i czeladzią. Z wozami, namiotami i wszelakim sprzętem wojskowym. Na to stać było jedynie nielicznych.

Duma i nędzny żołd

Rzeczpospolita zapewniała husarzom stały żołd wypłacany co kwartał. Na początku XVII w. wynosił on od 15 do 18 zł; począwszy od 1619 r. – 30, a od ok. 1630 r. – 40 zł. Później, po potopie szwedzkim, 50 zł do końca stulecia. Żołd był wypłacany za każdego konia z jeźdźcem służącego w poczcie, zatem husarz służący na trzy konie dostawał kwartalnie 90, a rocznie 360 zł.

Teoretycznie byłaby to kwota pokaźna, skoro chłop zarabiał rocznie ok. 32 zł, cieśla 120 zł, a dochód z folwarku szacowany był na ok. 1,6 tys. zł rocznie.

Jednak żołd nigdy nie dochodził w terminie, a husarz musiał we własnym zakresie zapewnić utrzymanie pocztowym i czeladzi, wymieniać zniszczony rynsztunek, zabite konie i pogruchotane wozy. Oznaczało to, że zanim – zwykle po latach! – otrzymał zaległe pieniądze, musiał zrujnować się, zastawić albo pozwolić czeladzi na rabunek żywności, który był dopustem bożym dla chłopów i mieszczan w XVII w.

Tymczasem koszt wystawienia pocztu husarskiego był ogromny. W drugiej połowie XVII w., już po inflacji i upadku pieniądza, wynosił od 1,4 tys. do nawet 5 tys. zł, jeśli poczet ten miał być bogaty, wyposażony w dobre konie, szable, broń palną, a rzędy na koniach i barwy na pocztowych miały być dobrej jakości.

Już wówczas było wiadomo, że za pierwsze ćwierci (kwartały) husarz nie był w stanie porządnie się wyekwipować. Dlatego przyznawano dodatki. Nowozaciężni dostawali wyższy żołd za pierwszy kwartał służby – np. w 1609 r. 30 zł zamiast 15. Husarze zaciągani pod Wiedeń w 1683 r. otrzymywali jednorazowo trzykrotność żołdu, czyli 149 zł. W praktyce było to jednak ciągle za mało... Dlatego husarz musiał dołożyć drugie tyle, zwłaszcza jeśli chciał olśnić innych towarzyszy dostatkiem i nie zamierzał służyć jak dziad albo dragon.

Kolejnym dodatkiem była hiberna, to znaczy obowiązek zapewnienia kwater i żywności wojskom przez dobra królewskie i kościelne. Za sławne czyny bojowe husarze mogli liczyć na tzw. donatywy zwane „darowanymi ćwierciami”. Za heroiczną obronę Zbaraża w 1649 r. jazda otrzymała w nagrodę cztery ćwierci, czyli dodatek w wysokości rocznego żołdu. Pamiętajmy jednak, że chorągwie wyszły z obozu zrujnowane – bez koni, wozów, rynsztunku, pieszo. Za kampanię chocimską husaria dostała po 17 zł na konia.

Dodatkowe środki mógł przyznawać rotmistrz, zwłaszcza nowo zaciąganym i towarzyszom, którzy stracili w walce konie i rynsztunek. Była to tzw. kontentacja, często kilkakrotnie przewyższająca żołd. W sytuacji wieloletniego zalegania z wypłatą ważne stawały się łupy brane na wrogach – zarówno rynsztunek, jak i pieniądze znajdywane przy wziętych do niewoli jeńcach, których po prostu ograbiano. Hieronim Chrystian Holsten służący w armii szwedzkiej, gdy został pojmany przez towarzysza jazdy polskiej, musiał zaraz okupić swoje życie: „Towarzysz zapytał mnie, czy mam pieniądze, albo mnie zastrzeli, wyjąłem więc sakiewkę i dałem mu, wziął mnie pod swoją opiekę. Brali mnie za wyższego oficera, bo byłem dobrze umundurowany”. Podobnie Jan Chryzostom Pasek i inni towarzysze jazdy bez żadnych oporów ograbiali jeńców i kazali się okupować schwytanym w czasie walki Moskalom.

Codzienne kłopoty

To wszystko nie mogło jednak zrekompensować codziennych kłopotów husarzy – wojennych ubytków w koniach, broni, zbrojach, wozach, ludziach i zdrowiu. Kampanie wojenne były jednym pasmem strat, które towarzysz husarski musiał uzupełniać z własnej

eprasa.pl 95c197360b

kieszeni. Radosław Sikora w „Fenomenie husarii" podsumował niewesoły żywot kilku towarzyszy. Jan Władysław Poczobut Odlanicki po zaciągnięciu się do husarii już kilka dni po wstąpieniu do chorągwi postrzelił przez nieuwagę konia jednego z towarzyszy i musiał zapłacić 300 zł odszkodowania. W 1660 r. Moskwa wzięła do niewoli jego pachołka, Jurkowskiego, „krawca bardzo dobrego". Później w bitwie pod Basią zabito mu konia bojowego, który padł, a potem zerwał się, ciągnąc na strzemieniu jeźdźca, którego mało nie stratowano. Na szczęście – jak pisze autor – „łaska mnie Pańska w tak ciężkim razie dźwignęła, że mi się but z nogi zemknął". Kiedy Odlanicki wrócił później po konia, ten już padł, a – co gorsza – przeciwnicy, albo swoi, zrabowali rząd z uzdą, sprawiając husarzowi 600 zł straty.

W 1661 r. autor musiał sprawić nowy rynsztunek dla pocztowych, stracił kolejnego konia, tym razem Żmudzina od wozu, wartego 60 zł; zmarł mu pocztowy, niejaki Kuczyński, chłop wzięty na służbę ze wsi Poczobuta Odlanickiego. Najgorsze, że w bitwie z Moskalami husarz stracił wszystkie konie – rumak towarzyski warty kolejne 500 zł, trzykrotnie postrzelony, wyniósł go z pola bitwy, a następnie padł. Drugi od pocztowego został na placu boju, trzeci zaś został okaleczony i nie nadawał się do dalszej służby; pamiętnikarz sprzedał go albo oddał ojcom bernardynom, aby jeździli nim na kwestę. Pod koniec roku Odlanicki stracił wóz taborowy, który spadł z góry w rzekę Dryssę (wart 150 zł).

Przez cały ten rok towarzysz miał zatem strat na ponad 1 tys. zł, podczas gdy roczny żołd na jego trzykonny poczet wynosił 600 zł i – jakby tego było mało – w ogóle nie był wypłacany! Z tego właśnie powodu armia litewska zawiązała konfederację, nie przerywając jednak działań bojowych. Rok później, po przegranym pojedynku, okradziono go z szat, zadając strat na 150 zł. W 1663 r. Odlanicki musiał wypłacić 500 zł odszkodowania Florianowi Strawińskiemu za poranienie w pojedynku, dodatkowo zachorował mu kolejny rumak bojowy towarzyski, gniady (otrzymał go w podarunku od stryja), o wartości 450 zł. W kolejnym roku kampanii stracił jeszcze jeden wóz z zapasami i rynsztunkiem wart



Skrzydło od zbroi husarskiej ze skarbca na Jasnej Górze

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE



Napierśnik husarski ze zbiorów Piotra Moszyńskiego

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

200 zł, konia pod jednym z pocztowych za 350 zł i podjezdka za 30 zł, a także wszystkie konie czeladzi. Ruina!

Dwa miesiące później padł mu kolejny koń towarzyski – kary – co kosztowało go 350 zł. Z całego pocztu pozostał mu tylko jeden koń; zapewne pocztowy i jeden podjezdek... Podsumujmy zatem: w ciągu prawie pięciu lat służby Jan Władysław Poczobut Odlanicki poniósł straty na łączną sumę co najmniej 3640 zł. Cały żołd dla pocztu za ten okres – gdyby został wypłacony – wyniósłby 3 tys. zł.

Co w tym czasie zyskał nasz bohater? Niewiele. Po poddaniu się jednej z twierdz szwedzkich rozdzielono znalezione tam skarby, dając na koń po 2 zł, a więc Odlanicki dostał przy tej okazji raptem... 6 zł. Później otrzymał jeszcze kilkaset złotych, gdy został wyznaczony na deputata do odbierania hiberny. W 1663 r., w ramach kontentacji, dostał jeszcze łącznie 60 zł na trzy konie. Dopiero rok później, gdy znowu wybrany został na deputata, zarobił tyle, że mógł odbudować poczet husarski. Nie wiadomo, czy brał jakieś łupy. Z czego więc żył? Po części ze wsparcia rodziny i krewnych; wspominał stryja, który podarował mu konia, zapewne także z pomocy matki – jak Jan Chryzostom Pasek, któremu ojciec kupował konie i przysyłał zapasy.

Rany, postrzały, niewola

Nie trzeba dodawać, że służba w husarii wiązała się z wieloma niebezpieczeństwami. Czytając pamiętniki towarzyszy, co chwila napotykamy opisy ran, kontuzji lub krytycznych sytuacji na polu bitwy. Odlanicki omal nie stracił życia ciągnięty przez postrzelonego konia. Niemal utonął podczas przekraczania rzeki Roch, kiedy potrącony przez wierzchowca spadł w jej nurty, na szczęście jego koń nastąpił na połę sukni, na chwilę zatrzymując upadek. Nasz bohater i tak miał szczęście – jedyne rany, które odniósł, pochodziły z pojedynków, w których w czasie służby uczestniczył – zarówno jako wyzwany, jak i wyzywający.

Jeszcze mniej szczęścia miał Aleksander Skorobohaty. W 1657 r., w czasie walk z wojskami księcia siedmiogrodzkiego, został postrzelony dwoma kulami – po odwiezieniu do Lwowa jedną z nich udało się wyrżnąć, drugiej nie pozbył się do końca życia. Medycy w XVII w. nie potrafili bowiem wykonać bardziej skomplikowanych operacji i wielu starych żołnierzy do śmierci nosiło w ciele kule po postrzałach. Sam król Szwecji Gustaw Adolf do końca życia miał w barku kulę, którą polski hajduk postrzelił go w bitwie pod Tczewem. Skorobohaty otrzymał później kolejny postrzał. W październiku 1660 r. kula przeszła przez lewą rękę i prawie całe ciało – wyrżnięto ją przez plecy. Wydaje się cudem, że pamiętnikarz to przeżył.

Cztery lata później omal nie zginął w walce z moskiewskim podjazdem ze Smoleńska, gdy został porąbany, a jego pocztowy zginął. W późniejszych latach miał coraz większe kłopoty ze zdrowiem – odnawiały się jego rany – jednak pomimo tego nasz bohater dalej służył w hu-

eprasa.pl 95c197360b



Koń husarski FOT. COMMONS WIKIMEDIA

sarii i wziął jeszcze udział w bitwie pod Chocimiem w 1673 r., a także w wyprawie wiedeńskiej.

Zdrowie jednak szwankowało mu już tak bardzo, że w trakcie marszu armii litewskiej upadł z koniem, złamał prawą rękę, a dodatkowo – jak pisał – „uderzyłem się w goleń lewej nogi, aż do samej kości rozciąłem". To przeważyło szalę – Aleksander wrócił do domu z gangreną, pozostawiając w wojsku poczet. Na szczęście nie ucięto mu nogi. Nigdy już jednak nie powrócił do służby.

Jeszcze gorsze i zarazem niesamowite przygody miał Stanisław Druszkiewicz, który wstąpił do wojska po tym, jak zabił w pojedynku człowieka. W 1648 r. w bitwie nad Żółtymi Wodami został postrzelony z łuku w łopatkę i oba łokcie, dodatkowo był ranny w szyję z samopału. Tak dostał się do niewoli tatarskiej, z której wykupił go Bośniak Michał Milicz. Powróciwszy do Rzeczypospolitej, zaciągnął się do chorągwi husarskiej Aleksandra Koniecpolskiego i... znów dostał się do niewoli po rzezi pod Batohem. Co dziwne, wzięli go w niewolę... ci sami Tatarzy, którzy cztery lata wcześniej schwytali go nad Żółtymi Wodami. Czasami życie plecie takie niezwykłe historie; zawdzięczał im ocalenie.

Gdy spoglądamy na przygody i życiorysy dawnych husarzy, pojawia się pytanie, czy zatem były w ogóle jakieś profity z tej służby, pomijając rany, postrzały, martwe konie i pachołków, zniszczone wozy i rynsztunek.

Husarz – to brzmi dumnie

Były. Przede wszystkim ludzie z czasów baroku nie postrzegali otaczającego świata przez pryzmat zysków i strat. Pozycja towarzyszy husarskich i pancernych była równa zamożnej szlachcie, choćby nawet cały ich majątek stanowił poczet i wozy pod chorągwią. Husarz budził szacunek i powagę. Jak pisał Jędrzej Kitowicz: „Każdy towarzysz [...] tytułował się równym swemu rotmistrzowi; stąd poszło nazwisko »towarzysz«, czyli kolega. Nie mówił, że służy pod królem JMcią albo pod hetmanem lub pod panem wojewodą, lecz: z królem JMcią, z panem hetmanem, z panem wojewodą. Towarzysz miał wyższą rangę niż którykolwiek oficer autoramentu cudzoziemskiego, nawet sam generał".

Bycie husarzem podnosiło zatem status społeczny. „Towarzysz w każdej kompanii publicznej był konsyderowany jako osoba dystyngowana, mieścił się między pierwszymi osobami tak cywilnymi, jak i wojskowymi; nawet oficjerom swoim, pułkownikom, rotmistrzom (wyjąwszy służbę żołnierską) miejsca nie ustępował, chyba przez grzeczność i interes mając się każdemu dystyngowanemu za równego" – pisał Kitowicz.

Towarzysz miał wolny wstęp na pokoje królewskie, opery, bale, bankiety, mógł łatwo pokazywać się w otoczeniu dygnitarzy – wojewodów, kasztelanów, wpaść w oko magnatowi, a może nawet samemu królowi. Zwracał uwagę, co oznaczało, że w realiach szlacheckiego państwa mógł zrobić karierę. Obeznany z wojaczką, szablą i niewygodami stawał się dobrą partią na męża dla zamożnych panien, nawet jeśli sam nie był bogaty; zapewniał bowiem bezpieczeństwo i ochronę posiadanych włości.



Szyszak husarski FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM ZIEM WSCHODNICH DAWNEJ RZECZYPOSPOLITEJ

Któż z sąsiadów albo warchołów rzucił wyzwanie człowiekowi, który kilkanaście razy zaglądał śmierci w oczy?

Większość z husarzy nie dostała od Rzeczypospolitej żadnej rekompensaty za wieloletnie poświęcenie, o czym pisali oni wprost. „Takem skończył służbę moją wojenną, od zaczęcia mojego mianowicie pod tą chorągwią przez lat 12 zostając. [...] spodziewając się podług prawa wójtostwo mieć jakie, które za sześć lat Król JM obiecuje prawem każdemu żołnierzowi, co by sześć lat wysłużył. A ja i całe 12, a jednak i jednej włóki nie dosłużyłem się" – pisał Jan Władysław Poczobut Odlanicki. „Dosyć było dwadzieścia lat i dwie nie wyjeżdżając z wojska służyć, a nic nie brać, ni wdzięczności, ni zapłaty, jednego chłopka z łaski JKM nie wysłużyłem" – żalił się Stanisław Druszkiewicz.

Król i Rzeczpospolita rzadko doceniali wojenne zasługi zwykłych towarzyszy; inaczej niż społeczeństwo. Wbrew temu, co można sądzić, pozycja byłego towarzysza pozwalała na ułożenie sobie dalszego życia w dostatku. Jan Florian Drobysz Tuszyński został gubernatorem Ordynacji Zamoyskiej. Jana Władysława Poczobuta Odlanickiego wybrano na deputata do trybunału litewskiego, potem ożenił się bogato. Stanisław Druszkiewicz został kasztelanem lubaczowskim, a następnie chełmskim i choć oczywiście były to kasztelanie mniejsze i drążkowe, to jednak zaliczające go w poczet senatorów.

A jakie są kłopoty dnia codziennego współczesnego husarza? Wysokie koszty utrzymania konia w miastach. Problemy z transportem koni, wiecznie rozlatujące się skrzynie biegów w samochodach ciągnących przyczepy z wierzchowcami, coraz wyższe ceny u płatnerzy i szabelników. Wrzaski i awantury rozhisteryzowanych miłośniczek koni w stajniach i na pokazach. Jedynie chwała i fantazja pozostaje ta sama.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 95c197360b



Pomnik Michała Walecznego w Bukareszcie FOT. FOT. COMMONS WIKIMEDIA

1600 r. / Zamoyski gromi rumuńskiego „Bravehearta”

Husaria na Bałkanach



Grzegorz Janiszewski

Zapomniana bitwa pod Curtea de Argeș to świadectwo czasów, gdy dzięki garstce elitarnych jeźdźców możliwe było polskie panowanie na ogromnych obszarach rozciągających się od północnego Bałtyku aż do Bałkanów

Wraz z końcem XVI w. Polska wchodziła w swój srebrny wiek, rozciągając się od wybrzeży Bałtyku aż do limanów Dniestru i wybrzeża Morza Czarnego. Jej sąsiedzi, chociaż jeszcze zbyt słabi, łapczywie patrzyli na jej ziemie. Cudowną bronią Rzeczypospolitej była jednak husaria. Skrzydlaci rycerze potrafili na swoich kopiach roznosić kilkukrotnie liczniejsze oddziały przeciwnika, królując na polach bitew tej części Europy. Kircholm, Kłuszyn czy Wiedeń utrwaliły się w narodowej pamięci jako miejsca ich wielkich zwycięstw. Tymczasem bitwa pod Curtea de Argeș, stoczona tysiąc kilometrów na południe od Krakowa, gdy husaria rozbiła w pył kilkukrotnie liczniejszego przeciwnika, została niemal zupełnie zapomniana.

Mołdawia, Wołoszczyzna i Siedmiogród – krainy, z których później powstała Rumunia, nie miały wiele szczęścia w historii. Położone na skrzyżowaniu imperialnych dróg często musiały podporządkować się silniejszym. Wszystkie trzy, będące spadkobiercami starożytnego państwa Daków i rzymskiej Dacji, zamieszkiwali protoplaści dzisiejszych Rumunów. W XVI w. każda ciążyła jednak w inną stronę. Mołdawia ku Polsce, w której miejscowe elity szukały sojusznika przeciw Węgrom i Turcji. Siedmiogród po bitwie pod Mohaczem w 1526 r. dostał się pod tureckie panowanie, ale chciwie patrzyli na niego Habsburgowie. Wołoszczyzna, w Polsce zwana Multanami, po upadku Węgier została całkowicie

eprasa.pl 95c197360b

podporządkowana Konstantynopolowi. W grze byli również zapuszczający się w te rejony Kozacy i Tatarzy. Wszystko to sprawiało, że sytuacja mogła się gwałtownie zmienić, zagrażając porządkowi ustalonemu przez regionalne potęgi. Mało brakowało, by rumuńskie państwo powstało już pod koniec XVI w., być może zmieniając bieg historii w tej części Europy.

Waleczny Michał

W 1593 r. hospodarem na Wołoszczyźnie został Michał, zwany później Walecznym. Pochodził z możnego greckiego rodu Kantakuzenów, a tron objął dzięki wsparciu rodziny w Konstantynopolu i łapówce. Szybko jednak zwrócił się przeciw swoim mocodawcom. Już jesienią następnego roku włączył się do trzeciej wojny austriacko-tureckiej. Opanował naddunajskie twierdze tureckie, wypędził i wyrżnął ich załogi, a w sierpniu 1595 r. pobił z pomocą Węgrów otomańską wyprawę interwencyjną w wąwozie Călugăreni. W tym czasie przewidujący kanclerz Jan Zamoyski, nie chcąc dopuścić do połączenia Wołoszczyzny z Mołdawią, osadził na tronie tej ostatniej swojego zaufanego – hospodara Jeremiego Mohyłę. Tronu pozbawiony został wówczas Stefan Răzvan, jeden z najlepszych dowódców Michała Walecznego podczas wojen z Turcją. Mohyła kazał nabić go na pal, a na oczach umierającego ściąć jego brata. Jak pisał ówczesny kronikarz Reinhold Heidenstein w swoich „Dziejach Polski": „Widok ten taką boleść w nim wzniecił, że się aż z palem cały zatrząsł". Wzbudził też oburzenie wśród Polaków nieprzyzwyczajonych do bałkańskiego sposobu załatwiania dynastycznych spraw.

W styczniu 1597 r. turecki wezyr Hasan Pasza zmuszony był uznać niezależność Wołoszczyzny pod rządami Michała. W marcu 1599 r. władze w Siedmiogrodzie objął były biskup warmiński Andrzej Batory. Ten bratanek Stefana Batorego spędził w Polsce prawie całe dorosłe życie, kształcąc się na duchownego. W październiku Michał poprosił austriackiego cesarza Rudolfa II o zgodę na koronację jako władcy Wołoszczyzny. Wkrótce potem Batory zażądał od niego



Jeremi Mohyła FOT. COMMONS WIKIMEDIA

zrzeczenia się tronu, obawiając się jego sojuszu z Austriakami.

Michał, nie czekając na dalsze posunięcia Batorego, ruszył na Siedmiogród. Sam później wyznał: „Wzrastałem w moim kraju, z moimi dziećmi, biorąc moją żonę i wszystko, co miałem, zawsze ze sobą i ze swoją armią. Dlatego nie dam teraz się tu pobić". Do jego armii tłumnie przyłączali się siedmiogrodzcy chłopi zwabieni obietnicą siedmiu lat bez podatków oraz bitni, ale traktowani w Siedmiogrodzie jako ludzie drugiej kategorii Szeklerzy, osadzani tam dla obrony granic.

Michał pokonał Batorego w październiku 1599 r. Niedoświadczony w wojaczce biskup zbiegł z pola bitwy. Uciekał do Polski, ale podczas przedzierania się przez Karpaty został złapany przez Szeklerów, którzy zabili go, a odciętą głowę przysłali Michałowi. Ten, pozorując sojusz z Habsburgami, ogłosił się cesarskim namiestnikiem w Siedmiogrodzie. Z Pragi, gdzie rezydował wówczas dwór Rudolfa II, wkrótce przysłano mu dwóch komisarzy do pomocy w rządach i kontroli jego poczynań.



Michał Waleczny FOT. COMMONS WIKIMEDIA

To poważnie zaniepokoiło kanclerza Jana Zamoyskiego, od dawna skupionego na Bałkanach. Obawiał się on wzrostu znaczenia Habsburgów i zjednoczenia pod ich protektoratem naddunajskich księstw. Nie uznawał władzy Michała, uważając go za parweniusza, który w młodości handlował bydłem. Z Mołdawii kanclerz chciał uczynić kolejne województwo Rzeczypospolitej.

Nietrudno było przewidzieć, że kolejnym celem Michała będzie właśnie Mołdawia. Była ona co prawda tureckim lennem, ale z silnymi polskimi wpływami. Sułtan zwyczajowo na hospodara wyznaczał kogoś przychylnego Polsce, a panująca rodzina Mohyłów powiązana była silnymi więzami z polską magnaterią z Kresów. Mołdawski bufor od strony Kozaczyzny i Dzikich Pól sprawiał, że Rzeczpospolita i Turcja nie wchodziły sobie w drogę, a Osmanowie mogli skoncentrować się na zmaganiach z Habsburgami. Stworzenie przez Michała nowego państwa w tym rejonie mogło kompletnie zaburzyć ten układ.

Sztokholm czy Konstantynopol?

W tym samym czasie rozpoczynał się konflikt Szwecji z Polską. Szwedzki Riksdag w lipcu 1599 r. zdetronizował Zygmunta III Wazę, a na tron powołał jego czteroletniego syna Władysława, pod warunkiem wychowania go w Szwecji na protestanta. Polski król oczywiście nie mógł się na to zgodzić. Szwedzi zaczęli zajmować Estonię. Uwikłany w szwedzkie spory dynastyczne i religijne Zygmunt interweniował w sprawie Siedmiogrodu i Michała u Rudolfa II, ale bez rezultatu.

W końcu pod wpływem wydarzeń na Bałkanach kazał Zamoyskiemu pomóc mołdawskiemu hospodarowi. Jednak sejm w marcu 1600 r. nie uchwalił podatków na wojnę. Zamoyski postanowił sfinansować wyprawę

eprasa.pl 95c197360b



„Głowa Andrzeja Batorego pokazywana Michałowi Walecznemu". Obraz Theodora Amana FOT. COMMONS WIKIMEDIA

z własnych pieniędzy i kazał zbierać wojsko. Do maja udało się zgromadzić ok. 7 tys. żołnierzy kwarcianych. Kresowi magnaci wystawili jeszcze ok. 3 tys. zbrojnych. Zamoyski wezwał też Kozaków, którzy zgodzili się wziąć udział w wyprawie pod warunkiem przywrócenia przywilejów utraconych po powstaniu Nalewajki. Stawiło się ich ok. 5 tys. Zamoyski miał też artylerię składającą się z ok. 50 dział. Całość jego sił liczyła ok. 15–17 tys. żołnierzy.

Zamoyski był doświadczonym dowódcą, walczył jeszcze wraz z Batorym przeciw Rosji. Hetman był dobrym taktykiem, potrafił wykorzystać nie tylko atuty husarii, lecz także świetnej polskiej piechoty w połączeniu z ogniem artylerii. Swoje kampanie doskonale przygotowywał, nie zaniedbując ani rozpoznania, ani logistyki. Towarzyszył mu również doświadczony, chociaż wciąż mający przed sobą największe sukcesy hetman polny koronny Stanisław Żółkiewski. W wyprawie uczestniczył także nabierający dopiero wojskowych szlifów przyszły hetman wielki litewski Jan Karol Chodkiewicz.

Michał w tym czasie nie próżnował. W marcu wkroczył do Mołdawii. Pod Suczawą przywitało go kilkanaście tysięcy Wołochów z czapkami na dzidach – był to znak, że uznają go za swojego władcę. Mohyła, przedzierając się przez krzaki, uciekł z pola bitwy do twierdzy w Chocimiu. Wkrótce pozostała ona jedyną w Mołdawii, która nie poddała się Michałowi. Ten próbował negocjacji z polskim królem, przedstawiając się jako prawowity władca Mołdawii. Miał wtedy w ręku wszystkie naddunajskie księstwa i był o krok od stworzenia z nich silnego państwa. Miał szanse na powodzenie, bo część polskich elit zrażona tchórzostwem Mohyły chciała postawić właśnie na Michała, byleby tylko wykazywał się lojalnością. Głównie ze względu na zdecydowaną postawę Zamoyskiego próby te spełzły na niczym. Hetman w planach miał osadzenie stronników Rzeczypospolitej we wszystkich rumuńskich księstwach, rozprawienie się ze Szwedami, a potem marsz na Konstantynopol. Jak mówił: „Nie po nogach się szarpać, ale drzeć się prosto do gardła!". Michał pod koniec czerwca wrócił do Siedmiogrodu, zagrożonego atakiem Austriaków i węgierską rebelią.

Na Bukareszt

Zamoyski z wojskami przekroczył Dniestr 4 września 1600 r. Nie miał czasu na długotrwałą kampanię, zdobywanie zamków czy izolowanie przeciwnika w górach. Zimowanie na obcym terenie nie wchodziło w grę. Trzeba było szybko rozbić wroga i stworzyć warunki do politycznego rozwiązania konfliktu. Potem wyruszyć na północ, na wojnę ze Szwecją. Zamoyski zaniechał zdobywania mołdawskiej stolicy Suczawy, zostawiając tam tylko 300 żołnierzy do blokowania jej. Nie wiedząc, gdzie znajduje się Michał, podzielił siły. Jedną część posłał za nim przez przełęcz Kimpulung, a sam z głównymi siłami czekał w Mołdawii.

Michał miał ok. 15–16 tys. żołnierzy. Była to zbieranina zaciężnych Serbów, Albańczyków, Bułgarów, Mołdawian, a nawet Polaków i Kozaków. Do tego serbscy i węgierscy hajducy, którzy nie brali żołdu, utrzymując się z łupów, oraz Szeklerzy. Większość stanowiły wołoskie formacje regularne i pospolite ruszenie. Wojsko to było słabo wyszkolone, mimo odniesionych zwycięstw morale było na niskim poziomie. Towarzyszyło im kilkadziesiąt armat, ale artylerzyści byli kiepscy. Uzbrojenie było słabsze od polskiego. Wołoska jazda była lżejsza, nie posiadała pancerzy i tylu kopii co Polacy. Jedynie część piechoty posiadała rusznice. Atutem Wołochów był natomiast ich głównodowodzący. Michał był energicznym i zdolnym dowódcą, potrafiącym wykorzystywać manewr i przewagę, które mógł dać teren. Był popularny wśród żołnierzy i opromieniony dotychczasowymi zwycięstwami.

W tym czasie w Siedmiogrodzie wybuchło powstanie Węgrów, wspieranych przez Austriaków. Michał przegrał bitwę pod Mirăslău i cofał się na Multany. Zamoyski stanął przed dylematem, czy próbować rozbić całkowicie przeciwnika przed zimą czy poprzestać na odzyskaniu Mołdawii. Szpiedzy przynosili informacje, że Michał zebrał nawet 50 tys. żołnierzy. Kilka tysięcy husarzy, których miał pod komendą Zamoyski, na pewno było atutem w walce z Wołochami. Kilkadziesiąt lat później tak to opisywał mołdawski kronikarz Miron Costin: „Wojska wojewody Michała nie były przyzwyczajone do tego rodzaju wojsk, jakim była husaria. Ten rodzaj wojsk, jak się rzekło, jest cały w żelazie, że widać tylko oczy i wargi. Wielu zakłada i skrzydła ustawione z piór orlich lub innych wielkich ptaków, a znaczniejsi skóry lamparcie na zbroję. Natomiast słudzy, którzy nie mają skór lamparcich, zakładają kilimy na wzór turecki, zaś na łby koni kładą płytki żelazne, a wielu i na

eprasa.pl 95c197360b

piersi koni dla ochrony od kul. Nie każdego konia dosiadają husarze, ale tylko największe, ażeby mogły unieść tarę, i zawsze konie fryzyjskie z Niemiec albo konie tureckie czystej krwi. W walce nigdy nie poruszają się szybciej niż kłusem, ale tylko przeciw piechocie czy taborowi, przeciw wojskom jazdy lekkiej, jakim są Tatarzy, nigdy nie używa się ich, ponieważ Tatarzy rozpraszają się i nie mogą uczynić żadnego użytku z kopii. Kopie ich są długie na osiem łokci z proporcami aż do ziemi. W walce stoją jak mur". Jednak nawet oni nie poradziliby tak licznemu przeciwnikowi. Angażowanie się na Wołoszczyźnie mogło też spowodować reakcję Turków. Kanclerz postanowił mimo wszystko doprowadzić sprawę do końca i nakazał ruszyć w kierunku Bukaresztu.

Michał, być może licząc na to, że Zamoyski zrezygnuje, wycofywał się w głąb Wołoszczyzny. Polacy nie zwalniali tempa, depcząc Wołochom po piętach. 20 października dopadli ich główne siły. Michał dobrze wybrał pole bitwy pod wsią Bukowo. Jego wojska z trzech stron osłonięte były górami, a z czwartej lasem i bagnami. Wykluczało to użycie husarii. Zamoyski kazał ostrzelać las, w którym kryli się Wołosi, a potem rzucił na nich piechotę, Kozaków i lekkich konnych harcowników. Kiedy piechota wykurzyła Wołochów z lasu i wyszła na otwarte pole, została zaatakowana przez jazdę. Polacy zaczęli się cofać. Wtedy z lasu wyjechała polska lekka jazda, rozpędzając przeciwnika. Reszta uciekła z pola bitwy. Husaria nie miała już z kim walczyć. Po polskiej stronie poległo kilkudziesięciu żołnierzy. Zdobyto 95 wołoskich chorągwi. Michał stracił ok. tysiąca żołnierzy i uciekł w kierunku na Târgoviște, ścigany przez roty Karnkowskiego i Potockiego.



Jan Zamoyski
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, RIJKSMUSEM AMSTERDAM

Droga do Bukaresztu stanęła otworem. Zamoyski mógł myśleć o osadzeniu tam władcy sprzyjającego Polsce. Tym bardziej że do polskiego obozu zaczęli zjeżdżać wołoscy bojarzy, oferując swoje kandydatury. Zamoyski miał swojego kandydata. Wybór padł na Szymona Mohyłę, brata Jeremiego. Przebywał on wcześniej w Polsce, gdzie też nabył szlachectwo. Najważniejsze było to, że mógł uzyskać poparcie Wysokiej Porty. Mohyła razem ze starostą kamienieckim Janem Potockim i wojskową eskortą uroczyście wjechał do stolicy 1 listopada 1600 r.

Cztery szarże

W tym czasie Michał próbował ponownie zebrać wojsko w górskiej wiosce Ruda. Część swoich sił – ok. 4 tys. żołnierzy pod dowództwem hetmana Udrei Băleanu – wysłał w kierunku Curtea de Argeș, dawnej stolicy hospodarstwa. Potocki na wieść o zbliżających się Wołochach ruszył im naprzeciw doliną rzeki Ardżesz, na północ od Bukaresztu. Prowadził ze sobą ok. tysiąca husarzy, 700 Kozaków i pół tysiąca piechoty. Do tego dwie chorągwie lekkiej jazdy. Razem jakieś 2,5 tys. żołnierzy.

Rankiem 25 listopada Polacy dotarli pod miasto i zatrzymali się przed rzeką. Straż przednia przyniosła informacje, że Băleanu przyszykował w mieście zasadzkę. Polacy po przejściu przez most mieli być wciągnięci między zabudowania, gdzie nie mogła szarżować kawaleria, i mieli zostać zaatakowani z trzech stron. Potocki skierował swoje siły na południe. Idąc przez lasy i chaszcze, znalazł bród i przeprawił się przez rzekę. Potem pod osłoną lasu zbliżył się do miasta. Băleanu, widząc zbliżające się oddziały, wyszedł im naprzeciw, by umożliwić ucieczkę Michałowi. Polska husaria musiała szarżować aż cztery razy, a zwykle po trzeciej szarży nie było co zbierać. Wołosi stawali dzielnie, ale w końcu uciekli. Niedobitków ścigały jazda i piechota. Michał Waleczny, który z posiłkami znajdował się ok. 15 km od Curtea de Argeș, na wieść o klęsce uciekł w góry. Większość jego żołnierzy wraz z bojarami opuściła go i poddała się Mohyle. Odnalazł się też sam Băleanu, składając hołd Szymonowi. Po kilku miesiącach odkryto, że był on zamieszany w spisek przeciwko hospodarowi. Wówczas to, mimo protestów Polaków, został bez sądu ścięty.

Wołosi mieli stracić 1,5 tys. żołnierzy i 17 chorągwi. Michał Waleczny uciekł najpierw do Siedmiogrodu, a potem na cesarski dwór do Pragi, gdzie chciał wyprosić pomoc. Rudolf II w styczniu 1601 r. przyjął go na audiencji i polecił znowu udać się na Bałkany razem ze swoim niedawnym przeciwnikiem, włoskim generałem w cesarskiej służbie Giorgiem Bastą. Po zwycięskiej bitwie z siedmiogrodzkimi wojskami Zygmunta Batorego pod Guruslău w sierpniu 1601 r. Michał został zamordowany w swoim namiocie na polecenie Basty, który pozbył się konkurenta do władzy i sam został wojskowym zarządcą Siedmiogrodu. Michał do dzisiaj jest jednym z największych rumuńskich bohaterów. Jego imię nosi najwyższe wojskowe odznaczenie. Ze względu na swoje zasługi porównywany jest do Williama Wallace'a, XIII-wiecznego bohatera walczącego o niepodległość Szkocji (zwanego Walecznym Sercem).

Rządy Szymona Mohyły w Bukareszcie nie potrwały długo. Po opuszczeniu miasta przez Potockiego w styczniu 1601 r. został on usunięty z tronu, na który z polską pomocą powrócił na krótko w 1602. Potem, po śmierci brata, został hospodarem Mołdawii.

Bitwa pod Curtea de Argeș, mimo że z biegiem czasu została zapomniana, może równać się z największymi polskimi zwycięstwami pod Kircholmem, Kłuszynem czy Chocimiem, gdy husaria rozbijała kilkukrotnie silniejszego przeciwnika. Stanowi świadectwo czasów, kiedy dzięki garstce elitarnych żołnierzy możliwe było polskie panowanie na ogromnych obszarach rozciągających się od północnego Bałtyku aż do Bałkanów. Z czasem stało się to przekleństwem Rzeczypospolitej, której elity, wierzące w możliwości husarii, zaniechały reform, polegając na jej coraz bardziej iluzorycznej sile.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 95c197360b



Piotr Włoczyk

Północnowietnamscy komuniści urządzili piekło amerykańskim jeńcom wojennym. W straszliwym obozie w Hanoi starali się ich złamać i pozbawić honoru. Amerykanie mieli jednak swoje sposoby, by zagrać na nosie swoim oprawcom...



John McCain (na pierwszym planie z prawej) FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LIBRARY OF CONGRESS, US ARMY

Wietnam Północny / John McCain i William Robinson w niewoli

Horror „Hanoi Hilton”

26 października 1967 r. John McCain wykonywał misję bombową nad Wietnamem Północnym, gdy jego douglas A-4 skyhawk został trafiony rakietą przeciwlotniczą. Pocisk urwał skrzydło samolotu i McCain musiał wyskoczyć z maszyny. Trzydziestojednoletni wówczas pilot US Navy wylądował w jeziorku w centrum Hanoi. McCain był poważnie ranny, miał połamane kończyny, ale jego stan nie robił wrażenia na tłumie, który wyciągnął go z wody. Oficer został pobity, a co bardziej krewcy oprawcy dźgali go bagnetami.

Północni Wietnamczycy szybko zrozumieli, że dostali w swoje ręce wyjątkowo cenną zdobycz. Ojciec jeńca, John McCain senior, był admirałem US Navy i kilka miesięcy później prezydent Lyndon B. Johnson awansował go na dowódcę całości sił amerykańskich na Indo-Pacyfiku. Wietnamscy komuniści zaczęli nazywać swojego najważniejszego jeńca „księciem koronnym”. McCain junior trafił w niedługim czasie do „Hanoi Hilton”, byłego francuskiego więzienia Hoa Lò w stolicy Wietnamu Północnego, któremu amerykańscy jeńcy nadali tak ironiczną nazwę. W jego murach przyszły amerykański senator i kandydat na prezydenta przeżył istny horror, podobnie jak inni amerykańscy jeńcy. Północni Wietnamczycy stworzyli cały system wyrafinowanych tortur, którym poddawano wrogów. Szczególnie zależało im na tym, by syn admirała US Navy wyraził zgodę na iście diabelski układ, dzięki któremu pohańbiłby honor swój i ojca.

Widocznym śladem tamtych tragicznych przeżyć były problemy, z którymi McCain zmagał się do końca życia przy podnoszeniu rąk. Na spotkaniach wyborczych kandydat republikanów nigdy nie mógł swobodnie pomachać tłumom – połamane w trakcie tortur barki nie pozwalały mu na taki „luksus”. „Hanoi Hilton” na pięć lat stało się dla McCaina piekłem na ziemi. Choć w trakcie uwięzienia pojawiały się też iskry nadziei, np. wtedy gdy okazało się, że Waszyngton nie zapomniał o swoich ludziach i zorganizował dla nich brawurową akcję ratunkową...

Jeniec ze znaczka

Dwa lata wcześniej, w 1965 r., północnowietnamska rakieta zestrzeliła amerykański helikopter ratunkowy, którym leciał kpt. William Robinson.

– Na początku konfliktu w Wietnamie służyłem w lotniczej jednostce ratunko-

eprasa.pl 95c197360b



William Robinson w niewoli FOT. POW.NETWORK.ORG

wej. 20 września 1965 r. mieliśmy sprowadzić do naszej bazy w Tajlandii pilota myśliwca, który został zestrzelony nad północnym Wietnamem niedaleko granicy z Laosem. Wcześniej pomyślnie wykonaliśmy trzy misje tego typu. Za czwartym razem opuściło nas szczęście. Wietnamczycy znaleźli pilota przed nami i spokojnie sobie na nas czekali – powiedział w rozmowie z „Historią Do Rzeczy" Robinson. – Zestrzelenie naszego śmigłowca nie było dla nich żadnym wyzwaniem. Na ziemi byliśmy praktycznie bezbronni, więc staraliśmy się wymknąć obławie. Po drodze odłączył się od nas drugi pilot, którego szybko straciliśmy z oczu. W niedługim czasie Wietnamczycy schwytali całą naszą trójkę i zabrali nas do najbliższej wioski, gdzie wystawili nas na widok publiczny jak jakieś trofea.

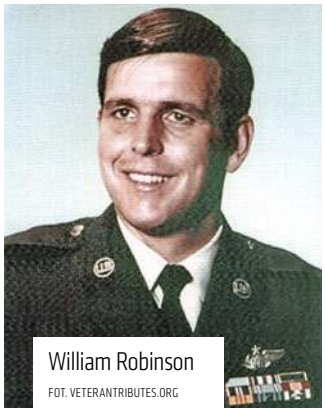
William Robinson był jednym z najdłużej przetrzymywanych amerykańskich jeńców wojennych. W sumie w północnowietnamskich obozach więziony był przez siedem i pół roku. Większość tego czasu spędził w „Hanoi Hilton".

W niedługim czasie po zestrzeleniu północnowietnamska poczta wypuściła znaczek, na którym widać potężnie zbudowanego Robinsona prowadzonego pod bronią przez kogoś wyglądającego jak dziecko.

– To nie było dziecko, tylko 17-letnia bardzo drobna dziewczyna. Cała sytuacja była zwykłą ustawką, którą zaaranżowano trzy dni po pojmaniu naszej trójki. Zdjęcie, z którego zrobiono znaczek, pojawiło się potem w północnowietnamskich podręcznikach szkolnych, opatrzone odpowiednią historyjką: byłem po zęby uzbrojonym zestrzelonym lotnikiem. Gdy natknąłem się na tę dziewczynę w jednej z wiosek, uderzyło mnie, jak bardzo podobna była do mojej siostry. Ostatecznie więc zamiast zabić ją, złożyłem przed nią broń – opowiadał Robinson. – A prawda jest taka, że gdy robiono to zdjęcie, wokół nas szło mniej więcej 100 uzbrojonych chłopów. Wietnamczycy wypuścili ten znaczek z okazji zestrzelenia dwutysięcznego amerykańskiego samolotu, co oczywiście było niedorzecznością. Ich propagandyści mieli spore kłopoty z matematyką.

Po latach Robinson dowiedział się, że we wrześniu 1965 r., gdy zestrzelono jego helikopter, w niewoli przebywało jedynie 22 amerykańskich jeńców wojennych. Pierwszym był Everett Alvarez, który został zestrzelony już w sierpniu 1964 r., podczas ataku przeprowadzonego przez USA w ramach odwetu za tzw. incydent w Zatoce Tonkińskiej, gdy Wietnamczycy z Północy ostrzelali okręty US Navy.

– Gdy pojawiłem się w „Hanoi Hilton", Alvarez siedział tam już od 14 miesięcy. Wietnamczycy nie nazywali nas jeńcami, tylko zbrodniarzami. Nie zawracali sobie głowy III konwencją genewską. Straszyli nas, że po wojnie dojdzie do wielkiego procesu, w wyniku którego zostaniemy rozstrzelani – opowiadał Robinson. – Trzymano nas w przeraźliwie ciasnych celach. Byliśmy dręczeni przez głód, brud, choroby i tortury, do których nasi oprawcy bardzo chętnie wykorzystywali sznury. Całe dnie spędzaliśmy mocno związani. Poza tym strażnicy często sięgali po wieszanie za związane z tyłu ręce. No i jeszcze dochodziły do tego standardowe bicie i niepozwalanie na sen. Dziś mam wrażenie, że nie przespałem porządnie ani jednej nocy przez cały mój ponad siedmioletni „turnus".



William Robinson
FOT. VETERANTRIBUTES.ORG

Wietnamskim komunistom zależało na tym, by Amerykanie z „Hanoi Hilton" podpisywali się pod zeznaniami, w których wyszczególnione były kolejne zbrodnie na cywilach. Władze w Hanoi liczyły też na to, że niektórzy jeńcy złamią się i wyrażą zgodę na zwolnienie z niewoli poza ustalonym porządkiem (według kodeksu honorowego funkcjonującego w amerykańskich siłach zbrojnych w pierwszej kolejności zwalniani byli ciężko chorzy – zdrowi mieli wracać do domów zgodnie z kolejnością znalezienia się w niewoli). Komuniści robili wszystko, by przede wszystkim John McCain zgodził się na zwolnienie przed czasem. Gdy stanowczo odmówił, przez kolejne cztery dni był bestialsko bity. Jak opisywał to potem w swojej książce na temat czasów niewoli, zaczął wówczas poważnie rozważać samobójstwo. W wyniku bicia ugiął się i podpisał pismo, w którym mowa była o amerykańskich zbrodniach. Potem tłumaczył: „Wówczas zrozumiałem to, czego wszyscy się tam nauczyliśmy: każdy człowiek ma swoją granicę wytrzymałości. Ja wtedy dotarłem do mojej". Podpisanie tego pisma i tak nie miało większego znaczenia i władze w Waszyngtonie doskonale rozumiały, w jakich okolicznościach McCain wykonał ten krok. Najważniejsze, z punktu widzenia jego honoru, jest to, że nie przystał na propozycję zwolnienia poza kolejką.

„Nigdy nie czułem się bardziej wolny, bardziej sobą, jak właśnie wtedy, gdy byłem niewielką częścią zorganizowanego

eprasa.pl 95c197360b

oporu wobec siły, która mnie więziła – napisał McCain w swoich wspomnieniach. – Nic w życiu nie daje większego poczucia wolności niż walka o sprawę, która jest ważniejsza od ciebie samego".

Wiersz pięciuset

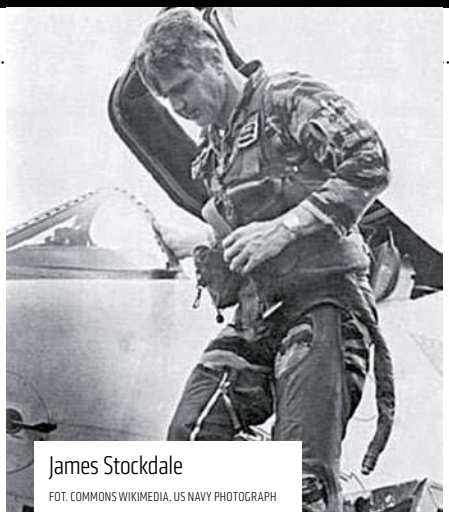
William Robinson zapamiętał McCaina jako zwykłego kolegę z jenieckiej celi, który absolutnie nie próbował się wywyższać.

– Prawdę powiedziawszy, wszyscy wyglądaliśmy tak samo w więziennych łachmanach. John był po prostu jednym z nas, „lokatorów" „Hanoi Hilton" – mówił „HDR" Robinson. – Byliśmy dręczeni przez głód, brud, choroby i tortury. Ho Chí Minh nie mógł uderzyć bezpośrednio w Amerykę, więc wyładowywał się na nas. Przez cały okres niewoli głównym priorytetem było dla mnie zachowanie honoru. Nie dopuszczałem do siebie myśli, że mógłbym pójść na współpracę w zamian za wcześniejsze zwolnienie. Niestety, 11 jeńców wykorzystało ofertę Wietnamczyków i wyłamało się z tego postanowienia.

Wśród tych, którzy skorzystali z propozycji wcześniejszego zwolnienia, był Doug Hegdahl. Jego jednak nikt w Pentagonie nie posądził o utratę honoru. Hegdahl miał bowiem do wykonania wyjątkowo ważną misję, do której wybrany został z powodu swojej doskonałej pamięci.

– Doug Hegdahl miał przedstawić naszym władzom listę blisko 500 jeńców, którą zapisał w pamięci. Ułożył z naszych nazwisk wierszyk, który powtarzał tysiące razy. Dzięki temu wiele rodzin dowiedziało się, że ich bliscy przeżyli i są w niewoli – podkreślał Robinson. – Przez trzy i pół roku uważano mnie za zaginionego w akcji... Dla nas – jeńców – najważniejsze było to, że dzięki Dougowi Wietnamczycy nie mogli nas tak łatwo likwidować, ponieważ nasz rząd wiedział już dokładnie, kto jest na liście jeńców. Cały świat dowiedział się też szczegółów na temat tortur, którym byliśmy poddawani.

Również mój rozmówca był zmuszany do podpisywania tego, co podsuwali jeńcom północnowietnamscy propagandyści. Czasem wystarczył sam podpis, ale kiedy indziej komuniści wymagali,

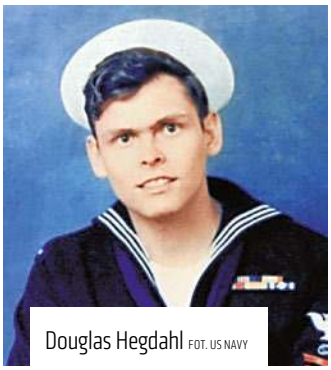


James Stockdale
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, US NAVY PHOTOGRAPH

by jeńcy własnoręcznie opisywali swoje zbrodnie.

– Generalnie staraliśmy się maksymalnie zagmatwać te oświadczenia, żeby nie miały żadnego sensu. Ja np. napisałem, że jestem „pośrednim zbrodniarzem". Napisałem też, że mogłem pomóc tym, którzy być może popełnili zbrodnie. Ten bełkot był nic niewart, ale komuniści byli zadowoleni, że mają „dowody" naszej winy. Zawsze jednak wracali po coś nowego. Mieliśmy ogromny problem z amerykańskimi pacyfistami w rodzaju Jane Fondy i jej podobnych. Za każdym razem, gdy ci ludzie zrobili jakąś akcję antywojenną, Wietnamczycy chcieli, żebyśmy napisali list z poparciem. Chcieli, żebyśmy potępili nasz rząd. Zawsze, gdy pojawiało się coś, co mogli wykorzystać, wyciągali narzędzia tortur i cała „zabawa" zaczynała się na nowo.

Robinson wspominał też, sytuacje, gdy jeńcy grali na nosie północnowietnamskiemu reżimowi. Przykładowo Paul Galanti podczas jednej z sesji zdjęciowych, siedząc na stołku, dyskretnie wyprostował środkowe palce. Wietnamczycy zauważyli później ten gest i wymazali na zdjęciu jego palce, co jednak ostatecznie również zwróciło uwagę ludzi.



Douglas Hegdahl FOT. US NAVY

– Z kolei Dick Stratton, gdy wezwano go na konferencję prasową, zaczął się kłaniać w koło jak oszalały. Była to głośna sprawa, ponieważ pojawiły się obawy, że zupełnie wyprano nam w niewoli mózgi. Nic z tych rzeczy – Dick był doskonałym aktorem. Natomiast kontradmirał Jeremiah Denton, późniejszy senator, podczas ustawionego przez Wietnamczyków wywiadu telewizyjnego wymrugał alfabetem Morse'a słowo „tortury" – opowiadał Robinson. – Dzięki takim ludziom żyliśmy w dyscyplinie i utrzymywaliśmy wysokie morale. Był on – obok generała lotnictwa Jamesa Robinsona Risnera i wiceadmirała Jamesa Stockdale'a – liderem, dzięki któremu dotrwaliśmy do końca. Przy okazji warto przypomnieć, że wiceadmirał Stockdale dostał po zwolnieniu z niewoli najwyższe odznaczenie wojskowe w USA – Medal Honoru. Najpierw bowiem okaleczył swoją twarz, by Wietnamczycy nie mogli go wykorzystać w swoich propagandowych szopkach, a następnie targnął się na własne życie, pokazując naszym wrogom, że jego opór nie zna granic. Szczęśliwie jednak udało się Wietnamczykom odratować tego bohatera. Wielu oficerów dowodzi w myśl zasady: „rób to, co mówię". Wiceadmirał Stockdale wychodził z innego założenia: „rób to samo, co ja robię".

Eskorta myśliwców

Przełomowym momentem w trakcie gehenny amerykańskich jeńców był listopad 1970 r., gdy amerykańskie wojska specjalne dokonały nieudanej próby odbicia jeńców z obozu Son Tây, leżącego niedaleko Hanoi.

– Na ziemi okazało się, że dane wywiadowcze były trefne – więzienie było już od jakiegoś czasu puste. Misja zakończyła się niepowodzeniem, jednak w związku z próbą odbicia Wietnamczycy zgromadzili nas wszystkich w „Hanoi Hilton". Od tamtej pory całe więzienie było tylko dla nas, ponieważ wyrzucono z niego wietnamskich więźniów. Wtedy po raz pierwszy przetrzymywano nas w grupach po 30–40 ludzi. Tak dotrwaliśmy do końca wojny, czyli jeszcze ponad dwa lata – wspominał Robinson.

Wreszcie w styczniu 1973 r., po podpisaniu porozumienia kończącego wojnę

eprasa.pl 95c197360b



Więzienie „Hanoi Hilton” FOT. COMMONS WIKIMEDIA, UNITED STATES AIR FORCE

wietnamską, jeńcy dowiedzieli się, że lada dzień wszyscy wrócą do domu.

– To był niezapomniany 12 lutego 1973 r. Wypuszczano nas w kolejności zestrzelenia, ale pierwszeństwo mieli chorzy i ranni, dlatego wyleciałem z Wietnamu Północnego dopiero na pokładzie drugiego samolotu. Podczas odrywania się od ziemi wcale nie towarzyszyła mi jednak radość. Zdawaliśmy sobie bowiem sprawę, że wciąż byliśmy w polu rażenia nieprzyjacielskich pocisków przeciwlotniczych. Nigdy nie ufaliśmy tym ludziom. Mieli przecież na swoich rękach krew bardzo wielu amerykańskich jeńców. Radość wybuchła dopiero wtedy, gdy znaleźliśmy się nad wodą, poza zasięgiem ich obrony przeciwlotniczej, a obok samolotu nagle pojawiła się eskorta naszych myśliwców. Lecieliśmy w takiej obstawie całą drogę aż do bazy na Filipinach – opowiadał Robinson.

John McCain został wypuszczony z niewoli 14 marca 1973 r. „Nie jestem w stanie opisać tego, jak się czułem, gdy szedłem w kierunku samolotu US Air Force” – wspominał amerykański senator. „W niewoli zakochałem się w moim kraju. Wcześniej też kochałem Amerykę, ale wtedy, jak to u większości młodych ludzi, moje uczucie było tylko czymś niewiele większym od zwykłego docenienia komfortu i przywilejów, które większość Amerykanów uważała za coś, co im się należy. Dopiero, gdy straciłem Amerykę na pewien czas, zrozumiałem, jak bardzo ją kocham” – podkreślał McCain.

William Robinson wrócił do Wietnamu w 1995 r., w 30. rocznicę zestrzelenia swojego helikoptera.

– To już był zupełnie inny kraj. Coca-colę można było kupić wszędzie. Odwiedziłem „Hanoi Hilton”, które było akurat wyburzane. W jego miejscu miał powstać... prawdziwy hotel. Zabrałem stamtąd cegłę, która do dziś leży w reprezentacyjnym miejscu w moim domu – mówił Robinson. – Przebaczyłem Wietnamczykom całe zło, które mi osobiście wyrządzili. Nie mogę jedynie wybaczyć im dwóch rzeczy: tego, że zabijali naszych jeńców, oraz tego, że nie powiadomili naszych rodzin o naszym losie. To niewybaczalne zbrodnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



eprasa.pl 95c197360b



Camille Jenatzy w elektrycznym samochodzie Jamais Contente

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, JULES BEAU

Przełom wieków XIX i XX / Wyścig „elektryków" i „benzyniaków"

Tesle belle époque



Jakub Ostromęcki

Nieco ponad 100 lat temu po ulicach europejskich i amerykańskich miast jeździło więcej aut elektrycznych niż spalinowych. Dlaczego więc w XX w. zatriumfowała benzyna?

Pod koniec XIX w. niejeden Europejczyk czy Amerykanin kpił ze śmierdzącego i z głośnego auta napędzanego łatwopalną cieczą. W latach 90. tamtego stulecia prym wiodły samochody parowe i elektryczne. W 1901 r. w USA, gdzie jeździła połowa wszystkich zbudowanych na świecie samochodów, 40 proc. stanowiły auta parowe, 37 proc. elektryczne i tylko 23 proc. spalinowe. Nic nie wskazywało wówczas na to, że silnik spalinowy zatriumfuje. Odpowiedź na pytanie, dlaczego elektryki przegrały ten wyścig, nie jest wcale oczywista i nie sprowadza się tylko do kwestii technicznych.

Do wprawienia w ruch samochodu elektrycznego potrzebujemy akumulatora, który wytworzy napięcie dzięki reakcjom chemicznym zachodzącym w zgromadzonych w nim cieczach, metalowych płytkach lub dyskach. Baterię taką zaprezentowano już w pierwszej połowie XIX w. Był jednak pewien szkopuł. Tak zwany stos wolty, wyglądający jak stylowy i masywny pionowy stojak na płyty CD, nie nadawał się do montażu w pojazdach. Był również tzw. baterią pierwotną, czyli raz rozładowany nie nadawał się już do użytku. Napięcie w takim stosie wystarczyło w 1837 r. Thomasowi Davenportowi zaledwie do napędzenia elektrycznej zabaweczki jadącej w kółko wokół prymitywnego akumulatora. Akumulator z prawdziwego zdarzenia jako pierwszy stworzył w latach 80. XIX w. Camille Faure. Miał on kształt walizki, jego wnętrze wypełniały ołowiane płyty i kwas siarkowy, a także można go było wielokrotnie ładować i montować w pierwszych samochodach.

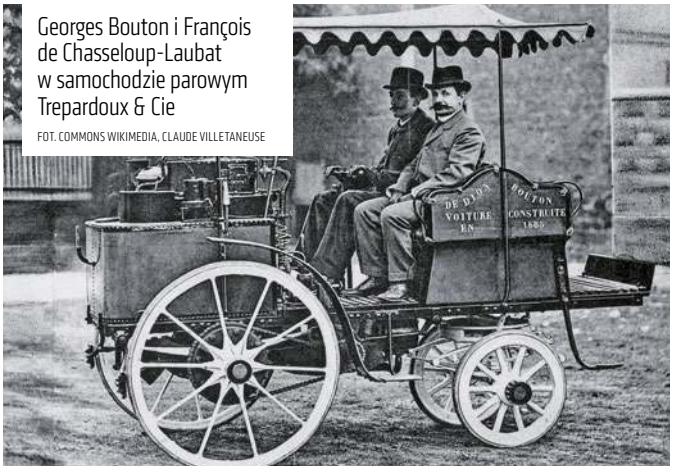
Silnik elektryczny zamienia energię elektryczną w mechaniczną. Od połowy XIX w. niewiele się tu zmieniło. Składa się on z poziomego bębna, który zarazem jest magnesem, i zamontowanego w środku bębna metalowego wirnika z ciasno nawiniętym miedzianym drutem, przez

eprasa.pl 95c197360b

który biegnie prąd dostarczony kablami z akumulatora. Wzajemne oddziaływanie prądu i magnesu powoduje ruch wirnika, który łatwo możemy przenieść na koła za pomocą kół zębatych czy skórzanych pasów. Silnik taki był wydajniejszy niż parowy, nie kapały z niego olej ani smar, nie trzeba było wozić ze sobą węgla ani kotła z wodą. U świtu motoryzacji silniki w samochodach elektrycznych działały na prąd stały, który płynie zawsze w jednym kierunku – „od minusa do plusa". Prąd w takim silniku do wirnika dostarczany jest za pomocą metalowych, ocierających się o niego szczotek. Był to najmniej trwały z elementów silnika, szybko się wycierał, a źle zamontowany czasem iskrzył.



Gustave Truové w elektrycznym samochodzie z silnikiem Siemensa Slemens FOT. COMMONS WIKIMEDIA, JACQUES CATELLAN, BIBLIOTHEQUE NATIONALE DE FRANCE



Georges Bouton i François de Chasseloup-Laubat w samochodzie parowym Trepardoux & Cie FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CLAUDE VILLETANEUSE

Wizja Tesli

Nie byłoby samochodów elektrycznych bez dwóch gigantów: Thomasa Edisona, człowieka, który rozświetlił cywilizację zachodnią, i Wernera von Siemensa, który poruszył jej miasta. Edison w 1882 r. zbudował pierwszą elektrownię węglową produkującą prąd stały, dzięki której najpierw dostarczono prąd do tysięcy żarówek, a potem do sieci trakcyjnej zasilającej tramwaje miejskie, wprowadzone na ulice przez Siemensa. Robotnicy i klasa średnia nie musieli teraz osiedlać się w bezpośrednim pobliżu fabryk i biur, ale mogli dojeżdżać do pracy z odległych dzielnic. W tramwajach panował jednak niemiłosierny ścisk, śmierdziało w nich, roiło się od kieszonkowców i zboczeńców – stąd bardziej wrażliwi przedstawiciele klasy średniej, zwłaszcza panie, zaczęli rozglądać się za równie sprawnym pojazdem, dającym jednak poczucie intymności i komfortu. Rower dawał go tylko w ograniczonym zakresie, ale tabuny cyklistów wymusiły na włodarzach miast i przedmieść poprawę stanu dróg i ulic, co z kolei pomogło w rozwoju motoryzacji – nie tylko elektrycznej.

Gdzie jednak miejsce dla trzeciego z wielkich wynalazców – Nikoli Tesli? Przecież od jego nazwiska pochodzi nazwa najsłynniejszego dziś koncernu produkującego samochody elektryczne. Współczesne elektryki, w przeciwieństwie do tych sprzed stulecia, napędzane są jednym z ważniejszych wynalazków słynnego Serba – dużo wydajniejszymi i mniej awaryjnymi silnikami na prąd przemienny, czyli taki, który mamy w domu w gniazdku elektrycznym. Dziś w samochodach prąd z akumulatora, czyli prąd stały, musi zostać zamieniony na prąd przemienny za pomocą tzw. falownika. Pod koniec XIX w., gdy ludzkość dopiero zaznajamiała się z prądem przemiennym, technologia ta była jeszcze w powijakach. Przez dziesięciolecia elektryki napędzane były więc silnikami na prąd stały.

Tesla nie był wielkim fanem motoryzacji, a jego silniki znalazły zastosowanie w przemyśle ciężkim i górnictwie. Zamiast silnika na prąd przemienny Tesla proponował twórcom samochodów napęd turbinowy. Polegał on na tym, że w cylindrycznej turbinie umieszczano blisko siebie metalowe, cienkie dyski. Do cylindra wprowadzano wężykiem ciecz pod ciśnieniem, która przywierając do ciasno ułożonych dysków, napędzała je. Ówczesne koncerny samochodowe nie były zainteresowane tą turbiną, ale dzięki doświadczeniu zdobytemu w czasie jej powstawania Tesla stworzył bardzo precyzyjny prędkościomierz montowany od 1916 r. w (spalinowych) lincolnach i rolls-royce'ach. Tesla, jako ojciec samochodów elektrycznych, objawił się dopiero na początku obecnego milenium.

Pionierami elektromobili w Europie było dwóch brytyjskich wynalazców z Finsbury Technical College: William Ayrton i John Perry. W październiku 1882 r. zamontowali oni napęd elektryczny w trójkołowcu i z zawrotną jak na owe czasy prędkością 14 km/h wybrali się na przejażdżkę po Queen Victoria Street. Ich akumulator starczył na przejechanie 40 km.

Pod koniec XIX w. elektryki pobiły dwa rekordy prędkości. W 1898 r. hrabia Gaston de Chasseloup-Laubad na samochodzie konstrukcji Charlesa Jeantauda osiągnął 63 km/h. Jego pojazd miał moc 36 KM (dla porównania: dzisiejsze elektryki mają ich grubo ponad 200) i ważył prawie 1200 kg, z czego 420 kg przypadało na akumulator. Po dobrych europejskich drogach był w stanie przejechać 29 km bez ładowania. W USA, gdzie w XIX w. drogi było dużo gorsze, zasięg byłby oczywiście mniejszy.

W 1899 r. samochód elektryczny pobił magiczną granicę 100 km/h. Dokonał tego rudowłosy Belg, Camille Jenatzy, w pojeździe przypominającym pocisk o nazwie La Jamais Contente. Bez ładowania mógł przejechać 48 km. W tym samym roku Louis Krieger z Paryskiego Przedsiębiorstwa Wozów Elektrycznych użył jako pierwszy prądnicy samochodowej. Jego akumulator ładował się, gdy pojazd zjeżdżał z góry.

Samochody elektryczne różnie radziły sobie w wyścigach. Mogły rozwijać wysokie prędkości na krótkich dystansach, ale od podium często oddzielały je

eprasa.pl 95c197360b

rozładowane akumulatory. W listopadzie 1895 r. w rajdzie Chicago – Evanston żaden z elektryków nie ukończył trasy, ponieważ z powodu swojej wagi samochody na prąd grzęzły w śniegu. Ale już w rajdzie w Providence elektryki zajęły jednak dwa pierwsze miejsca.

Typy i kategorie amerykańskich aut elektrycznych były bardzo zróżnicowane pod względem ceny. Mały runabout, napędzany silnikiem mającym raptem 2,5 KM, kosztował w 1899 r. 750 dol., a i tak był 50 razy droższy od bryczki konnej. Brougham był duży, luksusowy i trzeba było na niego wyłożyć 5 tys. dol., czyli tyle, ile robotnik zarabiał w dekadę. Pierwsze elektryki były ciche, nie przegrzewały się, nie psuły i były łatwe w prowadzeniu. W USA fantazjowano w latach 90. XIX w. o rychłych podróżach elektrykami od oceanu do oceanu.



Samochód Detroit Electric FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CALIFORNIA AUTOMOBILE MUSEUM, CULLEN328

Spalinowa mordęga

O ile napęd elektryczny przyszedł na świat przy zachwycie tłumów, o tyle silnik spalinowy rodził się bólach i przy wrogości gawiedzi. Gottlieb Daimler i Wilhelm Maybach w 1885 r. zamontowali silnik spalinowy w łódce i wypłynęli nią na rzekę Neckar, nieopodal zresztą miejsca, gdzie za kilka lat miała powstać pierwsza w Europie elektrownia wytwarzająca prąd przemienny. Okoliczni mieszkańcy byli oburzeni smrodliwym i hałaśliwym urządzeniem, ale bezczelni wynalazcy, zadowoleni z pracy silnika, zamontowali go w powozie konnym i pewnego dnia postanowili przejechać się po Stuttgarcie. Przechodnie rzucali w diabelski pojazd kamieniami. W 1885 r. w Mannheim Karl Benz uruchomił swój pierwszy trzykołowy samochód spalinowy, ale nie dał rady wyjechać nim nawet za dziedziniec warsztatu, uderzając w ścianę. Trzy lata później jego żona ruszyła w pojedynkę w przejażdżkę kolejnym modelem samochodu męża i pod górę musiała pchać go wraz ze starszym synem, za kółkiem sadzając młodszego. Wszystko obserwował tłum gapiów.

Kierowanie pierwszymi samochodami spalinowymi było bardzo utrudnione. Chcąc zwiększyć prędkość, kierowca nie tylko wciskał pedał gazu, lecz także manetką musiał regulować otwarcie przepustnicy w gaźniku. Przed ruszeniem należało wciskać pompkę umieszczoną koło kierownicy, aby zwiększyć ciśnienie w baku. Sporo siły trzeba było włożyć zarówno w kierowanie nieergonomicznie ustawioną drewnianą kierownicą, jak i w zmienianie biegów.

Thomas Edison stwierdził w latach 80. XIX w., że przyszłość należy do samochodów elektrycznych. Uważał tak do momentu, aż doświadczył słabości ich baterii. Rzadko pozwalały one przejechać więcej niż 50 km.

Dogmaty i zaklęcia wyznawców elektromobilności, mające ów problem rozwiązać, nie zmieniły się od 100 lat. Jedno z nich mówi, że kierowca każdego samochodu, niezależnie od typu napędu, umiejętności, wytrzymałości i liczby współpasażerów, koniecznie musi po czterech godzinach jazdy odpoczywać co najmniej godzinę, jedząc, drzemiąc lub bawiąc się z dziećmi na przydrożnym parkingu. W tym czasie auto elektryczne ładuje swój akumulator z publicznej lub prywatnej ładowarki i czas podróży jest podobny do jazdy samochodem benzynowym, który w czasie rzekomo obowiązkowej sjesty po prostu bezczynnie stoi. W latach 90. XIX w. w ten sam sposób wypowiadał się chicagowski konstruktor elektryków C.E. Woods. Wystarczyło tylko zbudować sieć ładowarek. Nic prostszego u świtu w ery elektryczności.

Elektryfikacja USA i Europy postępowała szybko, ale nie w takim tempie, jak życzył sobie tego Woods. W latach 90. XX w. prąd posiadało ok. 10 proc. domów w USA. W Londynie i Berlinie – zaledwie 5 proc. Było to zdecydowanie za mało, aby w krótkim czasie zrealizować Edisonowski sen o ładowarce samochodowej w każdym domu.

Pozostawały więc ładowarki publiczne. „Elektranty", ochrzczone tak na wzór hydrantów, miały wyrastać z chodników i ulic. Za ćwierćdolarówkę można byłoby z nich „zatankować" 2,5 kWh. Żaden taki „elektrant" jednak nie powstał. Nie pomogły też ładowarki umieszczone w ścianach elektrowni miejskich, które w nocy mogły służyć kierowcom, gdy popyt na prąd i oświetlenie był mniejszy. Nie było na nie chętnych. Dlaczego?

Do 1908 r. samochodów nie produkowano jeszcze taśmowo. Auta były robione ręcznie, niemal rzemieślniczo. Po ulicach miast jeździły więc elektryki zarówno mające gniazdo do ładowania, jak i nieposiadające go. Istniejące gniazda nie były natomiast ustandaryzowane. Nieliczni szczęśliwcy mający owe gniazdo w samochodzie i prąd w domu napotykali kolejne problemy techniczne. W tamtym czasie w USA napięcie w domowej instalacji elektrycznej prądu stałego wynosiło 110 V.

eprasa.pl 95c197360b

Aby naładować akumulator, nie niszcząc go, trzeba było zredukować je do 80 V za pomocą opornika, który był wówczas bardzo drogi. Równie kosztownym wyjściem były spalinowe generatory prądu.

Aby naładować akumulator, trzeba go było zatem wyjąć, a był on równie ciężki jak dziś. Co pewien czas trzeba go było otwierać i konserwować. Znajdował się w nim żrący kwas, więc lepiej było to zadanie powierzyć profesjonaliście. Koszty rosły. „Łatwiej zajmować się przytułkiem pełnym chorych psów niż zestawem akumulatorów" – stwierdził niejaki Charles Duryea, jeden z ówczesnych użytkowników elektryków, w liście do branżowego magazynu motoryzacyjnego „Horseless Age".

Leżakujące baterie

Wydawałoby się, że problem rozwiano w Nowym Jorku w 1899 r., gdy w jednym z tamtejszych przedsiębiorstw taksówkowych zaczęto wymieniać akumulatory w specjalnie do tego przystosowanych garażach. Auto wjeżdżało na kanał, gdzie za pomocą małego dźwigu i łańcuchów wyjmowano z niego akumulator i wsadzano do niego nowy. Wszystko trwało raptem kilka minut. Dokładnie takiej obsługi domaga się dziś wielu kierowców samochodów elektrycznych, którzy nie chcą marnować czasu na ładowanie. Pojawił się jednak z pozoru błahy problem. Ówczesna bateria po naładowaniu musiała jeszcze trochę „poleżakować", aby posłużyć kolejnym samochodom. Magazyn dla taksówek musiał być zatem odpowiednio duży, by pomieścić olbrzymie liczby akumulatorów. Okazało się, że utrzymywanie takiej nadpodaży generuje straty, i przedsiębiorstwo musiało zredukować liczbę baterii, co z kolei prowadziło do ich szybszego zużycia i rychłej przegranej w wyścigu z taksówkami spalinowymi i tramwajami.

Skoro baterie były technologicznym fiaskiem, to dlaczego wciąż kupowano elektryki? Cały czas działała magia cichego i niezawodnego napędu. Wierzono też w szybki postęp technologiczny. Edison głosił, że wynalezienie nowej baterii jest tuż-tuż. Trzeba tylko odejść od kwasu i ołowiu. Wynalazca zaczął więc eksperymentować z niklem i kobaltem, obiecywał, że na niklowej baterii przejedzie nawet 300 km bez ładowania. Taka bateria rzeczywiście powstała, była jednak o wiele droższa od tradycyjnej ołowianej, co z kolei stało w sprzeczności z ideą taniego samochodu elektrycznego. Co ciekawe, w 1908 r. Automobilklub Francji zbadał koszty eksploatacji benzyniaków i elektryków. Okazało się, że oba typy pojazdów generowały podobne koszty. Pamiętajmy jednak, że badanie powstało, zanim świat zobaczył efekty seryjnej produkcji spalinowego Forda T.

Upadek elektryków zajął kilka lat i przyczyniły się do niego zarówno względy technologiczne, jak i społeczne. Sto lat temu motoryzacja była domeną bogatych mężczyzn żądnych przygód. Ostatnich potomków rycerstwa, konkwistadorów, kowbojów. Mniej interesowała ich jazda do pracy czy do klientów, a bardziej turystyka samochodowa, jazda od miasta do miasta z dużą prędkością, prucie przez pustkowia, rzucanie wyzwania pociągom. Dawniej od pospolitych chamów odróżniały łowców przygód zbroja i rumak, na początku XX w. były to automobil, pilotka, gogle, skórzany kaftan i rękawice. Ludzie ci bardzo głośno artykułowali swoje potrzeby, a producenci samochodów wsłuchiwali się w ich głos. Owszem, auta elektryczne biły na przełomie stuleci rekordy prędkości, ale nie zdawały testów długodystansowych. Do jazdy samochodem benzynowym nie potrzebna była żadna sieć energetyczna będąca przez cały czas pod napięciem – wystarczyły kanister i beczki z paliwem połączone z pompą, czyli pierwsze stacje benzynowe.

Edison zamknął fabrykę niklowych akumulatorów w 1904 r. Już w 1896 r. powiedział młodemu Fordowi, gdy usłyszał o jego pracach nad silnikiem dwucylindrowym: „Młody człowieku, to jest to, samochody elektryczne muszą trzymać się blisko elektrowni, akumulatory są za ciężkie […]. Twój samochód jest samowystarczalny – wiezie własną elektrownię – żadnego ognia, kotła, dymu czy pary. Trzymaj się tego".

Elektryki podobały się natomiast kobietom – były o niebo łatwiejsze w obsłudze, nie trzeba było używać siły, by zmienić biegi, nie było sprzęgła, nie trzeba było kręcić korbą, aby je uruchomić, a przede wszystkim nie brudziły i nie śmierdziały. Ideałem byłoby zatem posiadanie w rodzinie dwóch samochodów, ale na to nie mogli sobie pozwolić nawet dość zamożni Amerykanie i Europejczycy. Jako że o najważniejszych wydatkach decydowali mężczyźni, kwestia była przesądzona na korzyść „benzyniaków".

Ostatecznie kobiety przekonały się do samochodów spalinowych po wynalezieniu stacyjki uruchamianej za pomocą kluczyka. Jeszcze przed pierwszą wojną światową „elektryki" były bardzo popularne w roli taksówek zarówno w Nowym Jorku, jak i w Londynie. Już jednak w 1922 r. w USA z ogólnej liczby 800 tys. samochodów auta elektryczne stanowiły tylko 4 proc.



Samochód spalinowy Carla Benza, replika

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MERCEDES BENZ MUSEUM, ALEXANDER MIGL

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 95c197360b

XIV w. / Walka o władzę po śmierci Władysława Jagiełły



Melsztyn, ruiny zamku z odbudowaną niedawno wieżą

FOT. M. PRZEKLASA, S. KUSIAK/URZĄD MIEJSKI W ZAKLICZYNIE

Bunt Spytka z Melsztyna



Tomasz Stańczyk

Małopolski możnowładca rzucił wyzwanie człowiekowi numer dwa w Królestwie Polskim – bp. Zbigniewowi Oleśnickiemu. Konflikt miał bardzo nieoczekiwany finał

Na wzgórzu nad Dunajcem wznosi się częściowo odbudowany w ostatnich latach zamek w Melsztynie, niegdyś siedziba możnego rodu Leliwitów Melsztyńskich. Ich chwała trwała jednak krótko, a ostatnim, któremu historycy poświęcają dużo uwagi, był Spytek z Melsztyna – trzeci tego imienia w rodzie, poległy pod Grotnikami w roku 1439. Dawniej był on oceniany jednoznacznie negatywnie jako warchoł, sprawca anarchii w Królestwie Polskim, dziś jednak przestawiany jest w lepszym świetle.

Aby zrozumieć burzliwe losy i tragiczny koniec Spytka, trzeba przyjrzeć się jego dziadowi i ojcowi. Dziadek Spycimir, zwany też Spytkiem, stworzył podwaliny pod rodowy majątek. Władysław Łokietek darował mu ziemie, na których Spytek w 1330 r. założył miasto Tarnów.

Spytek osiągnął bardzo wysoki urząd – został kasztelanem krakowskim i był nim przez wiele lat. Po śmierci Łokietka królem został jego syn Kazimierz. „A że był jeszcze młody – pisał Długosz – przydali mu za przewodnika Spytka, męża prawego, roztropnego i wielkiego miłośnika kraju; pod jego sterem i rządem szły szczęśliwie wszystkie sprawy królestwa; za jego także staraniem wkrótce zebrane zostały wielkie bogactwa i napełnił się skarb Rzeczypospolitej".

Spycimir był doradcą i negocjatorem, pracował nad zawieszeniem broni z Krzyżakami w 1334 r., a rok później nad układem, w którym król Czech – Jan Luksemburski – zrzekł się pretensji do tronu polskiego. Wpłynął też na wyznaczenie następcy Kazimierza Wielkiego – Ludwika Węgierskiego. Prowadził rozmowy z cesarzem Karolem IV, występując w obronie pozycji polskiego króla. Gdy Czesi chcieli udowodnić mu, że władza cesarska jest nieograniczona, odpowiedział – jak zapisał Długosz – „Czymże jest wasz cesarz? Naszym sąsiadem, równym naszemu królowi [...]! Wasz cesarz niższym jest od papieża. Składa przed nim przysięgę. Nasz król ma od Boga swoją koronę i miecz swój, a własne prawa i obyczaj przodków przenosi nad wszelkie prawa cesarskie".

Spytek zmarł w 1352 r., pozostawiając trzech synów, z których Jaśko (Jan) potwierdził wysoką pozycję rodu, gdyż został kasztelanem krakowskim, tak jak ojciec. To on namówił Kazimierza Wielkiego, którego był doradcą, by po śmierci Bolesława Jerzego, Piasta mazowieckiego, księcia Rusi Halicko-Włodzimierskiej, uznał się za jego spadkobiercę. W rezultacie została ona przyłączona do Polski.

Synem Jana był Spytko, drugi tego imienia w rodzie, pan na Melsztynie, Rabsztynie, Książu i Lublińcu. Jego świetna kariera zaczęła się, gdy nie miał nawet 18 lat – wówczas został wojewodą

eprasa.pl 95c197360b



Spytek z Melsztyna FOT. COMMONS WIKIMEDIA

krakowskim. Pomimo młodego wieku – jak pisał historyk Karol Szajnocha – „umiał sobie zjednać powszechne uznanie. Dzielny w boju, mądry i roztropny w radzie, wymowny i ujmujący, wkrótce do wielkiego przyszedł znaczenia". Był on głównym orędownikiem małżeństwa Jadwigi z Jagiełłą, a więc poniekąd ojcem unii polsko-litewskiej, także dlatego, że negocjował – wraz z bratem Janem z Tarnowa – unię w Krewie. Gdy wielki książę litewski Witold postanowił oddać część Podola Jagielle za 20 tys. kop groszy praskich, okazało się, że król nie dysponował żądaną kwotą. Przekazał więc ziemie podolskie Spytkowi z obowiązkiem zapłaty należnej sumy wielkiemu księciu litewskiemu. Spytek dzierżył także Samborszczyznę, nadaną mu również przez króla. Założył na tej ziemi miasto Sambor.

W 1399 r. Spytek wraz z polskimi rycerzami wziął udział w wyprawie Witolda na Tatarów ze Złotej Ordy. Ostrzegał on, że siły tatarskie są znaczne większe niż litewskie, doradzając układy. Zlekceważono to i w rezultacie doszło do bitwy pod Worsklą, w której Spytek zginął. Długosz pisał: „Chwalebniejszą wydaje mi się śmierć Spytka niż ocalony żywot Witolda. Za godną bowiem uwielbienia sprawę wraz z nim uważam, że kiedy inni ucieczką życie ratowali, on nad ocalenie swoje przeniósł sławę długotrwałą w doczesnym życiu i szczęśliwość wieczną w przyszłym".

Spytek pozostawił kilkoro dzieci, w tym Spytka, trzeciego tego imienia, a małżeństwa jego córek podkreślały znaczenie rodu. Jedna z córek wyszła za księcia Janusza, syna Janusza I Starszego, druga także za Piasta – księcia niemodlińskiego Bernarda.

Osobiste urazy

Po śmierci Spytka zachwiana została potęga Melsztyńskich. Jagiełło uznał, że wdowa po nim nie jest w stanie bronić Podola przed najazdami tatarskimi. Wykupił więc od niej tę ziemię i przekazał później Piotrowi Odrowążowi. Melsztyńscy stracili też Samborszczyznę – mimo że była to wieczysta darowizna.

Spytek (III) był co najmniej rozżalony na Jagiełłę. Frustrację pana na Melsztynie pogłębiało to, że liczył, iż jako przedstawiciel możnego rodu uzyska wysokie urzędy i wpływy, tak jak jego dziadek i ojciec. Pomijano go jednak konsekwentnie w nominacjach. Historycy tłumaczą to dwiema przyczynami. Na dworze Jagiełły byli ludzie, którzy weszli w posiadanie ziem odebranym Melsztyńskim i nie zamierzali dopuścić do urzędów pełnego uraz Spytka. Drugą przyczyną było niebezpodstawne podejrzenie, że Spytek sprzyja husytom – czeskiemu ruchowi narodowo-religijnemu. W walkach, które prowadzili husyci, brali też udział po ich stronie polscy rycerze. Idee husyckie znalazły oddźwięk w Polsce. Wymierzone były m.in. w świecką potęgę Kościoła. Polska szlachta narzekała, że duchowieństwo ma większe przywileje niż ona, natomiast obłożone jest mniejszymi obciążeniami finansowymi, żądała więc zmian w pobieraniu dziesięciny, oburzała się też, że musi stawać przed sądami kościelnymi. Historyk Antoni Prochaska, autor książki „Konfederacya Spytka z Melsztyna", pisał wręcz o ucisku szlachty przez duchowieństwo.

Leliwa – herb Melsztyńskich
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, AVALOKITESVARA



Niezadowolenie budził także biskup krakowski Zbigniew Oleśnicki. Nigdy bowiem przedtem ani potem żaden hierarcha Kościoła katolickiego nie miał tak ogromnej władzy w państwie jak właśnie Oleśnicki. Jako biskup zwalczał husytów i ich wpływy w Polsce, ale w 1433 r., gdy Jagiełło potrzebował pomocy w walce z Krzyżakami, oddziały husyckie z Czech zostały wezwane na pomoc. Kwestia religijna musiała ustąpić przed polityką i sprawami bezpieczeństwa państwa.

Biskup Oleśnicki – jak twierdził Prochaska – próbował jednak ułożyć się ze Spytkiem z Melsztyna, a miał do tego doprowadzić mariaż Spytkowej bratanicy Jadwigi z bratankiem biskupa – Zbigniewem Oleśnickim. Spisano nawet, tuż przed śmiercią Jagiełły, umowę przedślubną, jednak do zawarcia małżeństwa nie doszło. Przekreślił go dziwny, niewyjaśniony wypadek. Jadwiga została porwana z domu przez niejakiego Jana Krzyżanowskiego, „zuchwałego rabusia i banitę", jak określał go Prochaska. Nie wiadomo, czy porywacz działał z własnej inicjatywy czy też z inspiracji Spytka, a może Oleśnickiego. Być może jeden z nich mógł być zainteresowany zerwaniem ugody. W rezultacie porwania „oba domy były skompromitowane przez taki wypadek".

Przeciw koronacji

Na szerokie wody historii Spytek z Melsztyna wypłynął po śmierci Władysława Jagiełły. Przywilej jedlneńsko-krakowski gwarantował, że następcą zostanie jeden z jego synów. W 1434 r. miał być więc koronowany starszy, jednak zaledwie 10-letni syn – Władysław. Biskup Oleśnicki spodziewał się, że jeśli przy Jagielle odgrywał ogromną rolę, to będzie ona jeszcze większa przy królu dziecku. Natomiast Spytek powoływał się na ustalenia mówiące o tym, że koronacja nastąpi, gdy syn Jagiełły dojdzie

eprasa.pl 95c197360b

do pełnoletności, a więc dopiero za kilka lat. Wioletta Zawitkowska stwierdzała: „Spytek i inni liderzy opozycji domagali się po prostu ścisłej realizacji umów zawartych przez naród polityczny ze zmarłym królem" (W. Zawitkowska, „Spytek z Melsztyna – legalista czy »głoszący nowinki« przeciwnik działań podejmowanych dla dobra państwa"). Zdaniem Zawitkowskiej przywódca opozycji był legalistą, ale zbyt rygorystycznym.

Pan na Melsztynie zwołał do Opatowa zjazd wszystkich niezadowolonych – zarówno tych, którym nie podobało się, że na rządy w królestwie ma ogromny wpływ Oleśnicki, jak i tych, którzy sprzeciwiali się dominacji Kościoła w życiu publicznym. Inną grupę niezadowolonych stanowili ludzie tacy jak Spytek, pominięci w obsadzaniu urzędów. „Ci, których rodowa ambicja lub wzgląd na zasługi upoważniały do najwyższych dostojeństw – byli wykluczeni" – zauważał Antoni Prochaska.

Na zjazd w Opatowie przybył niespodziewanie bp Oleśnicki. Odważnie stawił czoła przeciwnikom – i wygrał. Skutecznie przekonywał, że lepiej jest, gdy królestwo będzie miało władcę, choćby nieletniego, natomiast gdyby pojawił się inny kandydat do tronu, wywoła to wstrząsy i niepokoje w państwie, może nawet wojnę domową. Tym prawdopodobnym kandydatem był Siemowit V, książę części Mazowsza, będącego wówczas poza granicami Królestwa Polskiego.

Spytek jednak nie ustępował. Na zjeździe w Krakowie, na którym miała zapaść decyzja o koronacji Władysława, pan na Melsztynie wraz z innym sympatykiem husytów, Abrahamem ze Zbąszynia, oraz Janem Straszem z Kościelnik próbował nie dopuścić do wyniesienia na tron syna Jagiełły. Przekonywał zebranych, że nie wiadomo, czy Władysław, gdy osiągnie pełnoletność, potwierdzi przywileje, którymi cieszyła się szlachta, chociażby zagwarantowano to teraz przysięgą. Dyskusję przecięła decyzja Jana Głowacza z Oleśnicy, marszałka Królestwa Polskiego i brata biskupa, podjęta z pewnością w porozumieniu z nim. Polecił, by zwolennicy koronacji stanęli po prawej stronie, przeciwnicy zaś – po lewej. Okazało się, że wszyscy poszli na prawą stronę, na lewo skierowali się jedynie trzej przywódcy opozycji. Porywczy Spytek zareagował na porażkę wyzwiskami skierowanymi w stronę Głowacza, ten jednak nie dał się sprowokować.



Biskup Zbigniew Oleśnicki. Obraz Jana Bąkowskiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Przepadła także propozycja Spytka, by regentem podczas małoletności Władysława III został Siemowit V, książę mazowiecki. Odrzucono ją bodaj głównie dlatego, że uznano, iż lennik polskiego króla nie może przecież faktycznie zarządzać królestwem. Ale regentem nie został także bp Oleśnicki, co było jedynie bardzo umiarkowanym sukcesem pana na Melsztynie. Umiarkowanym dlatego, że wśród grona osób wybranych jako swojego rodzaju kolegialna regencja byli ludzie biskupa krakowskiego.

Porażka związana z koronacją Władysława III nie była jedynym powodem frustracji Spytka. Jagiełło w testamencie polecił, by zwrócić mu część Samborszczyzny – uznając jej odebranie za bezprawne – i młody król Władysław ten punkt testamentu zrealizował. Jako swojego rodzaju rekompensatę przyznał Spytkowi kasztelanię biecką. Spytek nie uznał tego za wspaniałomyślny dar, lecz za coś, co mu się po prostu należy. Gdyby dostał kasztelanię krakowską, którą dzierżyli jego dziad i ojciec, być może byłby ukontentowany. Po jakimś czasie zabrano mu Samborszczyznę. Stał za tym niewątpliwie Oleśnicki. Spytek – jak pisał Prochaska – „pałał nienawiścią przeciw biskupowi, taką, która nie ma lęku i nie zna niebezpieczeństw".

Poparcie dla taborytów

Spytek i opozycjoniści opowiadali się za husytami i nie chodziło tu o kwestie religijne, w każdym razie nie przede



Wizja artystyczna zamku w Nowym Korczynie

FOT. ZABYTKI.PL, GREGORIUZ

eprasa.pl 95c197360b



„Władysław III". Grafika Aleksandra Lessera

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

wszystkim. Po śmierci Zygmunta Luksemburskiego w 1437 r. husyci walczyli z pretendentem do tronu w Pradze – Albrechtem Habsburgiem. Opozycjoniści uważali, że dla interesów Polski niebezpieczne jest, by Albrecht, już wybrany na króla węgierskiego, panował także w Czechach. Taboryci, radykalny odłam husytów, proponowali koronę nieletniemu Kazimierzowi Jagiellończykowi, a rada temu była jego matka, królowa wdowa Zofia. Zjazd w Nowym Korczynie zaaprobował propozycję husytów, Oleśnicki natomiast torpedował ten pomysł i starał się odwlec wyprawę Kazimierza do Czech, co zresztą mu się udało. Nie w smak mu była oferta korony ze strony heretyków husytów. Ale biskup był jednocześnie wytrawnym politykiem. Jak zauważył prof. Andrzej Nowak w swoich „Dziejach Polski", Oleśnicki nie mógł nie brać pod uwagę, że Albrecht został już wybrany na króla przez stany czeskie, a husyci taboryci stanowili jednak małą część czeskiego narodu politycznego.

Forsowanie próby osadzenia młodego Jagiellona mogło doprowadzić do wojny z legalnym królem Węgier i Czech, w której przewaga byłaby po jego stronie. Poza tym Oleśnicki starał się zjednać Piastów książąt śląskich do idei odnowienia związków z Polską. A na Śląsku toczyła się krwawa, wyniszczająca walka z husytami. Sojusz z nimi byłby źle przyjęty przez Piastów śląskich. Ostateczny kres marzeń o czeskiej koronie dla Jagiellończyka położyła klęska taborytów – w ich szeregach walczyli także Polacy – pokonanych w 1438 r. w bitwie pod Żelenicami przez wojska Albrechta Habsburga.

W kwietniu 1438 r. bp Zbigniew Oleśnicki, czując, że opozycja przeciw niemu może stać się niebezpieczna, zwołał zjazd do Nowego Korczyna, na którym zawiązano konfederację. Wymierzona była przeciwko „burzycielom pokoju w państwie", a także tym, którzy popierają lub wyznają „kacerskie zasady", czyli husytyzm. Oczywiście dotyczyło to Spytka z Melsztyna. Biskup wykorzystał kwestię husycką, by uderzyć w opozycję. Byli w niej, i owszem, zwolennicy husytyzmu, ale ideologia tego ruchu nie kierowała nimi, a w każdym razie miała co najwyżej drugorzędne znaczenie.

Oleśnicki groził wyklęciem Spytka, uznaniem go za heretyka i w końcu to zrobił. Pan na Melsztynie zareagował na to atakiem na dobra biskupie.

W kwietniu 1439 r. Spytek przybył na zjazd panów małopolskich w Nowym Korczynie i zawiązał konfederację, której celem było usunięcie „braków i niedogodności" w państwie. Pod tym ogólnym hasłem kryła się chęć odsunięcia bp. Oleśnickiego od kierowania państwem. Anna Sochacka zwracała uwagę, że w akcie konfederacji nie pojawiły się żadne hasła husyckie, tak więc była to rozgrywka o władzę (A. Sochacka, „Konfederacja Spytka z Melsztyna: rozgrywka polityczna czy ruch ideologiczny?").

Konfederacja i bitwa

Spytek postanowił działać radykalnymi metodami. Prawdopodobnie chciał ująć bp. Zbigniewa Oleśnickiego, ten jednak miał zostać ostrzeżony i nie przybył do Nowego Korczyna. Byli tam natomiast jego brat Jan Głowacz z Oleśnicy – marszałek – i Jan z Koniecpola, kanclerz królestwa. Długosz pisał, że „Spytek, zwabiony, jak twierdziło wielu, obietnicami królowej Zofii" wtargnął do miasta ze swoimi ludźmi „z tym zamiarem, aby zabić wspomnianego kanclerza i marszałka, którzy – jak widział – byli mu zdecydowanie przeciwni". Ludzie Spytka przetrząsali domy z całą brutalnością, jednak obu dostojnikom udało się uciec na zamek.

Królowa Zofia po cichu sprzyjała Spytkowi, gdyż dążyła do ograniczenia władzy Oleśnickiego, ale po tym incydencie – próbie zamachu na dostojników królestwa – nie mogła go już wspierać i zawarła ugodę z biskupem. Wojska królewskie zaatakowały zwolenników Spytka, zanim zdążył on stworzyć obóz obronny. 6 maja 1439 r. pod Grotnikami nad Nidą doszło do bitwy. Spytek został śmiertelnie ranny. Nie wiadomo, czy nad umierającym czy też już nad trupem odbył się na polu bitwy sąd, który uznał go za zdrajcę, wroga ojczyzny. Ciało jego, odarte z ubrania, leżało na polu bitwy przez trzy dni, zanim decyzją króla oddano je wdowie.

Długosz uważał, że Spytek nie działał ze złej woli, ale z powodu swojej ograniczoności. Co więcej, kronikarz stwierdził, że nie należy winić Spytka, lecz „niektórych panów, którzy swoimi radami i gorącymi obietnicami wspomagali jego zamiar". Długosz nie dopowiedział, kogo miał na myśli. Ale niewątpliwie chodziło mu o ludzi z dworu królowej Zofii. „W Spytku dwór znalazł właściwego człowieka, który gotów był podjąć się realizacji planów dynastii za cenę rozwiązania swych problemów majątkowych i otrzymania urzędów" – pisała Anna Sochacka. Gdyby Spytek pokonał Oleśnickiego, zostałby z pewnością nagrodzony nadaniami i godnościami. Oczywiście król Władysław III nie zamierzał ukarać stronników swojej matki. Godne uwagi jest to, że skasował wyrok na Spytka, a ponadto jego zwolennicy nie dość, że nie zostali ukarani, to jeszcze otrzymali urzędy. Było to więc zwycięstwo Zofii, królowej wdowy.

Wraz ze śmiercią pana na Melsztynie skończyła się popularność husytyzmu w Polsce, choć opierał się jeszcze Abraham ze Zbąszynia, który dał schronienie duchownym husyckim. Nie dość, że lekceważył sobie żądanie wypędzenia ich ze strony biskupa poznańskiego Stanisława Ciołka, to jeszcze groził mu śmiercią. Jego następca, bp Andrzej Bniński, powziął radykalne kroki. Wraz z kilkoma setkami żołnierzy oblegał Zbąszyń do czasu, gdy Abraham ze Zbąszynia nie wydał mu husyckich duchownych, po czym odbyły się sąd nad nimi i kaźń na stosie. Sam zaś Abraham ze Zbąszynia poczuł się zmuszony do publicznego potępienia husytyzmu.

A jednak Spytek z Melsztyna odniósł triumf, co prawda – pośmiertny. Kilka lat później na tronie zasiadł Kazimierz Jagiellończyk i postanowił skończyć – z sukcesem – z wszechwładzą bp. Zbigniewa Oleśnickiego. A oparł się w tym dziele na zwolennikach Spytka, sygnatariuszach powołanej przez niego konfederacji.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 95c197360b



Dziewczęta z elitarnej szkoły snajperek założonej w 1942 r. pod Moskwą FOT. OLGA SHIRNINA/MEDIA DRUM/EAST NEWS

1941–1945 / Kobiety w wojsku Stalina

Armia i ona



Mikołaj Iwanow

Związek Sowiecki jak żaden inny kraj w trakcie drugiej wojny światowej angażował na froncie kobiety. „Nocne wiedźmy" Stalina cieszyły się w ZSRS wielką estymą, ale zwykłe żołnierki nierzadko były traktowane przez współtowarzyszy jak niewolnice seksualne

Wojna nie ma w sobie nic z kobiety" – słynny reportaż wybitnej białoruskiej pisarki Swiatłany Aleksijewicz (laureatki literackiego Nobla) to wstrząsająca opowieść o sowieckich kobietach walczących na frontach wojny z III Rzeszą. Jeden dramatyczny epizod tej książki najbardziej zapadł mi w pamięć i przez wiele dni po przeczytaniu nie dawał mi spokoju. Chodzi o opis marszu kolumny kobiet żołnierek w upalny letni dzień 1943 r. Kolumna idzie powoli, kobiety prawie padają z wycieńczenia i braku wody, zostawiając za sobą w powietrzu straszliwy odór i krwawe ślady menstruacji. Oczywiście nikt w Armii Czerwonej nie pomyślał o tych „kobiecych sprawach". Bo i kogo mogła obchodzić taka „drobnostka" w „godzinie wielkiej próby", gdy kraj znajdował się nad przepaścią i groziła mu całkowita porażka?

Werbowanie kobiet do sowieckich sił zbrojnych wynikało przede wszystkim z ogromnych strat ludzkich poniesionych na początku wojny z Niemcami. Skala klęski Armii Czerwonej w pierwszych tygodniach wojny była tak ogromna, że sam Stalin był bliski załamania. Aby zapobiec całkowitej katastrofie, trzeba było gruntownie zreformować wiele obszarów polityki wewnętrznej ZSRS. W tym również sposób pozyskiwania nowych żołnierzy.

Trzy mobilizacje

Od pierwszego do ostatniego dnia drugiej wojny światowej Wehrmacht nigdy nie miał na froncie wschodnim przewagi liczebnej. Zdecydowanie ustępował on również Armii Czerwonej pod

eprasa.pl 95c197360b

względem ilości (i nierzadko jakości) uzbrojenia. Wielkie niemieckie zwycięstwa z lat 1941–1942 odniesiono głównie dzięki słabości organizacyjnej i fatalnemu dowodzeniu Armii Czerwonej, a także początkowemu brakowi motywacji do walki wśród milionów żołnierzy sowieckich. Jednak z każdą kolejną porażką Armii Czerwonej jej przewaga nad Wehrmachtem wzrastała. Przeważająca większość obywateli sowieckich (nawet tych wrogo nastawionych wobec ustroju komunistycznego) przekonała się, że faszyzm niemiecki stanowi dla nich o wiele większe zagrożenie niż stalinizm. Wojna z Niemcami dla lwiej części społeczeństwa sowieckiego rzeczywiście przekształciła się w wojnę ojczyźnianą.



Pilotka Irina Sebrowa

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Przewaga sowieckiego systemu totalitarnego nad niemieckim narodowym socjalizmem w warunkach wojennych najbardziej widoczna była w zdolności mobilizacji wszystkich zasobów kraju na potrzeby wojny. W roku 1943 Związek Sowiecki wyprodukował ponadczterokrotnie mniej żelaza i stali od III Rzeszy, a jednak produkcja czołgów w tym okresie wojny była w państwie Stalina 2,5 razy większa od niemieckiej, a samolotów 1,4 razy większa. Z jednej wyprodukowanej w kraju tony stali przemysł sowiecki wytwarzał prawie osiem razy więcej uzbrojenia i materiałów przeznaczenia wojskowego niż przemysł niemiecki.

Innymi słowy: w przełomowym momencie wojny Związek Sowiecki wyraźnie wyprzedzał III Rzeszę w kwestii mobilizacji kraju na potrzeby wojny. Dotyczyło to również mobilizacji kobiet. W trakcie drugiej wojny światowej ZSRS był jedynym państwem, które zdecydowało się na taki krok. Na podstawie decyzji Komitetu Obrony Państwa już w 1942 r. przeprowadzono trzy częściowe mobilizacje kobiet. Powoływano wówczas niezamężne młode panie w wieku od 18 do 25 lat. Pierwsza mobilizacja, ogłoszona 25 marca 1942 r., dotyczyła 100 tys. kobiet, którymi planowano zastąpić m.in. operatorów telefonicznych, radiooperatorów Armii Czerwonej i obserwatorów zwiadowczych. Druga mobilizacja z 15 kwietnia 1942 r. skierowała na front 30 tys. kobiet, głównie do oddziałów obrony powietrznej. Dekretem Komitetu Obrony Państwa ZSRS z 18 kwietnia 1942 r. ogłoszono trzecią falę mobilizacji kobiet: 40 tys. dziewcząt wysłano do pracy w charakterze m.in. kierowców, kucharek i magazynierów, a także do oddziałów liniowych. Kobiety zastępowały radiooperatorów, pracowników poczty polowej, telegrafistów, urzędników i sanitariuszy. Część zmobilizowanych kobiet wysłano na front po krótkim, ok. dwumiesięcznym przeszkoleniu.

„Nocne wiedźmy”

Ogółem w latach 1941–1945 do służby wojskowej powołano w ZSRS 490 235 kobiet. Spośród poborowych 177 065 wysłano do jednostek obrony powietrznej, 41 886 do łączności, 40 209 do lotnictwa, 14 460 do formacji i szkół kobiecych, 18 785 do jednostek samochodowych, 28 500 – do wojskowych jednostek liniowych i instytucji sanitarnych, a 41 224 do Marynarki Wojennej. Stan żeńskiego personelu wojskowego na dzień 1 stycznia 1945 r. przedstawiał się następująco: oficerowie – 70 647, sierżanci – 113 990, żołnierki – 276 809, studentki i podchorążowie – 2057.

Najbardziej „kobiecymi” obszarami w czasie wojny były medycyna i obrona powietrzna. W lokalnych jednostkach obrony powietrznej NKWD, które odpowiadały za osłonę obiektów znajdujących się poza strefą działań bojowych, pań było ponad 70 tys. W niektórych jednostkach obrony powietrznej liczba kobiet sięgała 50–100 proc. personelu. Pod koniec wojny panie stanowiły aż 24 proc. personelu sił obrony powietrznej. Pobór kobiet umożliwił zwolnienie z tych oddziałów nawet 300 tys. mężczyzn i wysłanie ich na front.

29 259 żołnierek zajmowało różne stanowiska w instytucjach wojskowych i strukturach dowódczych armii, jako m.in. maszynistki, tłumaczki, sekretarki, sprzątaczki. Kobiety służyły także w piechocie morskiej, istniały całe kobiece jednostki lotnicze, a znaczną część snajperów stanowiły dziewczęta.

Zaplecze medyczne frontu w ogromnym stopniu było oparte na kobietach. Ponad 2 mln osób służyło na frontach jako pracownicy medyczni niższego szczebla, z czego kobiety stanowiły większość – ponad 80 proc. Piętnaście lekarek otrzymało za swą pracę tytuł Bohaterki Związku Sowieckiego.

Najbardziej niezwykłym aspektem angażowania pań na froncie było utworzenie w czasie wojny pierwszego specjalnego kobiecego pułku lotniczego. Pomysł ten nie pojawił się jednak od razu. Dowództwo długo powątpiewało, czy jednostka lotnicza złożona z samych kobiet będzie w stanie skutecznie walczyć.

Aby władze dały w końcu zielone światło dla utworzenia kobiecych

eprasa.pl 95c197360b



Sowieckie pilotki, w tle polikarpow Po-2
FOT. DOMENA PUBLICZNA

pułków powietrznych, Marina Raskowa, słynna sowiecka pilotka, musiała wykorzystać osobistą znajomość z Józefem Stalinem. W 1938 r., wraz z Walentiną Grizodubową i Poliną Osipenko, Raskowa jako nawigator uczestniczyła w locie bez międzylądowania na trasie Moskwa – Daleki Wschód o długości 6450 km. Trwał on 26 godzin i 29 minut, ustanawiając światowy rekord odległości dla lotu kobiet. Pilotki stały się bohaterkami ludowymi. Grizodubowa, Osipenko i Raskowa otrzymały wówczas tytuły Bohatera Związku Sowieckiego.

Po rozmowie Raskowej ze Stalinem 8 października 1941 r. Ludowy Komisariat Obrony ZSRS wydał rozkaz „W sprawie utworzenia kobiecych pułków lotniczych Sił Powietrznych Armii Czerwonej", który dał początek słynnym „nocnym wiedźmom". Jako pierwszy utworzono 588. Pułk Nocnych Bombowców. W przeciwieństwie do pozostałych dwóch kobiecych pułków lotniczych (586 myśliwców i 587 bombowców), które miały mieszany personel, w 588. pułku służyły wyłącznie kobiety (na wszystkich stanowiskach – jako piloci i nawigatorzy, mechanicy i pracownicy polityczni). Pułk liczył początkowo 20 samolotów i 115 osób personelu lotniczego.

Drewniany samolot

Jedna z bohaterek wspomnianej książki Swiatłany Aleksijewicz, była porucznik lotnictwa Aleksandra Papkowa, po latach wspominała: „Nazywano nas kamikadze i na pewno byłyśmy kamikadze… Dali nam samolot PO-2. Mały, wolny. Latał on jedynie na małych wysokościach, dość często nad samą ziemią. Przed wojną na tych samolotach ćwiczono młodych w klubach lotniczych, ale nikt nawet nie mógł przypuszczać, że będą wykorzystywać ich podczas wojny. Samolot ten był całkiem wykonany z drewna, oklejony materiałem płóciennym. W rzeczywistości – gazą. Wystarczyło jedno trafienie i cały samolot stawał w płomieniach. Spalał się w powietrzu, nawet nie dotykając ziemi, jak zapałka. Jedyna metalowa część – silnik. Tylko pod koniec wojny dostałyśmy spadochrony, zainstalowano również karabiny maszynowe w przedziale nawigatora. Przed tym nie było żadnego uzbrojenia. Pod skrzydłami miałyśmy cztery uchwyty na bomby i tyle".

Początkowo wykorzystywano kobiety lotniczki również w dzień, ale po ogromnych stratach zdecydowano, by przejść do wykonywania misji wyłącznie nocą. Pilotki były przeważnie ochotniczkami. Przeważająca część z nich wyróżniała się skrajnym fanatyzmem. Znane są sytuacje, gdy kobiety lotniczki świadomie rezygnowały ze spadochronów na rzecz dodatkowej bomby pod skrzydłami. Wiadomo również o kilku przypadkach świadomego kierowania przez lotniczki ich zestrzelonych maszyn na umocnione pozycje wroga w charakterze samonaprowadzających się bomb.

Samolot PO-2 był bronią unikatową i dość skuteczną. Jego głównym atutem było zaskoczenie. Ten pomalowany na ciemne kolory samolot atakował niemieckie pozycje w nocy, przeważnie z wyłączonym silnikiem i na małej wysokości. Dlatego prawie zawsze do ostatniej chwili maszyna pozostawała niewidoczna dla artylerii przeciwlotniczej. Dodatkowo dla myśliwców Luftwaffe atakowanie samolotów lecących nad samą ziemią z prędkością 100–120 km/h było niezwykle trudne. Messerschmitty i focke-wulfy ogromnie ryzykowały, obniżając prędkość do takiego poziomu. Nie przypadkiem niemieccy żołnierze nazywali te samoloty „czarną śmiercią", a kobiety lotników „nocnymi wiedźmami". To ostatnie określenie było związano z tym, że atak kobiecych maszyn następował z wyłączonymi silnikami. Towarzyszył mu szum skrzydeł, przypominający niektórym odgłos latającej miotły.

Ten niezwykły samolot został skonstruowany w Związku Sowieckim

eprasa.pl 95c197360b

jeszcze w połowie lat 20. jako maszyna do podstawowego szkolenia lotników. Konstrukcja tego dwupłatowca okazała się na tyle udana, że był on produkowany aż do 1953 r. Powstało kilka modyfikacji tego samolotu. Jako maszyna szkoleniowa był on wyjątkowo bezpieczny. Znane są liczne przypadki, kiedy podczas wojny po zastrzeleniu głównego pilota drugi bez problemu lądował. W ciągu 30 lat produkcji z hal montażowych wyjechało ponad 33 tys. tych maszyn. PO-2, popularnie nazywane „kukuruźnikami", wykorzystywano w rolnictwie do połowy lat 80.

Noc w noc

Taktyka użycia nocnych bombowców PO-2 polegała na wykorzystywaniu małych polowych lotnisk, znajdujących się 15–20 km od linii frontu. W dzień te lądowiska pozostawały puste, a samoloty znajdowały się na dobrze strzeżonych lotniskach odległych od frontu nawet o 200–300 km. Późnym wieczorem na małych lądowiskach pojawiały się maszyny pilotowane przez kobiety, zabierały bomby i zaczynały swą zabójczą pracę. Po zrzuceniu śmiercionośnego ładunku samoloty natychmiast wracały po kolejne bomby. I tak kilka, a nierzadko i kilkanaście razy w ciągu nocy. Przerwy między lądowaniem i ponownym startem wynosiły jedynie 8–10 minut. W dzień natomiast w rejonie lotnisk polowych nie było już śladu po intensywnej nocnej pracy. I tak noc w noc.

Wśród innych zalet bombowców PO-2 pilotowanych przez kobiety odnotujmy zdolność do latania w złych warunkach atmosferycznych, gdy użycie innych, bardziej zaawansowanych technicznie maszyn było niemożliwe. Niewielka prędkość i niski pułap lotu pozwalały również na dość precyzyjne atakowanie celów w porównaniu z innymi typami bombowców.

PO-2 była jedną z najbardziej technicznie przestarzałych maszyn używanych przez lotnictwo sowieckie, ale jednocześnie był to samolot niezwykle wytrzymały. Niemało kobiet lotniczek, których sowieckie dowództwo rzucało do boju prawie bez przeszkolenia, ginęło po kilku lotach bojowych. Natomiast było również wiele pilotek, które na tych maszynach wykonały po kilkaset lotów bojowych. Rekordzistka, Irina Sebrowa, miała na koncie ponad tysiąc lotów bojowych.

Spośród ponad 800 kobiet lotników powołanych do służby 25 otrzymało najwyższe odznaczenie bojowe – tytuł Bohatera Związku Sowieckiego. Natomiast według niepełnych danych straty sięgnęły ponad 100 straconych maszyn i 186 zaginionych pilotek. Procentowo straty te były porównywalne ze stratami poniesionymi przez lotników mężczyzn.

Stworzenie sowieckich kobiecych pułków lotniczych to zjawisko unikatowe w skali światowej. Nigdy wcześniej ani później nikt inny nie próbował tworzyć podobnych jednostek składających się wyłącznie z kobiet.

Historia „kamikadze Stalina" skończyła się w październiku 1945 r., gdy kobiece jednostki lotnicze rozformowano, a służące w nich pilotki zdemobilizowano. Ich wojenne wyczyny bez wątpienia były wyrazem prawdziwego bohaterstwa. Bohaterstwa, które było autentyczne. Sowiecka propaganda nie musiała tu specjalnie przekłamywać rzeczywistości. Wiemy o tym dzięki pracy noblistki Swiatłany Aleksijewicz i innych niezaangażowanych politycznie badaczy.

„Polowe żony"

Obraz sowieckiej kobiety walczącej na frontach drugiej wojny światowej nie byłby pełny, gdybyśmy pominęli negatywne zjawiska, które dotykały wówczas pań. Sowieckie żołnierki często były ofiarami przemocy na tle seksualnym. Gwałty nie były niczym nadzwyczajnym, kobiety były też nierzadko po prostu mordowane przez współtowarzyszy. Oficerowie zmuszali żołnierki do wspólnego mieszkania, powstał nawet cały system „żon polowych" („Pochodno-polowyje żeny" – PPŻ), czasem zwanych „żonami trofeami". Znane są przypadki występowania „PPŻ" na najwyższych szczeblach dowództwa Armii Czerwonej. Swoje „PPŻ" mieli m.in. marszałkowie Żukow i Rokossowski.

Niektóre zmobilizowane kobiety, głównie pochodzące z terenów wiejskich, powołane do wojska wbrew swojej woli, starały się szybko zajść w ciążę i w ten sposób wrócić do domu. Wiele dziewcząt służących na froncie po zakończeniu wojny wracało do domów z łatką „puszczających się" (należy pamiętać, że ówczesna wieś wciąż była dość konserwatywna w kwestii seksu pozamałżeńskiego), więc niektóre z nich wolały ukrywać swoją wojskową przeszłość lub po prostu nie opowiadały o niej zbyt dużo.



Sowieckie snajperki FOT. COMMONS WIKIMEDIA, RIA NOVOSTI

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 95c197360b



Sławomir Koper

63 r. p.n.e.–14 r. n.e. / Pierwszy cesarz rzymski

Granice Augusta

Stając się jedynowładcą, Oktawian August pamiętał o losie Cezara, który dążąc do korony królewskiej, zapłacił za nią życiem. W tej sytuacji jego następca postawił na bardzo nietypowe rozwiązanie

Gajusz Juliusz Cezar nie doczekał się legalnego syna, a jego córka Julia, żona Pompejusza, zmarła przy porodzie. W tej sytuacji najbliższym męskim krewnym dyktatora był wnuk jego siostry, Gajusz Oktawiusz. Poszukujący sukcesora dyktator bliżej się nim zainteresował. Najwyraźniej dostrzegł w młodzieńcu cechy odpowiednie dla polityka, gdyż adoptował go w swoim testamencie, uznając za głównego spadkobiercę.

Cezar zginął w efekcie spisku republikańskiego w marcu 44 r. p.n.e. i 19-letni Oktawian długo wahał się, czy przyjąć spadek. Oznaczało to bowiem nie tylko przejęcie majątku ciotecznego dziadka, lecz także objęcie przywództwa nad jego stronnikami. Na domiar złego nie był on jedynym kandydatem do tej roli, gdyż za najbliższego współpracownika dyktatora uchodził Marek Antoniusz, a poważne ambicje miał także inny podwładny Cezara, Marek Emiliusz Lepidus. Do tego dochodziła jeszcze groźba wojny domowej ze zwolennikami republiki, którzy nigdy nie pogodzili się dyktaturą Cezara.

Ostatecznie Oktawiusz przyjął spadek i zmienił nazwisko na Gajusz Juliusz Cezar Oktawian. Zgodnie z zasadą „wróg mojego wroga jest moim przyjacielem" porozumiał się z Antoniuszem i Lepidusem, a po wyparciu sił republikańskich z Italii cała trójka zawiązała pod koniec 43 r. p.n.e. II triumwirat. Od pierwszego, w którym uczestniczyli Cezar, Krassus i Pompejusz, różnił się tym, że nie było to prywatne porozumienie polityków, ale

Oktawian August FOT. COMMONS WIKIMEDIA, VATICAN MUSEUMS CHIAROMONTI, MUSEUM BRACCIO NUOVO

eprasa.pl 95c197360b

oficjalny kolegialny urząd dający niemal dyktatorskie uprawnienia na okres pięciu lat. Głównym celem porozumienia była rozprawa ze zwolennikami republiki w Italii i w tym zamyśle ogłoszono listy proskrypcyjne. Kto znalazł się na takiej liście, był wyjęty spod prawa i praktycznie każdy mógł go zabić, a majątek ofiary podlegał konfiskacie. Zabójca otrzymywał wysoką nagrodę, niewolnicy wolność, a głowy zamordowanych gromadzono na Forum rzymskim. W ten sposób zginęło ponad 2 tys. zamożnych senatorów i ekwitów, a wśród nich Marek Tuliusz Cyceron. Natomiast grabież majątków zamordowanych umożliwiła wystawienie armii przeciwko zwolennikom republiki.

W październiku 42 r. p.n.e. wojska triumwirów rozbiły przeciwników pod Filippi w Macedonii, a ich przywódcy – Marek Juniusz Brutus i Gajusz Kasjusz Longinus – popełnili samobójstwo. Państwo rzymskie znalazło się we władzy triumwirów.

Akcjum

Żaden z nich nie zamierzał zadowolić się jednak wyłącznie współrządzeniem, chociaż początkowo zgodnie podzielili się władzą nad imperium. Oktawian objął Italię i zachodnie prowincje, wschód otrzymał Antoniusz, a Lepidus Afrykę. Triumwirat przedłużono na kolejne pięć lat, ale wiadomo było, że wojna pomiędzy dotychczasowymi sojusznikami jest tylko kwestią czasu. Jako pierwszy wypadł z gry Lepidus, a jego prowincje zajął Oktawian. Odbyło się to bezkrwawo – wojska zarządcy Afryki odmówiły walki z adoptowanym synem Cezara. Ten zachował się zresztą w bardzo łagodny sposób wobec pokonanego i zachował go przy życiu, co było rzadkością na tle ówczesnych rzymskich obyczajów. Lepidus osiadł w Italii, zatrzymał majątek, a sprawowany urząd najwyższego kapłana pełnił do śmierci.

Zdecydowanie gorzej przedstawiała się sprawa z Antoniuszem, który nie tylko zarządzał najbogatszymi prowincjami, lecz także nawiązał romans i sprzymierzył się z królową Egiptu, Kleopatrą VII. Z tego też powodu porzucił siostrę Oktawiana, Oktawię,

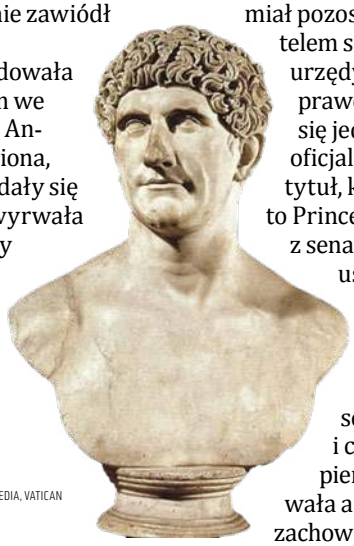


Marek Juniusz Brutus i jego towarzysze po bitwie pod Filippi FOT. COMMONS WIKIMEDIA

która miała być gwarantem sojuszu pomiędzy współrządcami. Gdy się z nią ostatecznie rozwiódł, wiadomo było, że wojna z Oktawianem to tylko kwestia czasu. Tym bardziej że adoptowany syn Cezara wszedł w posiadanie testamentu rywala złożonego u westalek w Rzymie. Gdy ogłosił go publicznie, okazało się, że Antoniusz zapisał niektóre rzymskie prowincje wschodnie swoim dzieciom, których doczekał się z Kleopatrą. Uznał też syna królowej, którego miała z Cezarem, za następcę dyktatora. Sprawa testamentu wywołała ogromne oburzenie w Rzymie.

Antoniusz był doświadczonym strategiem i miał dobrane grono dowódców, z kolei jego rywal nie nadawał się na wodza. Ten kłopot Oktawian rozwiązał w dość łatwy sposób – naczelnym dowódcą został jego przyjaciel Marek Wipsaniusz Agryppa, który przejawiał duże talenty militarne. I nie zawiódł w decydującym starciu.

O losach wojny zadecydowała bitwa morska pod Akcjum we wrześniu 31 r. p.n.e. Flota Antoniusza została rozgromiona, a jego wojska lądowe poddały się Oktawianowi. Z zamętu wyrwała się tylko flotylla Kleopatry (60 lekkich okrętów), za którą popłynął okręt z Antoniuszem na pokładzie. Czy była to ucieczka z pola walki, jak głosiła propaganda zwycięzcy? Czy też manewr taktyczny, który się nie udał, jak podejrzewają niektórzy historycy? Tego zapewne nigdy się nie dowiemy, ale wiadomo, że klęska pod Akcjum przypieczętowała los Antoniusza.



Marek Antoniusz FOT. COMMONS WIKIMEDIA, VATICAN MUSEUMS CHIARAMONTI

Rok później armia Oktawiana dokonała inwazji na Egipt, a Kleopatra i Antoniusz popełnili samobójstwo. Cezarion, 14-letni syn Cezara i Kleopatry, został stracony, a potomstwo królowej, które miała z Antoniuszem, zostało przewiezione do Rzymu, gdzie troskliwie zajęła się nim jej rywalka, Oktawia.

Egipt został włączony w granice imperium jako osobista domena Oktawiana. Miało to ogromne znaczenie, gdyż prowincja ta stała się niebawem głównym dostawcą zboża dla Italii.

Pryncypat

Oktawian został jedynowładcą i musiał podjąć decyzję, w jaki sposób dalej sprawować władzę. Pamiętał o losie Cezara, który dążył do korony królewskiej, za co zapłacił życiem. W tej sytuacji Oktawian postawił na bardzo nietypowe rozwiązanie, oficjalnie przywracając republikę, ale jednocześnie zachowując decydujące wpływy w państwie. Na początek przeprowadził czystkę w senacie i od tej pory zasiadali tam już tylko jego stronnicy. W styczniu 27 r. p.n.e. otrzymał od tego szacownego gremium tytuł Augusta, który zaczął używać jako nazwisko. Jednocześnie ogłosił przywrócenie ustroju republikańskiego, a sam miał pozostać zwykłym obywatelem sprawującym wyłącznie urzędy dopuszczalne przez prawo. W rzeczywistości stał się jedynowładcą, ale bez oficjalnego splendoru, a jedyny tytuł, który mu przysługiwał, to Princeps Senatus (pierwszy z senatorów). Z tego powodu ustrój opracowany przez Augusta nazywany jest pryncypatem.

Prowincje podzielone zostały na senatorskie (wewnętrzne) i cesarskie, na terenie tych pierwszych nie stacjonowała armia, nad którą kontrolę zachował Oktawian. Princeps

eprasa.pl 95c197360b



Laureys a Castro „Bitwa pod Akcjum”
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

powoli przejmował też urzędy wzmacniające jego władzę. W czerwcu 23 r. p.n.e. otrzymał uprawnienia cenzora i trybuna ludowego, co zapewniało mu nietykalność osobistą, a po śmierci Lepidusa został najwyższym kapłanem. Otrzymał też tytuł Ojca Ojczyzny, co dobrze charakteryzowało jego rolę w państwie.

Oczywiście unikał wszelkiej ostentacji, przykładowo wstawał, gdy na salę obrad wchodził jakiś spóźniony senator. Mieszkał dość skromnie – wielu obywateli dysponowało znacznie bardziej luksusowymi rezydencjami. Nie bulwersował też opinii publicznej swoim życiem prywatnym. Chociaż miewał przygody pozamałżeńskie, to starał się, by jego związek z Liwią uchodził za wzorowy.

Nowy ład nad Tybrem ugruntowało długie panowanie princepsa (licząc od 27 r. p.n.e. – 41 lat), które zakończyło półwieczny okres wojen domowych. August zreformował armię i zatrzymał ekspansję terytorialną imperium, uznając, że dalsze aneksje przysporzą więcej problemów niż zysków. Postanowił, że państwo oprze swoje granice w Europie na Renie i Dunaju, co zapewni łatwiejszą obronę przed najazdami barbarzyńców. W Afryce kres rzymskiej władzy wyznaczały pustynie, a na wschodzie – państwo Partów. Z tego też powodu znaczna część wojen toczonych w czasach Augusta miała na celu podporządkowanie sobie ludów na prawym brzegu Dunaju, tak by rzeka stała się naturalną granicą państwa. Poza tym dokończono podbój Hiszpanii, a w Azji Mniejszej włączono w granice imperium Galację i Kapadocję.

W kwestii granic w Europie był jednak jeden wyjątek. Na polecenie cesarza jego pasierbowie, Druzus i Tyberiusz, podbili plemiona germańskie zamieszkujące obszar pomiędzy Renem i Łabą. Princeps uznał to za zabezpieczenie Galii i na opanowanych terenach utworzono nowe prowincje. Plany te runęły jednak w wyniki powstania zbrojnego zakończonego straszliwą klęską Rzymian w Lesie Teutoburskim we wrześniu 9 r. n.e. Germanie wybili tam niemal do nogi trzy legiony Publiusza Kwintyliusza Warusa (25 tys. ludzi) i zlikwidowali władzę rzymską na wschód od Renu. Od tej pory rzeka ta przez kolejne cztery wieki miała stanowić granicę imperium.

August wyznaczył kierunki rozwoju cesarstwa w perspektywie 100 lat. W swoim testamencie politycznym zalecił utrzymanie dotychczasowej formy rządów oraz rezygnację z dalszych podbojów. Natomiast ustrój przez niego stworzony miał przetrwać przez ponad 200 lat, chociaż z czasem coraz bardziej zaczęto odchodzić od pozorów republikańskiej formy rządów, a ponadto zdarzali się princepsi, którzy uważali, że należy im się cześć boska jeszcze za życia.

Warto też pamiętać, że panowanie Augusta uchodzi za złoty wiek rzymskiej literatury. To właśnie wtedy tworzyli Wergiliusz i Horacy, a „Eneida” uważana jest za dzieło dorównujące eposom Homera. Oczywiście wysławiała też rodowód Rzymian, którzy mieli pochodzić od uciekinierów z Troi zdobytej przez Greków.

Inna sprawa, że cesarz mógł popierać Wergiliusza i Horacego, ale nie żywił uznania dla bardziej frywolnej muzy. W efekcie Owidiusz, autor „Sztuki kochania”, zakończył życie na wygnaniu wśród barbarzyńców w Tomi (obecna Konstanca) nad Morzem Czarnym.

Kwestia sukcesji

Oktawian był szczęśliwy i skuteczny jako polityk, nie miał jednak szczęścia w życiu rodzinnym. Los obdarzył go tylko jednym dzieckiem, córką Julią, a wśród osób wyznaczonych przez niego do sukcesji panowała dziwnie wysoka śmiertelność. Jako pierwszy zmarł siostrzeniec cesarza (syn Oktawii z pierwszego małżeństwa), Marek Klaudiusz Marcellus. Poślubił on córkę Augusta i był powszechnie uważany za jego następcę, a jego niespodziewana śmierć w wieku zaledwie 19 lat wywołała w Rzymie dużo plotek. Uważano bowiem, że chłopak został otruty, i wskazywano na Liwię, żonę cesarza, jako na sprawczynię mordu.

Małżeństwo Julii i Marcellusa było bezdzietne, natomiast kolejny związek córki princepsa, tym razem z Markiem Agryppą, zaowocował pięciorgiem dzieci (w tym trzema synami). Dwóch najstarszych cesarz niebawem adoptował, wyznaczając ich w ten sposób na swoich następców.

Agryppa zmarł w 12 r. p.n.e. i Julia poślubiła syna Liwii z pierwszego małżeństwa – Tyberiusza. Był on znakomitym wodzem, ale August specjalnie za nim nie przepadał, preferując młodszego pasierba, Druzusa. Podobno od Tyberiusza odstręczały go jego ponury charakter i to, że bardzo przypominał swojego biologicznego ojca.

Ważne były jednak umiejętności militarne pasierba i pod tym względem Tyberiusz faktycznie nie zawiódł princepsa. Prowadził zwycięskie kampanie, a poza Rzymem przebywał tym chętniej, że pożycie z Julią układało się fatalnie. Córka cesarza była kobietą piękną, oczytaną, inteligentną, ale miała duży temperament i była bardzo zmysłowa. Plotkowano o tym już za życia Agryppy, a teraz pogłoski jeszcze się nasiliły. Ostateczny rozkład pożycia Julii i Tyberiusza nastąpił po śmierci ich dziecka. Julia straciła miarę w ocenie sytuacji i jej kochanków liczono w dziesiątkach. Cały Rzym czekał na reakcję Augusta, ale on nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji! Czekała również Liwia, która nienawidziła Julii z całego serca i traktowała ją wyłącznie jako element w grze o sukcesję dla Tyberiusza.



Guido Cagnacci „Śmierć Kleopatry”
FOT. KUNSTHISTORISCHES MUSEM WIEN

eprasa.pl 95c197360b



Friedrich Gunkel „Bitwa w Lesie Teutoburskim" FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Tymczasem dorastali dwaj wnukowie cesarza i Tyberiusz postanowił wycofać się z życia publicznego. Zwrócił się do Augusta z prośbą o zwolnienie go z pełnionych obowiązków, a gdy cesarz odmówił, podjął strajk głodowy. Princeps musiał ustąpić i Tyberiusz osiadł na Rodos, gdzie zajął się studiami nad retoryką. Jednocześnie pilnie nasłuchiwał informacji z Rzymu.

Obaj wnukowie cesarza rozpoczęli kariery wojskowe. Gajusz miał wyjechać na wschód, a Lucjusz na zachód. Zanim to jednak nastąpiło, stolicą wstrząsnęła niespodziewana sensacja: cesarz dowiedział się prawdy o życiu prywatnym Julii. Nie wiemy, kto otworzył Augustowi oczy, raczej można wykluczyć Liwię, cesarzowa była na to zbyt sprytna. Na domiar złego córka princepsa została zamieszana w sprawę spisku Jullusa Antoniusza, syna Marka Antoniusza. Był on jednym z jej kochanków, możliwe zresztą, że wśród innych spiskowców było więcej osób mających za sobą kontakty seksualne z córką Augusta. Ktoś połączył sprawę Antoniusza z Julią, a potem już tylko dodawano kolejne nazwiska do listy kochanków cesarzówny.

Gniew Augusta był straszny, córka została skazana na dożywotnie wygnanie na bezludną wysepkę u wybrzeży Italii. August miał nadzieję, że Julia popełni samobójstwo, kończąc w sposób honorowy całą sprawę, ale próżne były jego oczekiwania. Córka princepsa pokornie udała się na wygnanie, a jej warunki bytowe budziły współczucie w stolicy.

Pod wpływem żony August zgodził się na powrót Tyberiusza do Rzymu, ale pasierb miał przebywać z dala od życia publicznego, nie mieszając się w żadne sprawy państwowe. Cesarz nie chciał stwarzać konkurencji dla swoich wnuków. Niebawem domem cesarskim wstrząsnęły dwie kolejne tragedie. Najpierw zmarł Lucjusz podróżujący morzem do Galii. Choroba spadła na niego nagle i nic nie wiemy o jej przebiegu poza tym, że trwała zaledwie kilka dni. W chwili śmierci chłopak miał jedynie 19 lat. Półtora roku później, po kampanii wojennej na wschodzie, niespodziewanie zmarł starszy z wnuków cesarza, Gajusz. W tej sytuacji cesarz musiał wyznaczyć na swojego następcę Tyberiusza, gdyż bardziej lubiany Druzus też już nie żył. August adoptował pasierba razem ze swoim ostatnim żyjącym wnukiem, 15-letnim Agryppą Postumusem. Według prawa rzymskiego oznaczało to, że pierwszeństwo do sukcesji ma starszy z adoptowanych, natomiast Agryppa mógł zostać spadkobiercą dziadka dopiero po śmierci Tyberiusza.

Mniejsze zło

Cesarz postąpił w jedyny możliwy do przyjęcia sposób. Miał już ponad 60 lat i potrzebny był mu następca tronu z doświadczeniem. Trudno było przewidzieć, jakim władcą okaże się młody Agryppa, który dotychczas pozostawał w cieniu starszych braci. August coraz bardziej zapadał na zdrowiu i podejrzewał, że może nie zdążyć przygotować wnuka do objęcia władzy. Zresztą chłopak chyba nie potrafił zdobyć jego serca, a kronikarze antyczni twierdzili, że był gburem i prostakiem, który interesował się wyłącznie wędkarstwem i ćwiczeniami fizycznymi. Niebawem zresztą sytuacja została rozwiązana, gdyż Agryppa zażądał, by to jemu przypadła sukcesja po dziadku, co cesarz potraktował jako przejaw buntu i zgodnie z tradycją rodzinną zesłał wnuka na bezludną wyspę w pobliżu Italii. August był tu konsekwentny i najważniejsze było dla niego dobro imperium.

Latem 14 r. n.e. princeps zachorował poważnie i lekarze nie dawali mu nadziei, że organizm 77-letniego władcy pokona infekcję. Oficjalna wersja wypadków głosiła, że cesarz czując zbliżającą się śmierć, wezwał do siebie Tyberiusza, by osobiście przekazać mu ostatnie rady. Pasierb zdążył zastać Augusta jeszcze przy życiu, po czym wraz z matką byli obecni przy jego śmierci. W rzeczywistości było prawdopodobnie inaczej. Cesarzowa otoczyła dom ścisłą strażą, reglamentując informacje na temat zdrowia męża. Zapewne August zmarł jeszcze przed przybyciem Tyberiusza, ale jego śmierć ukrywano. Przyczyna była prosta – należało się pozbyć młodego Agryppy, który mógł być rywalem do władzy. W tej sytuacji okręt wojenny zawiózł na Planazję oficera pretorianów, który – powołując się na wolę Augusta – zamordował jego wnuka. W Rzymie kolportowano plotki, że to princeps pozostawił taką dyspozycję na wypadek swojej śmierci. Wymagała tego racja stanu, gdyż dopóki żył wnuk Augusta, dopóty istniała realna groźba wojny domowej, co oznaczałoby nieszczęście dla państwa i obywateli. Trzeba przyznać, że takie tłumaczenie znalazło aprobatę społeczeństwa.

Przy okazji ze świata żywych usunięto też Julię oraz jej córkę, która również przebywała na wygnaniu z powodu oskarżeń o rozwiązły tryb życia. Wraz z objęciem władzy przez Tyberiusza w Rzymie ugruntowały się rządy dynastii nazywanej julijsko-klaudyjską, gdyż jej członkowie pochodzili z rodu Juliuszów (rodziny Cezara i po kądzieli Augusta) lub Klaudiuszów (potomków Liwii). Najczęściej bywali jednak spokrewnieni z obiema rodzinami, a idealnym „produktem" dynastii był Kaligula – prawnuk Augusta i prawnuk Liwii. A przy okazji jeszcze prawnuk Marka Antoniusza…

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 95c197360b

1939–1945 / Teatr i kultura w konspiracji

Kultura zepchnięta w podziemie



„Pokolenie". Rysunek Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, 1940 r.
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA



Marek Gałęzowski

Znaczenie młodych poetów tworzących podczas niemieckiej okupacji polegało – jak stwierdzał Jarosław Iwaszkiewicz – na swoistym świadectwie, którym przypieczętowali trwałość polskiego życia w swym najistotniejszym rdzeniu

Od pierwszych dni okupacji Niemcy przystąpili do planowego niszczenia kultury polskiej. Na ziemiach wcielonych do III Rzeszy zlikwidowano szkolnictwo, co miało być najważniejszym działaniem służącym germanizacji młodzieży polskiej. W Generalnym Gubernatorstwie zamknięto wyższe uczelnie i szkoły średnie, zakazano również nauczania historii i literatury polskiej. Taka polityka wynikała z decyzji Adolfa Hitlera, który nakazał generalnemu gubernatorowi Hansowi Frankowi (co ten gorliwie wykonywał), by żaden Polak nie miał możliwości kształcenia się, poza nabyciem podstawowych umiejętności technicznych – jak się wyraził – do rangi majstra.

Niemiecka polityka uosabiała także dążenie do tego, by Polaków poniżyć i odebrać im poczucie dumy z osiągnięć własnej kultury, nauki, historii. Służyły temu także późniejsze decyzje okupanta, jak przykładowo rozporządzenie, by „z wszystkich publicznych budynków służbowych, włączając szkoły […], natychmiast usuwać wszystkie przedmioty (obrazy, popiersia, napisy itp.), które są zdatne wzmacniać w narodzie pamięć Piłsudskiego lub ją utrzymywać, i przez to dążeniu narodowemu Polaków dodawać dalszego impulsu".

Nie było więc przesady w słowach anonimowego publicysty podziemnego

eprasa.pl 95c197360b

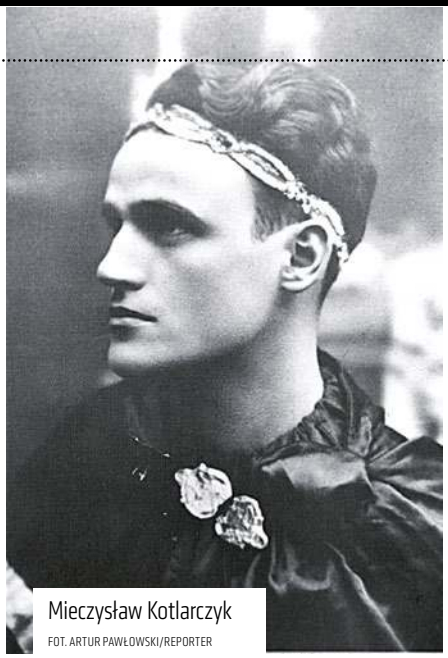
czasopisma „Nurt”, którym najpewniej był jeden z jego dwóch redaktorów, znany pisarz Ferdynand Goetel, że „żaden naród na świecie nie ma tyle do powiedzenia, co znaczy bezwzględność niemiecka w stosunku do kultury, co Polacy”.

Ksiądz Robak w konspiracji

Odpowiedzią na niemieckie prześladowania kultury polskiej było spontaniczne przeniesienie jej do podziemia. Mimo powszechnego terroru, którego ofiarami padli także licznie przedstawiciele środowiska twórczego, działalność kulturalna okazała się jedną z najważniejszych form oporu wobec niemieckiego zniewolenia.

Podziemne życie kulturalne koncentrowało się w Warszawie i w Krakowie. Pod samym okiem Franka znakomicie rozwinęła się scena teatralna – w Krakowie działały przynajmniej trzy konspiracyjne teatry. Tajny Teatr Rapsodyczny Mieczysława Kotlarczyka rozpoczął swoją działalność sceniczną premierą „Króla-Ducha” Juliusza Słowackiego, a później przyszła kolej na kolejne znakomite dzieła wybitnego rywala Adama Mickiewicza: poematu „Beniowski” i dramatu „Samuel Zborowski”. Wśród aktorów tego zespołu teatralnego był Karol Wojtyła, późniejszy Ojciec Święty Jan Paweł II. Zarówno Kotlarczyk, jak i inna wielka postać polskiego teatru, Juliusz Osterwa, dostrzegali w nim wyjątkowy talent sceniczny. Karol Wojtyła wystąpił m.in. w przedstawieniu „Pan Tadeusz” Mickiewicza, wcielając się w rolę ks. Robaka.

Drugą krakowską sceną był Teatr Podziemny „L 24” (później Krakowski Teatr Podziemny) kierowany przez Adama Mularczyka; występowała tam początkująca wówczas, a w przyszłości wybitna polska aktorka Halina Mikołajska, zaangażowana także w działalność opozycji demokratycznej w PRL. Krakowski Teatr Podziemny wystawiał m.in. sztuki Aleksandra Fredry i Stanisława Wyspiańskiego. Inny jeszcze teatr stworzył Tadeusz Kantor – grano w nim „Balladynę” Słowackiego i „Powrót Odysa” Wyspiańskiego. Podziemny ruch teatralny wspierały finansowo i organizacyjnie Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej oraz Tajna Rada Teatralna.



Mieczysław Kotlarczyk
FOT. ARTUR PAWŁOWSKI/REPORTER

Skala tych działań ze zrozumiałych względów nie mogła być wielka i oddziaływała jedynie na tych, którzy i tak nie daliby się ogłupić „sztuce” serwowanej przez okupanta w tanich teatrzykach dostępnych dla szerokiej publiczności, o których repertuarze wszystko mówią tytuły wystawianych tam przedstawień: „Wesoły harem”, „Co trzeba do baby”, „Czy Pani lubi bez”, „Kajaki i krzaki”, „Cacko z dziurką” czy „W ululanym ulu”.

Podziemne życie teatralne nie tylko dowodziło jednak niezłomności w ratowaniu polskiego dorobku kulturalnego, lecz także nie mniej niż walka zbrojna wyrażało przekonanie, że Polska żyje, a jej kultura trwa mimo upadku państwa i nieznanego wcześniej terroru.

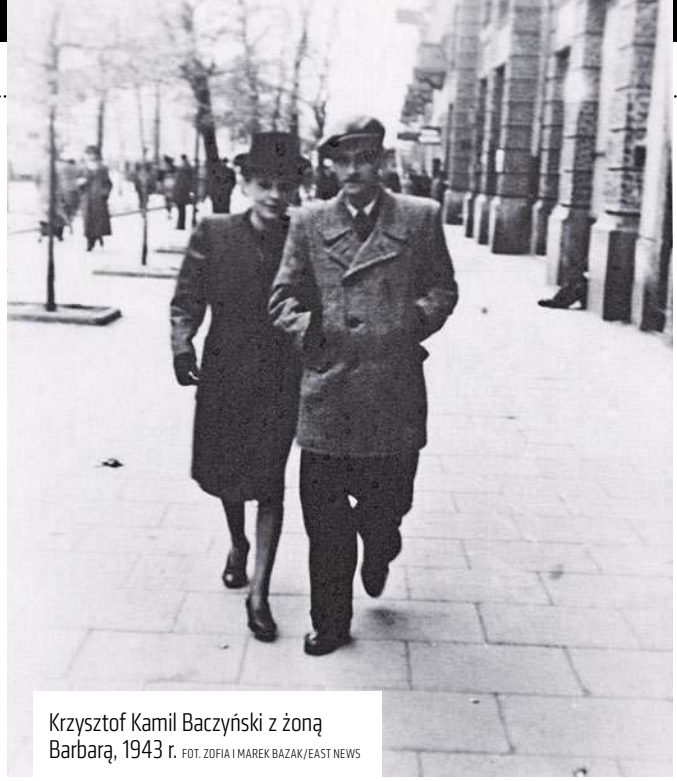
Literatura – najwyższe osiągnięcie

Znacznie większy zasięg miało konspiracyjne piśmiennictwo poświęcone twórczości, głównie literackiej, które wydaje się największym sukcesem kultury Polski Podziemnej. Wspomniany już Goetel wraz z Wilamem Horzycą, czołowym polskim inscenizatorem i reżyserem teatralnym, redagowali pismo „Nurt”. Nawiązujące w tytule do powieści Wacława Berenta reprezentowało poglądy starszego pokolenia twórców literatury polskiego dwudziestolecia międzywojennego. Młodzież pisała do „Drogi” i związanego z Konfederacją Narodu pisma „Sztuka i Naród”. W kręgu prawicowej Unii ukazywała się pod redakcją Jerzego Brauna „Kultura Jutra” (licząca aż 200 stron objętości), ze środowiskiem lewicy związane były „Dźwigary”. W Krakowie wydawano „Miesięcznik Literacki”, do którego pisali m.in. Kazimierz Wyka, po wojnie czołowy badacz literatury polskiej, czy Jerzy Turowicz, przez wiele lat redaktor „Tygodnika Powszechnego”.



Inscenizacja „Balladyny” w reżyserii Tadeusza Kantora, Kraków 1943 r.
FOT. WITOLD WITALIŃSKI/BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 95c197360b



Krzysztof Kamil Baczyński z żoną Barbarą, 1943 r. FOT. ZOFIA I MAREK BAZAK/EAST NEWS

Wielkim osiągnięciem były drukowane w podziemiu książki, z których największą popularnością cieszyła się opowieść o harcerzach Szarych Szeregów – „Kamienie na szaniec" Aleksandra Kamińskiego. Mało kto wie, że tytuł został zaczerpnięty z przedwojennej książki Karola Koźmińskiego, autora poczytnych powieści historycznych dla młodzieży oraz właśnie „Kamieni na szaniec". Znalazły się w nich portrety młodych bohaterów walk o niepodległość i granice Polski z lat 1914–1921, m.in. pułkowników Leopolda Lisa-Kuli, Antoniego Jabłońskiego czy Bogusława Szula, których sylwetki dobrze znają także nasi czytelnicy.

Innej tematyki dotyczyła zbeletryzowana relacja M.B. (czyli Antoniego Szymanowskiego z Biura Informacji i Propagandy KG AK) „Likwidacja ghetta warszawskiego": „Dokąd odchodzą transporty? Tego właśnie nikt nie wie na pewno. Mówią o Bełżcu, o Sobiborze, najwięcej o Treblince. Niedaleko za Warszawą odbywa się podobno selekcja – starców, kaleki, dzieci – wszelkie »nieużytki« – strzelają, zdaje się, na miejscu, reszta jedzie do owej Treblinki. Po ghetcie kursują wieści rzekomo od wywiezionych, z Brześcia, z Siedlec, że dano im pracę, mieszkanie, jedzenie – wszystko to lansują Niemcy, aby pozostałych, następne ofiary, utrzymać w jakim takim spokoju. Co do samej »akcji« – trudno uchwycić w niej jakiś porządek i plan, kolejność. Już nie 5 tysięcy, lecz 7 dziennie wyjeżdża. Przez pierwszą połowę dnia zbierają ten kontyngent Żydzi (milicja), później dopełniają go Niemcy. Ci po prostu »blokują«, czyli obstawiają dom i już biorą wszystkich – bez różnicy i wyboru".

Publikacji będących świadectwem ludobójstwa dokonanego przez Niemców na polskich Żydach było więcej, jak chociażby napisana przez Marię Kann (także z BIP KG AK) broszura „Na oczach świata" o zagładzie getta warszawskiego i walce żydowskich powstańców w kwietniu 1943 r., a także opracowany przez Tadeusza M. Sarneckiego zbiór poezji „Z otchłani" (opublikowany w 1944 r.), gdzie swój pierwodruk miał słynny wiersz Czesława Miłosza o samotności ginących – „Campo di Fiori". Nie były to jedyne teksty, wszystkie zaś świadczyły o potwornej zbrodni, o której wiedzę przekazały przyszłym pokoleniom w formie niemogącej nikogo pozostawić obojętnym.

Wyglądał jak młody Słowacki

Przekonującym dowodem rozwoju kultury podziemnej pod okupacją niemiecką był debiut wielu pisarzy, urodzonych i wychowanych w niepodległej Polsce. O najwybitniejszym z nich pisał we wrześniu 1941 r. do Kazimierza Wyki, z wielkim, niekłamanym entuzjazmem, Jerzy Andrzejewski: „Poznaliśmy w tych dniach z Czesławem [Miłoszem – przyp. M.G.] chłopca, który mając lat zaledwie dwadzieścia, jest już zupełnie wybitnym zjawiskiem poetyckim. Zupełnie zadziwiająca u niego czystość poetyckiej wizji […]. Chłopak nad wiek swój dojrzały, chory zresztą na astmę i z płucami nie w porządku, tak wygląda i zachowuje się, jak można wyobrazić sobie, że wyglądał młody Słowacki w swoich latach wileńskich. Wielka pewność siebie, bez cienia zarozumiałości, świadomość własnych wartości, a także ogromny krytycyzm w stosunku do własnych dokonań. Myślę, że jeśli ten chłopiec będzie żył, to jego nazwisko dużo może oznaczać. Jest to syn nieżyjącego już Baczyńskiego, Krzysztof".



Adresat listu, przyszły profesor literatury Uniwersytetu Jagiellońskiego, stał się jednym z wielbicieli talentu tego „chłopaka nad wiek swój dojrzałego", który jako „Jan Bugaj" debiutował w czasopiśmie „Droga". W maju 1943 r. w „Liście do Jana Bugaja", ogłoszonym w „Miesięczniku Literackim", Wyka wspominał radosne wzruszenie, z którym stale czyta liryki Baczyńskiego, które otrzymał przed rokiem. „Nie zblakło nic z tego wzruszenia" – pisał, by zaraz wśród wybitnych przedwojennych poetów, których oznacza symbolicznie nazwiskiem Miłosz, stawiać także Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, przewyższającego, jego zdaniem, talentem wszystkim innych poetów wojennego pokolenia.

Chociaż tak wrażliwy, „chory na astmę i z płucami nie w porządku", niewysoki, drobnej budowy wstąpił do AK i w chwili wybuchu powstania warszawskiego znalazł się w szeregu walczących, jak gdyby wszystko tłumacząc słowami z „Wiatru": „Kiedy wystygną już boje, szkielet mój będzie miał w ręku sztandar ojczyzny mojej". Poległ czwartego dnia na stanowisku bojowym w Pałacu Blanka. „Grób wykopano na podwórka Ratusza" – wspominał uczestnik pogrzebu poety, Zbigniew Czajkowski-Dębczyński.

„Koledzy nazywają go »szalonym«, tak rwał się do boju, ginie, jak powiadają, w »ekstazie bojowej«" – pisała dwa lata po wojnie do Kazimierza Wyki Stefania Baczyńska, w krótkim życiorysie „Jana Bugaja", dołączonym do listu, w którym informowała wielbiciela twórczości nieżyjącego syna: „Ekshumowano groby po-

eprasa.pl 95c197360b

wstańców na Ratuszu. Znalazłam zwłoki Krzysztofa. Nie mogę i nie będę o tym pisała, zresztą wie Sz. Pan może o samym fakcie z prasy. Pogrzeb wszystkich tych odnalezionych powstańców odbędzie się dnia 14 stycznia br. o godzinie 8-ej z kościoła o.o. Kapucynów (ul. Miodowa) na Cmentarz Powązkowski […]. Więc nareszcie zdobyłam »pewność«, odeszły wątpliwości, odeszły koszmarne domysły: jak i gdzie zginął, a z nimi urwała się ta wątlutka nić nadziei, która trzymała mnie jeszcze tutaj... Jak teraz żyć?".

Bojarski: „Ranny różą"

Okres okupacji był czasem debiutu także wielu innych poetów, publikujących w podziemnej prasie i rywalizujących w konspiracyjnych konkursach literackich, jak chociażby Tadeusza Borowskiego. Do dziejów literatury polskiej przeszedł jako autor opowiadań, których kanwę stanowiły przeżycia w niemieckich obozach koncentracyjnych, ale swoją twórczość rozpoczął zbiorem wierszy „Gdziekolwiek ziemia", wydanym w 1942 r. w nakładzie 165 egzemplarzy. Drugi tomik Borowskiego – „Arkusz poetycki nr 2" – ukazał się w podziemiu już po wywiezieniu autora do Auschwitz.

W podziemnym życiu literackim Borowski spotykał rówieśników o odmiennych przekonaniach politycznych, jak chociażby Wacława Bojarskiego, który wszechstronnie łączył twórczość poetycką i prozatorską z krytyką literacką, czemu niejednokrotnie dał wyraz jako redaktor naczelny pisma „Sztuka i Naród". „Pełen temperamentu, śmiały i błyskotliwy, dał się też poznać z wystąpień dyskutanckich i innych popisów na konspiracyjnych spotkaniach literacko-artystycznych, tzw. »koncertach«" – wspominał go Józef Szczypka. Najbardziej może znany wiersz Bojarskiego, liryk prozą „Ranny różą", za który w czerwcu 1942 r. otrzymał I nagrodę w konkursie literackim „Sztuki i Narodu", nawiązujący w swojej treści do kampanii polskiej 1939 r., znalazł się w jednej z najbardziej znanych antologii poezji konspiracyjnej „Słowo prawdziwe", opracowanej i wydanej w 1942 r. przez Jerzego Zagórskiego:



Wacław Bojarski
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Ruiny miasta?
Ależ nie. To wystrzyżone fantastycznie i prymitywnie z czerwonoszarej tektury proscenium wędrownej szopki.
Pośrodku pięciu „chłopców malowanych", malowanych zielenią i rozpaczą.
Pod pachą każdy ma kijek maleńki, wystrugany gładko, którym można by poruszać te figurki wypchane pół na pół trocinami i muzyką.
Ach, potrząsajcie, potrząsajcie białymi mandolinami i całujcie melodie proste w sam środek liścia na pół złożonego przy ustach.
Jeszcze chwila, a u warg wam muzyka gałązkami rozmarynu zakwitnie.
Jak to ładnie i jak śpiewnie tak się pytać ciągle i tak ciągle nie wiedzieć:
– Wojenko, wojenko, cóżeś ty za Pani?
Teraz koła przejeżdżających samochodów melodię smugami pędu po powietrzu rozciągną.
Z białego nieba pada deszcz stukroplisty. Jest on zbyt zwyczajny, abyśmy go tu mogli zrozumieć.
Deszcz bomb stukroplisty z nieba czarnego.
Ach, nim doleci do ziemi – to niebo czarne sprzed oczu powiekami odgarnij.
Deszcz straszny i rzęsisty uderzy w struny mandolin kroplami – „pąkami białych róż".

Autor tego wiersza został śmiertelnie ranny podczas składania wieńca pod pomnikiem Mikołaja Kopernika w maju 1943 r., w akcji będącej wyrazem narodowego protestu przeciw usiłowaniom okupanta uczynienia z wybitnego polskiego naukowca Niemca.

W chwili śmierci Bojarski nie miał jeszcze skończonych 22 lat. Jego następca na stanowisku redaktora naczelnego „Sztuki i Narodu", Andrzej Trzebiński, został rozstrzelany w egzekucji ulicznej na Nowym Świecie. Kolejny z redaktorów naczelnych – Tadeusz Gajcy – poległ w powstaniu warszawskim, razem ze Zdzisławem Stroińskim, również poetą z kręgu „Sztuki i Narodu" (obaj uczestniczyli w akcji pod pomnikiem Kopernika); sześć dni później zginął na Starym Mieście jeszcze jeden przedstawiciel tego środowiska – krytyk literacki Włodzimierz Pietrzak „Balk". „Granat, który rozerwał się w jednym z mieszkań w domu przy rogu Franciszkańskiej i Świętojerskiej, gdzie »Balk« odpoczywał po zejściu z barykady, ugodził go odłamkiem w skroń, w momencie, gdy czytał »Nowy wspaniały świat« Aldousa Huxleya" – pisał Jerzy Ślaski. Stroińskiego i trzech redaktorów „Sztuki i Narodu" upamiętnił Czesław Miłosz w „Traktacie poetyckim", ale warto wspomnieć, że są oni także bohaterami mniej znanego, a świetnego poematu „Iskrą tylko" Zbigniewa Jerzyny, o tytule zaczerpniętym z „Wielkiej Improwizacji" III części „Dziadów" Adama Mickiewicza.

O wszystkich tych tak wszechstronnie utalentowanych, a tak młodo poległych twórcach pisał po wojnie Jarosław Iwaszkiewicz: „Może niektórym dzisiejszym młodym wydaje się, że przeceniamy rolę poetów okupacyjnych: Baczyńskiego, Gajcego, Stroińskiego – ale przecież ich znaczenie polegało na swoistym dalszym ciągu, swoistym świadectwie, którym przypieczętowali trwałość polskiego życia w swym najistotniejszym rdzeniu".

Nie ma w tych słowach przesady. Gdyż oni może przede wszystkim wpłynęli na „wyjątkową prężność środowisk twórców kultury", która – jak pisał jeden z jej animatorów, rówieśnik wspomnianych, Władysław Bartoszewski – „pobudzona poczuciem potrzeby społecznej odbioru jej dóbr spowodowała, że pięcioletni okres okupacji – mimo krwawych, ogromnych ofiar i dotkliwych strat materialnych – nie stanowił takiej luki w ciągłości kultury polskiej, jaka powinna by powstać w wyniku realizacji założeń okupanta".



© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Archiwum IPN.

eprasa.pl 95c197360b

XIX w. / Polski wątek w grze mocarstw



William Barnes Wollen „Ostatni bastion 44. regimentu w Gundamuck”

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BRITISHBATTLES.COM

Afgańska klęska imperium brytyjskiego



Łukasz Czarnecki

Ekspedycja poprowadzona na Kabul przez Williama Haya Macnaghtena była największą porażką poniesioną w XIX w. przez imperium brytyjskie. W całej sprawie mocno namieszał pewien młody, bardzo zdolny Polak

W marcu 1839 r. do Afganistanu od strony Indii wkroczył 10-tysięczny korpus brytyjski, mający osadzić na tronie kontrolowanego przez Anglików Szacha Szudżę. Choć wyprawa rozpoczęła się pod pomyślnymi auspicjami i najeźdźcy wkrótce zajęli Kabul, to powstanie, które wybuchło dwa lata później, zmusiło Brytyjczyków do porzucenia zdobyczy. Z liczącej 17 tys. ludzi kolumny, która z afgańskiej stolicy wyruszyła ku Dżalalabadowi, do celu dotarł tylko jeden człowiek (i to ciężko ranny). Była to największa klęska poniesiona przez imperium brytyjskie w XIX w. Najdziwniejsze w całej sprawie jest to, że pierwsza wojna brytyjsko-afgańska prawdopodobnie nigdy by nie wybuchła, gdyby nie… Adam Mickiewicz.

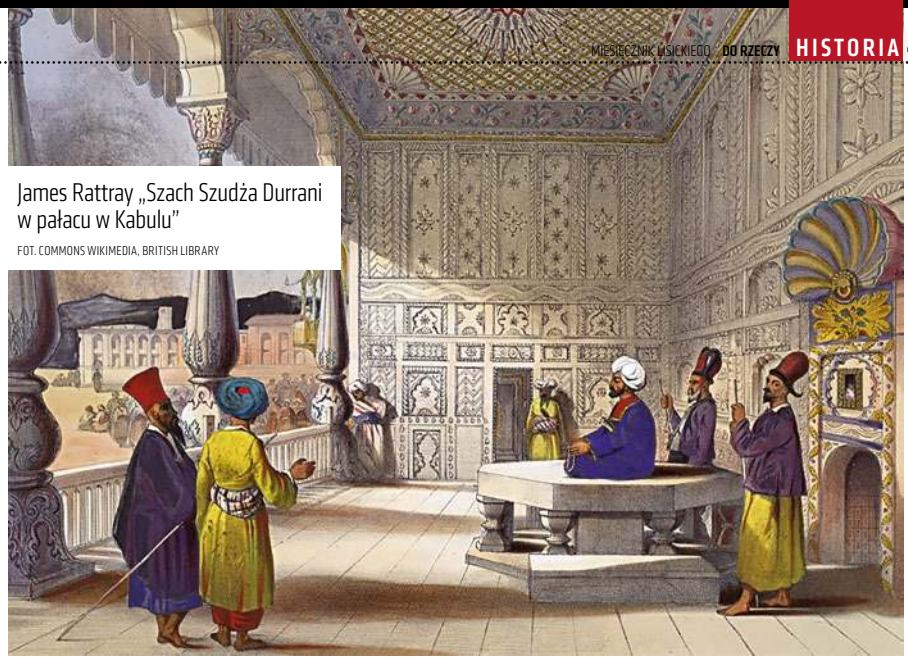
Polski wieszcz do krwawego środkowoazjatyckiego konfliktu rękę przyłożył zresztą zupełnie bezwiednie, gdy aresztowano go w Wilnie w ramach trwających na przełomie lat 1823 i 1824 rosyjskich represji przeciwko młodzieży uniwersyteckiej. Sam poeta, który do tamtych wydarzeń wrócił po latach w „Dziadach”, zapewne mocno by się zdziwił, gdyby ktoś mu powiedział, że zatrzymanie go przez carską policję wprawiło w ruch koła przeznaczenia, mające wstrząsnąć imperium brytyjskim.

Wieści o losach wileńskich studentów rozeszły się szeroko po Litwie. W Krożach na Żmudzi miejscowi gimnazjaliści postanowili pójść w ślady starszych kolegów. Rozentuzjazmowana młodzież pod przywództwem 15-letniego Jana Prospera Witkiewicza powołała do życia stowarzyszenie Czarnych Braci, po czym z właściwą młodości beztroską przystąpiła do działania, rozwieszając po mieście patriotyczne odezwy i śląc listy z pogróżkami nauczycielom uznawanym za prorosyjskich. Sąd był bezlitosny – nastolatków skazano na ciężkie kary, dla przywódców organizacji, na czele z Witkiewiczem, rezerwując stryczek. Z racji młodziutkiego wieku Jana Prospera jego wyrok jednak złagodzono na… dożywotnią karną służbę wojskową na Uralu.

Rozumiejąc doskonale, że z Orska, gdzie wylądował, nie ma ucieczki, Witkiewicz postanowił udać się na emigrację

eprasa.pl 95c197360b

wewnętrzną. Namiastki wolności szukał w stepie. Szybko zaprzyjaźnił się z miejscowymi koczownikami i zaczął uczyć się ich języka oraz kultury. Po kilku latach mówił już ponoć w 19 (sic!) środkowoazjatyckich narzeczach. Żołd wydawał na książki podróżnicze opisujące ludy tego morza traw, które rozciągało się wokół niego. Wkrótce komendant garnizonu, doceniając ogromną wiedzę Polaka, uczynił go guwernerem swoich dzieci. Kolejny zwrot nastąpił, gdy Orsk odwiedził słynny przyrodnik Alexander von Humboldt. Poznawszy naszego rodaka, był pod tak wielkim wrażeniem jego znajomości Azji Środkowej, że gdy zajechał do Orenburga (stolicy prowincji), zarekomendował młodzieńca tamtejszemu generałowi-gubernatorowi. Ten ściągnął Witkiewicza do siebie, dał mu awans na podoficera i zatrudnił w Biurze do spraw Kirgizów.



James Rattray „Szach Szudża Durrani w pałacu w Kabulu"

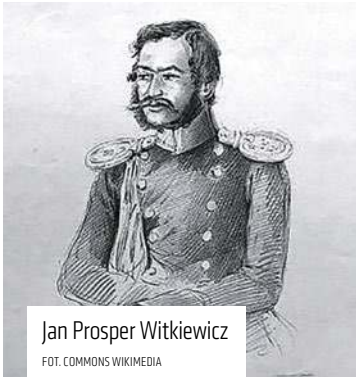
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BRITISH LIBRARY

Afgański chaos

Podczas gdy wielka historia rzuciła Jana Prospera Witkiewicza w środek Azji, w Afganistanie z własnymi kłopotami mierzył się jego władca – Szach Szudża. Ten wysublimowany i obdarzony sympatycznym charakterem przedstawiciel panującej od XVIII stulecia nad Afganistanem dynastii Sadozai władcą został właściwie przez przypadek. W młodości nawet nie śniło mu się zasiąść na tronie. Królewski stolec był wówczas zajęty przez jego starszego brata – Szacha Zamana. W roku 1800 doszło do przewrotu pałacowego zorganizowanego przez potężny magnacki ród Barakzai, który wyniósł na tron innego z braci Sadozai – Szacha Mahmuda. Obalonego monarchę oślepiono. Podobny los czekałby zapewne również Szudżę, ten jednak uciekł na prowincję i przemieszczając się po partyzancku z miejsca na miejsce, uniknął schwytania przez siepaczy nowego reżymu. Trzy lata później w Kabulu doszło do rewolucji, która obaliła Mahmuda. Na wieść o jego upadku Szudża przybył do stolicy, uwolnił oślepionego brata, po czym sam zasiadł na tronie.

Rządy nowego władcy miały okazać się zaledwie epizodem. Królestwo, rozrywane przez lokalnych watażków, zamieniało się w ruinę. Bogate ziemie Pendżabu na dobre odpadły od afgańskiego imperium, a władzę nad nimi sprawował groźny i przebiegły maharadża – Randżit Singh – wspierany przez potężną sikhijską armię, która budziła respekt nawet u Brytyjczyków. Barakzai nie ustawali w knowaniach przeciw tronowi. Wkrótce doszło do kolejnego powstania zakończonego klęską lojalistów w bitwie pod Nimlą. Szudża, nie mając ochoty przekonać się, jak wygląda życie w charakterze ślepca, zapakował na wielbłądy swój harem i część skarbca, po czym uciekł w kierunku kontrolowanych przez Brytyjczyków Indii.

Po drodze dostał się do niewoli Randżita Singha, który „uwolnił" go od ciężaru wiezionych bogactw. Szachowi i jego dworzanom cudem udało się zbiec z Pendżabu i przedostać do leżącego na terenach kontrolowanych przez Kompanię Wschodnioindyjską Ludhijanu. Stąd przez następne 23 lata podejmował on kolejne próby odzyskania tronu. Kończyły się one zawsze w ten sam sposób – totalną klęską.



Jan Prosper Witkiewicz

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Tymczasem w Afganistanie wyrodny brat wygnanego monarchy – Mahmud – przeniósł się na łono hurys, a władzę w kraju przejął przedstawiciel rodu Barakzai – Dost Mohammad. Jako że nie miał on prawie żadnych praw do tronu, początkowo używał tytułu chana, ten jednak brzmiał w jego uszach mało dostojnie, więc sam siebie awansował na emira. Aby podbudować swoje poparcie wśród ludności, ogłosił świętą wojnę przeciwko sikhijskiemu królestwu Pendżabu. To z kolei bardzo nie spodobało się Brytyjczykom, będącym sojusznikami Randżita Singha. Lord Auckland, gubernator Kompanii Wschodnioindyjskiej, postanowił wysłać do Kabulu emisariusza mającego przekonać (a raczej zmusić) Dosta Mohammada do zaprzestania walk. Wybrany do tej misji został rzutki, młody szkocki kapitan – Alexander Burnes.

Polski renegat

Przez większość XIX w. na terenie Azji w najlepsze toczyła się tzw. wielka gra pomiędzy Rosjanami i Anglikami. Zarówno Petersburg, jak i Londyn chciały wyrugować drugą stronę z tych bezkresnych i bogatych terenów, śląc tam swoich emisariuszy szczujących na siebie rozmaite ludy. Burnes był jednym z najskuteczniejszych. W przebraniu kursował swobodnie po ziemiach, które Rosja uważała za swoją strefę wpływów, docierając aż do Buchary (podróż opisał w książce, ta zaś stała się bestsellerem).

eprasa.pl 95c197360b



Alexander Burnes
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Przyniosła ona autorowi sławę asa wywiadu, a także otworzyła Rosjanom oczy na zagrożenie ze strony Brytyjczyków. Potrzebny był na gwałt ktoś, kto dorównałby Burnesowi i mógłby naprawić szkody wyrządzone przez Szkota. Tym kimś okazał się właśnie Jan Prosper (choć teraz już Iwan Wiktorowicz, bo tak się aktualnie przedstawiał) Witkiewicz, który w Biurze do spraw Kirgizów zrobił karierę, zyskał patent oficerski i do szczętu się zrusyfikował.

Polski renegat został wyprawiony przez zwierzchników do Buchary. Udał się tam dwukrotnie. Po raz pierwszy zawitał do miasta w przebraniu muzułmańskiego kupca i zbudował w nim siatkę szpiegowską, dzięki której zneutralizował rezydentów brytyjskiego wywiadu. Następnie, już jako oficjalny przedstawiciel cara, ponownie wjechał w bucharskie mury. Tak się zaś złożyło, że wkrótce potem przybyło tu afgańskie poselstwo będące w drodze do Petersburga. Emir Dost Mohammad wysłał je w nadziei uzyskania wsparcia od cara Mikołaja I w obliczu narastających nacisków ze strony lorda Aucklanda.

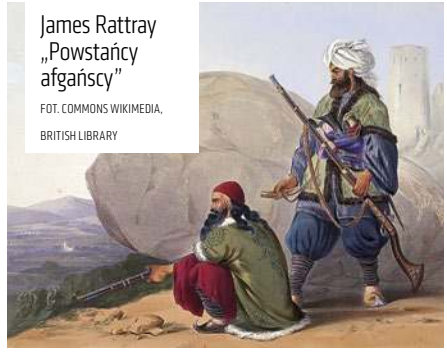
Witkiewicz szybko zrozumiał, jaka gratka mu się trafiła. Osobiście odeskortował posłów do rosyjskiej stolicy, gdzie spotkali się z carem. Nad Newą zapadła decyzja o zawarciu sojuszu z Afganistanem, a na człowieka, który miał doprowadzić do jego podpisania, wybrano właśnie, awansowanego z tej okazji na kapitana, Jana Prospera/Iwana Wiktorowicza. W asyście kozaków agent cara pognał przez stepy i pustkowia Azji Środkowej. Przejeżdżając przez Persję, oddział natknął się na Brytyjczyków. Choć Witkiewicz skłamał co do celu podróży, mówiąc, że jest nim dwór perskiego szacha, to dowódca Anglików domyślił się prawdy i zaalarmował władze Kompanii Wschodnioindyjskiej. Właśnie owa wieść skłoniła lorda Aucklanda do wysłania Burnesa do Kabulu.

Angielski agent, zajechawszy jesienią 1837 r. do afgańskiej stolicy, przekonał się, że Polak go wyprzedził i zyskał dostęp do ucha emira. Witkiewicz obiecywał Dostowi Mohammadowi złote góry w zamian za sojusz z Petersburgiem. Tymczasem Burnes przywiózł ze sobą o wiele gorsze karty przetargowe. Podczas gdy strona rosyjska proponowała władcy Afganistanu 2 mln rubli i wspólny podój Pendżabu, Auckland nakazał swojemu emisariuszowi przekazać emirowi, że jeśli ten będzie się sprzeciwiał Londynowi, to zostanie zdjęty z tronu. Negocjacje szły więc dla Szkota od początku źle i nie ma się co dziwić, że w końcu dostał on załamania nerwowego, a Witkiewicz na początku 1839 r. ruszył z powrotem do Petersburga, w sakwach wioząc projekt umowy sojuszu rosyjsko-afgańskiego, wymierzonego w brytyjskie Indie.

Tron na bagnetach

Wydawać by się mogło, że klęska „twardej" polityki powinna przekonać gubernatora Indii do łagodniejszej dyplomacji. Lord Auckland miał jednak złego ducha – swojego sekretarza Williama Haya Macnaghtena, dla którego najwyższym autorytetem w sprawach Azji Środkowej był… on sam! Macnaghten zasugerował zwierzchnikowi, że skoro na terenie podlegającym władzy Kompanii wciąż przebywa Szach Szudża, to można byłoby posadzić go z – pomocą brytyjskich bagnetów – z powrotem na tronie w Kabulu. Pomysł wydał się gubernatorowi wyborny. Rozpoczęły się przygotowania do inwazji, której kierownikiem miał być pomysłodawca akcji. Z kolei na jego doradcę wyznaczono Alexandra Burnesa.

10 marca 1839 r. brytyjski korpus ekspedycyjny przekroczył granice Afganistanu. Dziesięciotysięcznemu kontyngentowi z Bengalu towarzyszyło prawie 30 tys. cywili. Liczba ta nie powinna dziwić, gdyż każdemu z oficerów tzw. Armii Indusu towarzyszyło co najmniej kilku służących. Wielbłądy uginały się od tak niezbędnych każdemu wojakowi rzeczy, jak whiskey, herbata, książki czy męskie kosmetyki. Obok tego całego „arsenału" wieziono też, rzecz jasna, mocno już podstarzałego Szacha Szudżę.



James Rattray
„Powstańcy afgańscy"
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BRITISH LIBRARY

Gdy Armia Indusu dotarła do Kandaharu, którym zarządzali bracia emira, ci ostatni zamiast się bronić, natychmiast skapitulowali i otworzyli przed najeźdźcami bramy miejskie. Podobnie wyglądała sytuacja w innych miastach znajdujących się na trasie pochodu armii. W końcu 7 sierpnia najeźdźcy zajęli stolicę kraju.

Brytyjskie armaty strzelały na wiwat, w Kalkucie i Londynie zapanowała euforia, a królowa Wiktoria nadała tytuł szlachecki Burnesowi, a Macnaghtena mianowała baronetem. Obaj mieli wraz z silnym korpusem wojskowym pozostać w podbitym kraju, umocnić w nim wpływy brytyjskie i dopilnować, aby uszczęśliwiony powrotem do kraju przodków Szach Szudża nie zapomniał, czyją jest marionetką.

Operację uznano za ostatecznie zamkniętą, gdy w 1840 r. w ręce zdobywców dostał się Dost Mohammad, którego wywieziono do Indii. W Afganistanie pozostał jednak jego syn, Akbar Chan. Wkrótce miał się on stać architektem straszliwej klęski nowych panów Kabulu…

Hordy gwałcicieli

Brytyjczycy w Kabulu czuli się tak pewni siebie, że zamiast zachować czujność, oddawali się rozrywkom i próbowali „ucywilizować" miejscowych za pomocą… nauki krykieta.

O wiele groźniejsze okazało się rozpasanie seksualne zdobywców. Brytyjczycy urządzali na ulicach Kabulu polowania na młode kobiety. Szczególnie wyróżniał się tu Burnes, który pozbawiał honoru jedną Afgankę za drugą. Obraz Szkota, który zachowała tradycja afgańska, jest wprost porażający. Zapisał się w niej jako zdegenerowany rozpustnik i gwałciciel, którego ofiarami padały na równi

eprasa.pl 95c197360b

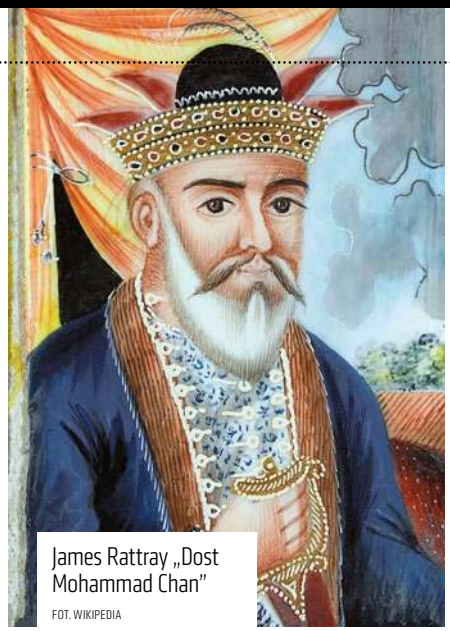
dziewice, jak cudze małżonki. Wkrótce brytyjski oficer stał się jedną z najbardziej znienawidzonych przez tubylców osób w Kabulu. Nie przeczuwał nawet, że za zażywane teraz rozkosze przyjdzie mu zapłacić makabryczną cenę.

Tymczasem Macnaghten słał do gubernatora Indii listy, w których opisywał, jak bardzo zadowoleni z brytyjskiej obecności są Afgańczycy. W rzeczywistości kraj znalazł się na krawędzi przepaści, bo baronet zrezygnował z wypłacania subsydiów na wpół niezależnym pasztuńskim klanom. W efekcie po afgańskich górach szerzył się chaos.

W roku 1840 brytyjski korpus w Kabulu przywitał nowego dowódcę, gen. Williama Elphinstone'a. Była to postać wyjątkowo żałosna. Zbliżający się do sześćdziesiątki oficer ostatni raz na polu bitwy stał... pod Waterloo. O Indiach, dokąd wysłali go przyjaciele w rządzie, by pomóc mu spłacić długi, nie wiedział nic, a do tego ledwo chodził z powodu podagry!

2 listopada 1841 r., po długotrwałych przygotowaniach, które Brytyjczycy przegapili, w Kabulu wybuchło powstanie, na którego czele stal Akbar Chan. Burnes był tak znienawidzony, że to jego dom stał się pierwszym celem powstańców. As wywiadu zginął nędznie, próbując ujść przed rozwścieczonym tłumem przebrany za Afgańczyka. Rozpoznany został dosłownie rozerwany na strzępy. Według tradycji afgańskiej śmiertelny cios zadał mu mężczyzna, którego żonę Szkot zgwałcił.

Zanim Brytyjczycy zdołali zareagować, większa część Kabulu była już w rękach powstańców. Macnaghten nie tracił jednak rezonu. Wierząc w swój spryt i uznając Afgańczyków za prymitywnych „dzikusów", próbował zakończyć rebelię, proponując części jej przywódców łapówki w zamian za zdradzenie i zamordowanie Akbara. Skończyło się to tragiczne. Szef angielskich sił okupacyjnych, próbując podjąć negocjacje z synem obalonego przez Anglików emira, umówił się z nim na spotkanie 11 grudnia. Gdy doszło do niego, Akbar po prostu go zastrzelił, a powstańcy odrąbali mu głowę. Jednego z towarzyszących baronetowi oficerów poszatkowano na kawałki, dwaj inni zostali wtrąceni do lochu, co uratowało im życie, bo wściekły tłum



James Rattray „Dost Mohammad Chan"
FOT. WIKIPEDIA

mieszkańców Kabulu domagał się ich śmierci. Ciało Macnaghtena zabójcy, ku uciesze mieszkańców miasta, powiesili niczym połeć mięsa na rzeźniczym haku pod sufitem bazaru.

Gdyby na czele oblężonych Anglików stał rzutki i odważny dowódca, być może mieliby oni szanse na zwycięstwo. Po śmierci pechowego baroneta z dowódców sił okupacyjnych na placu boju pozostał tylko stetryczały generał major. Zamiast tchnąć w swoich ludzi nowego ducha i stawić wrogom bohaterski opór, Elphinstone na dobrą sprawę skapitulował. Zobowiązał się wyprowadzić swoje siły z Kabulu i Afganistanu, opłacając bezpieczną drogę do Indii astronomiczną kwotą 145 tys. funtów.

6 stycznia 1842 r. garnizon brytyjski wraz z towarzyszącymi mu cywilami opuścił mury Kabulu i ruszył w drogę ku indyjskiej granicy. Droga przez góry okazała się marszem śmierci. Zarówno żołnierze, jak i cywile brnęli w śniegu, a nocami umierali z zimna. Afgańczycy Akbara Chana okazali się też wyjątkowo zdradzieccy i przez cały czas atakowali brnącą z trudem brytyjską kolumnę. Zza skał nadlatywał deszcz kul z muszkietów, a bandy grasantów atakowały tych, którzy zostawali w tyle. Straszliwy los czekał indyjskich sipajów. Ci, którzy nie zamarzli lub nie zginęli na miejscu, po dostaniu się do niewoli byli oddawani afgańskim kobietom, które poddawały ich wymyślnym torturom. Po tygodniu tego piekła pod murami Dżalalabadu stanął ledwie żywy koń niosący na plecach rannego, obdartego mężczyznę z obłędem w oczach. Był to lekarz Armii Indusu – William Brydon. Z 17 tys. Brytyjczyków, którzy opuścili Kabul, tylko on dotarł do celu.

Strzał w hotelu

Inwazja na Afganistan zakończyła się totalną klęską Brytyjczyków. Przywrócony przez nich na tron Szach Szudża nie przeżył odejścia swoich protektorów. 15 września 1842 r. Brytyjczycy wrócili i jeszcze raz przeszli przez kraj, tym razem niszcząc go ogniem i mieczem. Dokonawszy dzieła zniszczenia, tzw. Armia Zemsty wróciła do Indii.

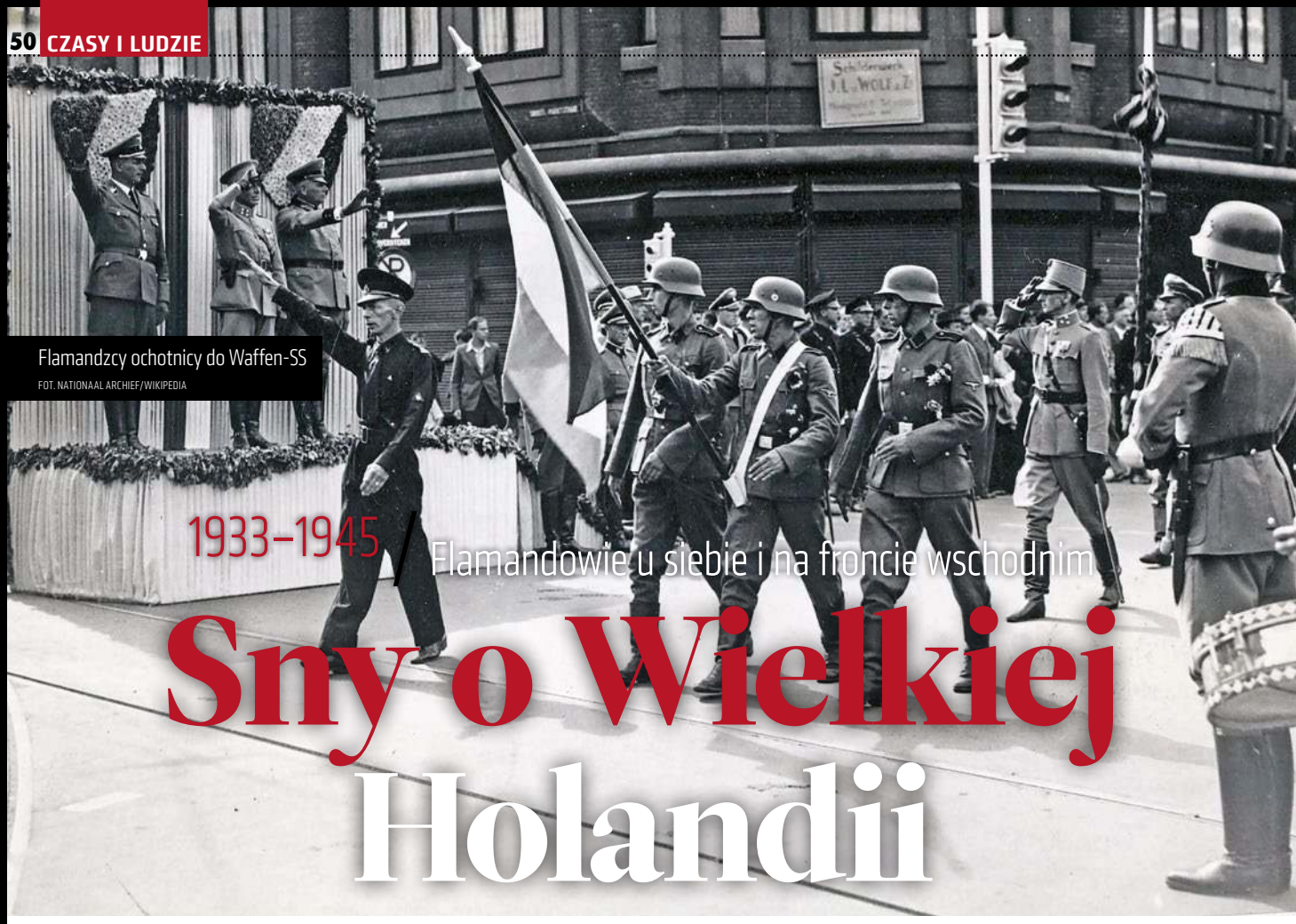
Na koniec warto, abyśmy wrócili jeszcze do postaci Jana Prospera/Iwana Wiktorowicza Witkiewicza. Również dla niego afgańska awantura okazała się wyrokiem śmierci. Gdy po zakończeniu swej misji wrócił do Petersburga i czekał na audiencję u cara, który zapowiedział obsypać go zaszczytami w nagrodę za sukces misji, pewnego wieczoru spotkał przyjaciela z lat szkolnych – niejakiego Tyszkiewicza. Zaprosił go do zajmowanego przez siebie pokoju w Hotelu Paryskim, gdzie przy kolacji opowiedział mu z dumą o swych dokonaniach i czekającej go nagrodzie. Jeśli oczekiwał uznania, to srogo się zawiódł, bo wysłuchawszy tych rewelacji, Tyszkiewicz krzyknął oburzony:

„Wstydź się pan, panie Witkiewicz... Mówisz o swej misji, jak o jakimś szlachetnym wyczynie. Tyś, który gotów był bez wahania poświęcić życie, majątek i pozycję społeczną, gwoli oswobodzenia miłej ojczyzny z niewoli... pomagasz teraz zniewalać niepodległe narody. Ty, któryś dawniej gardził szpiclami i zdrajcami, sam stałeś się jednym z nich!".

Rozwścieczony gość opuścił z niesmakiem pokój dawnego Czarnego Brata. Był on ostatnią osobą, która widziała żywego Witkiewicza. Słowa Tyszkiewicza sprawiły, że w jednej chwili z Iwana Wiktorowicza stał się on z powrotem Janem Prosperem. Po wyjściu przyjaciela z dawnych lat polski renegat wyjął z podróżnych kufrów wszystkie dokumenty dotyczące jego afgańskiej misji, a wrzuciwszy je w ogień, nabił pistolet, wsadził go sobie w usta i pociągnął za spust. Rano zwłoki samobójcy znalazła pokojówka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 95c197360b



Flamandzcy ochotnicy do Waffen-SS

FOT. NATIONAAL ARCHIEF/WIKIPEDIA

1933–1945 / Flamandowie u siebie i na froncie wschodnim

Sny o Wielkiej Holandii



Arkadiusz Karbowiak

Efektem kolaboracji flamandzkich nacjonalistów z Niemcami było utworzenie Ochotniczego Legionu Flandryjskiego, który wziął udział w walkach na froncie wschodnim. Polityczne wizje kolaborantów nie wytrzymały jednak zderzenia z rzeczywistością

Lata 30. XX w. były w Europie czasem rozkwitu organizacji narodowych (nacjonalistycznych) i narodowo-radykalnych. Tak działo się również w belgijskiej Flandrii. 8 października 1933 r. Staf de Clercq ogłosił powstanie Flamandzkiego Związku Narodowego (VNV) – prawicowej i dryfującej w kierunku autorytaryzmu partii flamandzkich nacjonalistów, którzy nie widzieli możliwości dalszego funkcjonowania Flandrii w państwie belgijskim. VNV grupowała zwolenników połączenia zamieszkanej przez holenderskojęzyczną ludność Flandrii z Holandią i utworzenia jednolitej etnicznie oraz językowo Wielkiej Holandii – Dietsland. Głównym hasłem partii było „Władza, dyscyplina, Dietsland". W VNV istniały frakcje skupiające środowiska zarówno umiarkowane, jak i radykalne, zafascynowane koncepcjami narodowo-socjalistycznymi, choć początkowo nie widać tam było akcentów antysemickich.

Dopiero nawiązanie bliższych relacji ze stroną niemiecką spowodowało pojawienie się antysemityzmu. Bardziej wynikało to jednak z pragmatycznej potrzeby związanej z kontaktami zewnętrznymi niż z ideologicznych przemyśleń. W 1936 r. VNV pierwszy raz wzięła udział w wyborach parlamentarnych, uzyskując we Flandrii wynik 13,6 proc. Trzy lata później na nacjonalistów głosowało nieco więcej wyborców – 14,7 proc. Partia była wspierana finansowo przez III Rzeszę, a dotacje systematycznie rosły. W strukturach VNV Staf de Clercq założył Organizację Wojskową, być może uznając, że będzie ona stanowiła wsparcie dla wojsk niemieckich, które – jak mniemał – wkroczą na terytorium Belgii.

W marcu 1940 r. rząd belgijski powołał Komitet Koordynacyjny pod przewodnictwem ministra sprawiedliwości Paula-Émile'a Jansona. Komitet nadzorował działania zmierzające do neutralizacji osób uznanych za zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa. Listy

WWW.DOROZECZY.PL

eprasa.pl 95c197360b

z nazwiskami zostały sporządzone w kwietniu 1940 r. Znalazł się na nich m.in. lider VNV. Służba bezpieczeństwa (Sûrete de l'Etat) aresztowała go 10 maja 1940 r., w pierwszym dniu niemieckiej ofensywy na zachodzie. Jednak dzięki szybkiej interwencji polityków flamandzkich u ministra sprawiedliwości oraz premiera już następnego dnia Staf de Clercq odzyskał wolność. Być może ta decyzja uratowała mu życie. Jak mogło się ono zakończyć, pokazuje tragiczny los 79 internowanych osób (o czym poniżej), które w związku z szybkimi postępami Wehrmachtu zostały wywiezione do Francji i przekazane władzom tego kraju. Jedną z nich był Joris van Severen, przywódca konkurencyjnej wobec VNV partii Verdinaso (Flamandzkiego Związku Narodowo-Solidarystycznego).



Staf de Clercq FOT. COMMONS WIKIMEDIA

„Flamenpolitik"

Verdinaso utworzona została 6 października 1931 r. w Gandawie. Początkowo organizacja opowiadała się – podobnie jak VNV – za utworzeniem Wielkiej Holandii. Szybko jednak odeszła od tego pomysłu na rzecz idei utworzenia państwa zrzeszającego Holandię, Luksemburg oraz Belgię. Modelem gospodarczym tego nowego tworu miał być korporacjonizm. Rządy miały natomiast mieć charakter monarchistyczno-autorytarny. Verdinaso – w przeciwieństwie do VNV – będąc partią bardziej kadrową niż masową, nie promowała idei separatyzmu flamandzkiego, lecz odwoływała się do poczucia tożsamości belgijskiej. Wpływ ideologiczny na Verdinaso miała Action Française Charles'a Maurrasa. Sprawiało to, że – pomimo mundurów, salutu rzymskiego, antysemickiej retoryki i partyjnych bojówek jak Dinaso Militiaten Orden, upodabniających organizację do ruchów faszystowskich, narodowosocjalistycznych czy narodowo-radykalnych – Verdinaso mieściło się w kategorii ugrupowań narodowo-konserwatywnych.

Co ciekawe, Joris van Severen prezentował silnie antyniemieckie nastawienie. W obliczu nadchodzącej konfrontacji militarnej z III Rzeszą potwierdził je zakazem publikowania jakichkolwiek tekstów proniemieckich. Nie uchroniło go to jednak przed aresztowaniem, które nastąpiło 9 maja 1940 r., dzień przed rozpoczęciem operacji „Fall Gelb". Próby uwolnienia van Severena zakończyły się fiaskiem i wraz z grupą 78 innych więźniów przekazano go 15 maja 1940 r. władzom francuskim. Pięć dni później w Abbeville, na rozkaz kpt. Marcela Dingeona, francuscy żołnierze rozstrzelali Jorisa van Severena oraz 20 internowanych Niemców, Włochów, Żydów, belgijskich komunistów, agentów Abwehry i prawicowych działaczy politycznych. Skala mordu byłaby zapewne większa, gdyby nie interwencja por. Julesa Leclebarta, który zabronił kontynuowania egzekucji na pozostałych więźniach. Kilka dni po masakrze, 28 maja 1940 r., król Belgii Leopold III podpisał – wbrew stanowisku rządu, który udał się na emigrację – akt bezwarunkowej kapitulacji.

Po swoim zwycięstwie Niemcy włączyli Belgię wraz z północną Francją (departamenty Nord i Pas-de-Calais) do Militärverwaltung in Belgien und Nordfrankreich (Wojskowa administracja w Belgii i północnej Francji). Dowódcą Wehrmachtu na tym obszarze mianowano gen. Alexandra von Falkenhausena, natomiast wojskową strukturą administracyjną kierował SS-Brigadeführer Eggert Reeder. Staf de Clercq, pomimo braku jednoznacznych deklaracji ze strony kanclerza III Rzeszy dotyczących przyszłości Flandrii – miały one zapaść dopiero po zakończeniu wojny – zamierzał wykorzystać klęskę Belgii i podjąć kolaborację z Niemcami. Ogłosił to publicznie 10 listopada 1940 r., bez konsultacji z kierownictwem partii. Lider VNV chciał zmonopolizować kontakty z Niemcami, mając zapewne świadomość, że w szeregach partii, a także poza nią znajduje się spora grupa radykałów gotowych zaakceptować kolaborację.

Kilka miesięcy wcześniej (14 lipca) Adolf Hitler ogłosił wytyczne polityki, która powinna być prowadzona w okupowanej Belgii. Głównym założeniem było wspieranie i uprzywilejowanie Flamandów kosztem francuskojęzycznych Walonów. Zgodnie z tymi założeniami gen. von Falkenhausen przesłał do



Joris van Severen
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/PTB BE

eprasa.pl 95c197360b

Naczelnego Dowództwa Sił Lądowych (OKH) założenia tzw. Flamenpolitik. Opracował je Reeder, jeszcze przed pojawieniem się instrukcji Hitlera. Dostrzegł on w VNV polityczny czynnik, który pozwoli Niemcom ustabilizować sytuację w kraju i pomoże w realizowaniu polityki okupacyjnej.

Problem z SS

Wbrew pozorom współpraca nie przebiegała jednak bezkonfliktowo. Destabilizowały ją struktury SS nieposiadające wpływów na obszarze zarządzanym przez wojskowych. Dzięki prowadzonej od 1940 r. kampanii rekrutacyjnej do Waffen-SS utworzono Algemeene SS-Vlaanderen na czele z René Lagrou. Organizacja ta miała być przyczółkiem SS na terenie flandryjskiej części Belgii. Szybko okazało się jednak, że lider organizacji ma nieodpartą chęć rozpoczęcia rywalizacji z VNV o przywództwo w ruchu kolaboranckim. Nie chodziło tylko o ambicje, lecz także o różne cele, które obu strukturom przyświecały. Lagrou był zwolennikiem włączenia Flandrii do Rzeszy, co współgrało z planami Heinricha Himmlera, dowódcy SS. Staf de Clercq natomiast, jako nacjonalista flandryjski, zdecydowanie się temu przeciwstawiał. Według jego wizji po ewentualnej rezygnacji z idei Dietsland Flandria mogła jako niepodległy byt znaleźć się w rodzinie narodów współpracujących z III Rzeszą.

Rywalizacja z Algemeene SS-Vlaanderen (a potem po zmianie nazwy – z Germanische SS-Flandren) pogłębiła podziały w VNV. W nadziei, że można będzie z niej wyjść zwycięsko, Staf de Clercq zaczął kierować partię w stronę ideologii narodowego socjalizmu, odchodząc tym samym od katolickich i nacjonalistycznych korzeni. Wspierał go w tym m.in. Reimond Tollenaere. Temu zwrotowi przeciwstawiało się umiarkowane skrzydło VNV. Coraz większa ingerencja SS w politykę okupacyjną w Belgii wzbudzała irytację Wehrmachtu. Dlatego też Reeder próbował zablokować wpływy SS. Temperatura emocji opadła nieco po spotkaniu z szefem Głównego Urzędu SS, Obergruppenführerem Gotlobem Bergerem. Ustalono wówczas zakres odpowiedzialności i kompetencji. W tej sytuacji



Plakat propagandowy 27. Ochotniczej Dywizji Grenadierów (1. flamandzkiej) SS „Langemarck" FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LORDLIBERTY

Staf de Clercq, choć sprzeciwiał się rekrutacji do Waffen-SS, teraz zmienił zdanie. Chodziło o pokazanie dobrej woli, a także przejęcie kontroli przez VNV nad rekrutacją. Jej efektem miał być flamandzki pułk ochotniczy. Rezultaty naboru okazały się jednak bardzo mizerne.

W tym samym czasie rozpoczęły się negocjacje pomiędzy VNV a Verdinaso w sprawie połączenia obu organizacji oraz ich formacji paramilitarnych – Zwarte Brigade (VNV) i Dietse Militia (Verdinaso). W skład VNV weszła także Rex-Flandren, organizacja narodowo-radykalna będąca flamandzką odnogą ruchu reksistowskiego założonego przez Léona Degrelle'a. 10 maja 1941 r. w wyniku scalenia powstał Ruch Jedności VNV. Verdinaso i Rex-Flandren nie dysponowały dużymi aktywami w porównaniu z dominującą VNV. Szybko okazało się, że w praktyce zjednoczenie było fikcją, ponieważ liderzy Verdinaso i Rex-Flandren (oraz wielu ich zwolenników) opuścili szeregi Ruchu Jedności VNV.

Na froncie wschodnim

Wybuch wojny z ZSRS sprawił, że na tapecie pojawiła się kwestia powołania do życia wojskowej jednostki flamandzkiej. 8 lipca 1941 r. Staf de Clercq ogłosił rozpoczęcie tworzenia Ochotniczego Legionu Flamandzkiego (Frewillige Legion Flandern), licząc, że VNV przejmie nad nim kontrolę. Łudzono się, że legion stanowić będzie flamandzką jednostkę autonomiczną z własnym dowództwem. Rachuby te szybko zderzyły się z rzeczywistością. Niemcy, poza opaskami Frewillige Legion Flandern oraz flandryjskim lwem na rękawie munduru, nie wyrazili zgody na jakiekolwiek inne pomysły de Clercqa. SS zablokowało nawet możliwość służby katolickiego kapelana w legionie. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Wśród ochotników rozpoczął się ferment i pojawiało się rozczarowanie. Ujawniły się też polityczne konflikty pomiędzy członkami VNV a rekrutami z Algemeene SS-Vlaanderen. Z biegiem czasu podziały te uległy jednak stopniowemu wyciszeniu. Sprzyjał temu intensywny proces szkolenia. Niemieccy oficerowie i podoficerowie traktowali Flamandów z pewną pogardą i wyższością, co doprowadziło nawet do interwencji SS-Reichsführera Heinricha Himmlera. 11 października na poligonie w Arys (Orzysz) żołnierzy odwiedził Staf de Clercq. Legion Flandern liczył 1112 żołnierzy (w tym 162 Niemców). 13 października 1941 r. legioniści złożyli przysięgę, a niedługo później wyruszyli w drogę na front wschodni.

Przerzucono ich w okolice Leningradu i podporządkowano zmotoryzowanej 2. Brygadzie Piechoty SS. 24 listopada Flamandowie weszli do walki. Parę dni później, 3 grudnia, ponieśli pierwsze straty – sześciu zabitych i trzech ciężko rannych. W pierwszej połowie 1942 r. legioniści wraz z Hiszpanami z División Azul odpierali zacięte ataki sowieckiej 2. Armii Uderzeniowej nad rzeką Wołchow. Intensywne walki powodowały systematyczne topnienie stanów osobowych. Straty nie omijały również kadry dowódczej. W kwietniu ciężko ranny został dowódca legionu SS-Obersturmbannführer Michael Lippert. Późniejszy dowódca, Hauptsturmführer Konrad Schellong, poprowadził swych podkomendnych w marcu 1943 r. do walki podczas tzw. drugiej bitwy pod Krasnym Borem. Po jej zakończeniu szeregi flamandzkich ochotników zmniejszyły się z 400 do... 50 żołnierzy. 14 kwietnia legion rozwiązano.

Z części weteranów utworzono w maju 1943 r. 6. Ochotniczą Brygadę Szturmową SS „Langemarck", przekształconą potem w dywizję. Brygada wzięła udział w roku 1943 w jesiennych walkach na Ukrainie obok 2. Dywizji

eprasa.pl 95c197360b

Pancernej SS „Das Reich". Rok później w ramach Kampfgruppe Rehmann uczestniczyła w tzw. bitwie narodów pod Narwą w składzie III Korpusu Pancernego SS. Ostatni raz Flamandowie wyruszyli do boju w składzie nowo powstałej 27. Ochotniczej Dywizji Grenadierów SS „Langemarck", uczestnicząc w lutym 1945 r. w operacji „Sonnenwende" na Pomorzu. Bronili później szczecińskiego przyczółka Altdam, a udział w wojnie resztki jednostki zakończyły w maju 1945 r. w Meklemburgii.

Służący w Waffen-SS Flamandowie nie byli jedynymi, którzy zdecydowali się zaciągnąć do niemieckich formacji. Wielu innych zgłosiło się na ochotników do Narodowosocjalistycznego Korpusu Motorowego, Organizacji Todt, Kriegsmarine, Feldgandanmerie i Tajnej Policji Polowej. Stosunkowo licznie (3129 ludzi) zasilili oni utworzoną w maju 1941 r. przez Wehrmacht pomocniczą formację Vlaamse Wacht (Gwardia Flamandzka), chroniącą ważne obiekty cywilne i militarne. Poza chęcią opanowania sfery militarno-policyjnej VNV podjęła także kroki w celu oddziaływania na struktury samorządowo-rządowe. Przełomowe znaczenie miała nominacja członka VNV Gérarda Romsée na stanowisko sekretarza generalnego do spraw wewnętrznych i służby zdrowia. Z jego nadania doszło do wymiany wielu burmistrzów i w efekcie we Flandrii na 649 burmistrzów aż 70 proc. stanowili członkowie VNV.

Staf de Clercq zmarł 22 października 1942 r. Zastąpił go Hendrik Elias. Nowy lider znalazł się w ogniu coraz bardziej rozpalającego się konfliktu pomiędzy VNV a Germanische SS-Flandren i założonym jeszcze przed wojną niemiecko-flamandzkim stowarzyszeniem DeVlag (Niemiecko-Flamandzki Związek Pracy), zmierzającymi do zastąpienia VNV w kolaboracji z Niemcami. Na czele tej drugiej struktury stał Jef van de Wiele, jeden z renegatów, dążących do integracji Flandrii z III Rzeszą. Elias w przeciwieństwie do swego poprzednika, niewykluczający utrzymania w przyszłości państwa belgijskiego, zdecydował się przeciwstawić pangermańskiej wizji lansowanej przez DeVlag. Było to konieczne z punktu widzenia interesów flamandzkich, a także po prostu pragmatyczne, ponieważ w VNV, wraz ze zmianą sytuacji na frontach, do głosu zaczęli dochodzić ludzie krytycznie odnoszący się do przyjętego jeszcze za życia Stafa de Clercqa kursu narodowosocjalistycznego. Ich sprzeciw budziły wszelkie sugestie o wcieleniu Flandrii do Rzeszy, ślepa wiara w zwycięstwo Niemiec i „dobre" intencje Führera wobec Flandrii.



Plakat SS Algemeene Vlaanderen
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FRANS VAN IMMERSEEL

Bez perspektyw

W maju 1943 r. Elias napisał list do gen. Reedera, w którym domagał się jasnej deklaracji strony niemieckiej w kwestii przyszłości Flandrii. Odpowiedzi nie otrzymał, doszły natomiast do niego informacje o rozwiązaniu Legionu Flamandzkiego i wcieleniu jego żołnierzy do jednej z dywizji Waffen-SS. W reakcji na to posunięcie oraz wspieranie DeVlag przez struktury SS Elias w przemówieniu 14 sierpnia 1943 r. wezwał do zaprzestania zgłaszania się do Waffen-SS. Nadzieje na rozładowanie powstałych napięć Elias wiązał ze spotkaniem z Himmlerem. Doszło do niego z udziałem van de Wiele'a w lutym 1944 r. w Salzburgu, lecz zakończyło się ono całkowitym fiaskiem. W trakcie rozmowy Himmler zdecydowanie poparł proniemieckie koncepcje programowe DeVlag.



Emblemat Niemiecko-Flamandzkiego Związku Pracy, DeVlag FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Tym samym było już jasne, że kolaboracja VNV nie miała – abstrahując od niemieckich klęsk – żadnych sensownych perspektyw. Partia płaciła za nią wysoką cenę, także cenę życia swoich członków. Nasilające się od 1943 r. zamachy, dokonywane przez ruch oporu na działaczach VNV, zbierały krwawe żniwo. Ich ofiarą padło ok. 100 aktywistów VNV. W odpowiedzi na te i inne akty terroru Niemcy pomiędzy lipcem 1942 r. a lipcem 1944 r. rozstrzelali 240 zakładników (zasadniczo członków ruchu oporu), a do września 1944 r., już po ustanowieniu władz cywilnych z Josefem Grohé, komisarzem Rzeszy, kolejnych 65. Renegaci na czele z Obersturmführerem Robertem Verbelenem, współpracownikiem Sipo i SD, wspierani przez aparat Wyższego Dowódcy SS i Policji SS-Gruppenführera Richarda Jungclausa, stworzyli 60-osobową grupę kontrterrorystyczną Veiligheidskorps (Korpus Bezpieczeństwa DeVlag), dokonującą zabójstw sympatyków i członków podziemia.

Gdy do Belgii zbliżały się wojska alianckie, Hendrik Elias uciekł do Niemiec. Nie wziął udziału w rządzie emigracyjnym Jefa van de Wiele'a. Ponieważ odmawiał współpracy, został internowany przez Niemców w styczniu 1945 r. Po wojnie stanął przed sądem, który skazał go na karę śmierci (zamienioną na dożywotnie więzienie). Zwolniony w 1959 r. zmarł w 1973 r.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

LITERATURA:

Afiero M., ***„Belgian Waffen-SS Legions & Brigades, 1941–1944: Wallonie, Wallonien, Flandern & Langemarck"***; *Cygański M.*, ***„Polityka narodowościowa kierownictwa SS w okupowanych państwach germańskich i romańskich Europy Zachodniej i Północnej w latach 1940–1944/1945"***; *Trigg J.*, ***„Hitler's Flemish Lions: The History of the SS-Freiwilligan Grenadier Division Langemarck (Flamische Nr. I)"***; *Wever de B.*, ***„Greep naar Macht. Vlaams nationalisme en Nieuwe Orde. Het VNV 1933–1945"***.

eprasa.pl 95c197360b

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY



Orle Pióro, wydawca tygodnika „Do Rzeczy", planuje debiut na giełdzie!

Credo redakcji tygodnika „Do Rzeczy"
przyjęte przez Redakcję i Wydawcę
Warszawa, dnia 21 stycznia 2013 roku

Tygodnik „Do Rzeczy" jest pismem konserwatywno-liberalnym.

Konserwatywnym, bo szanuje tradycję chrześcijańską, odwołuje się do sprawdzonych i trwałych zasad etycznych w życiu publicznym, przeciwstawia się eksperymentom społecznym, które podkopują i naruszają odziedziczony ład wartości, bo poważnie traktuje polską pamięć narodową, niepodległość państwa i jego podmiotowość. **Liberalnym,** bo popiera wolność gospodarczą, docenia przedsiębiorczość i twardo będzie stawał w obronie nieskrępowanej wolności słowa oraz swobody debaty publicznej.

Tygodnik chce być wyrazistym głosem w polskiej debacie publicznej. Głosem, który ma wpływ na opinię publiczną, który się słyszy i bierze pod uwagę. Ale ma to być głos niezależny, wolny od partyjnych uwikłań, reprezentujący interes ogółu. Najważniejszym punktem odniesienia dla publicystów i dziennikarzy tygodnika będą Czytelnicy. Zdobycie i zachowanie ich zaufania jest nadrzędnym celem redakcji.

Dlatego redakcja, wydawca i dziennikarze zamierzają przestrzegać Kodeksu Dobrych Praktyk, dokumentu opracowanego i przyjętego w 2005 r. przez Izbę Wydawców Prasy, jak również szanować inne kodeksy i wysokie standardy związane z zawodem dziennikarza – jak np. Karta Etyki Mediów (Rady Etyki Mediów), czy Kodeks Etyki Dziennikarskiej (Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich).

Rolą wydawcy i redaktora naczelnego jest dbanie o zaznajamianie z treścią niniejszego dokumentu i przyjętych zasad wszystkich dziennikarzy i pracowników tworzących zespół tygodnika „Do Rzeczy".

Michał M. Lisiecki
Wydawca

Paweł Lisicki
Redaktor Naczelny

eprasa.pl 95c197360b

Wolność to Konkret!

Przejdźmy DoRzeczy

ZAINWESTUJ

Zostaw swój e-mail na naszej stronie, aby otrzymywać najnowsze informacje i wspierać niezależne dziennikarstwo.

Odwiedź naszą stronę: www.dorzeczy.pl/gielda
lub wyślij swój adres e-mail, SMS/WhatsApp na numer:
+48 508 040 882, a my wyślemy Ci informację zwrotną.

Gwarancja Prywatności:
Twoje dane są bezpieczne. Nigdy nie udostępnimy Twojego adresu e-mail osobom trzecim.



Ilustracja: Wydanie numer 1 z 2013 r.

KORZYŚCI DLA CIEBIE:

Bądź na bieżąco:
Otrzymuj najnowsze informacje o naszym debiucie na giełdzie.

Dostęp do ekskluzywnych treści:
Zarezerwowanych tylko dla naszych subskrybentów.

Wspieraj wolne media:
Twoje zaangażowanie pomaga nam tworzyć wartościowe treści.

INWESTUJ I ZYSKAJ!

Już wkrótce więcej szczegółów inwestycyjnych od nas i naszego biura maklerskiego.

eprasa.pl 95c197360b



Polscy komandosi podczas bitwy o Bolonię FOT. NAC

Wywiad / Z Dariuszem Kalińskim, autorem książki „Awanturnicy i bohaterowie”

rozmawia Piotr Włoczyk

„Specjalsi” Sikorskiego

– To była elita pod każdym względem. Żołnierze formacji Commando, nawet różnych narodowości, stawali za sobą murem i gotowi byli skoczyć jeden za drugiego w ogień – mówi Dariusz Kaliński

PIOTR WŁOCZYK: Polacy brali udział w ostatniej, czwartej bitwie pod Monte Cassino – mogliśmy usłyszeć często przy okazji niedawnej 80. rocznicy. To oczywiście prawda, ale jednak nie całkowita...

DARIUSZ KALIŃSKI: 1. Samodzielna Kompania Commando była od czasu upadku Francji w 1940 r. pierwszą zwartą formacją Wojska Polskiego, która wylądowała na kontynencie europejskim – 2 grudnia 1943 r. komandosi zeszli ze statku we włoskim Tarencie.

W styczniu 1944 r. kompania została przesunięta w rejon Sessa Aurunca, gdzie miała współpracować z brytyjską 56. Dywizją Piechoty podczas forsowania rzeki Garigliano. Zadaniem komandosów było opanowanie jednego z kluczowych wzgórz, górujących nad rzeką, oraz dokonanie dalekiej dywersji na niemieckich tyłach. Tym sposobem jednostka wzięła udział w natarciu, które do historii przeszło jako pierwsza bitwa o Monte Cassino. Kompania Commando była więc pierwszym polskim oddziałem, który wziął udział w zmaganiach o tę górską fortecę, i jedynym, który walczył w dwóch bitwach o Monte Cassino.

Jak wyglądał poranek 17 stycznia?

Po sforsowaniu Garigliano komandosi uwikłali się w walki na przyczółku, ofiarnie wspierając brytyjską piechotę. W związku z tym dowódca kompanii kpt. Władysław Smrokowski wysłał w teren tylko niewielki patrol – dziewięciu ludzi – który miał dokonać dywersji na tyłach wroga. A przecież zadanie to miało być wykonane siłami całej kompanii... Polskim komandosom udało się przeniknąć na tyły Niemców. Zniszczyli nieprzyjacielski punkt łączności, a także wzięli do niewoli łącznościowca, który okazał się Ślązakiem wcielonym do Wehrmachtu. Jeniec, dobrze mówiący po polsku, chętnie z nimi współpracował i podprowadził na stanowisko obserwacyjne artylerii, gdzie trafił im się kolejny cenny łup w postaci niemieckiego oficera oraz sporej liczby map i innych dokumentów. W akcji nad rzeką Garigliano poległo czterech komandosów, a dalszych 23 było rannych i kontuzjowanych – stanowiło to prawie jedną trzecią stanu kompanii.

Dlaczego nasi komandosi walczyli wówczas poza głównymi siłami polskimi?

Strukturalnie i taktycznie polskie Commando podporządkowane było brytyjskiemu Dowództwu Operacji Połączonych. Natomiast bezpośrednio 1. Samodzielna Kompania Commando podlegała polskiemu Naczelnemu Wodzowi. Generał Władysław Sikorski, gdy podpisywał rozkaz o jej utworzeniu, zadbał o to, by mieć ten oddział do swojej dyspozycji, gdyby zaszła taka potrzeba. Do 2. Korpusu Polskiego kompania dołączyła 1 kwietnia 1944 r., gdy wiadomo już było, że oddziały gen. Władysława Andersa przystąpią do czwartej bitwy o Monte Cassino. Starano się wówczas wzmocnić korpus różnymi jednostkami, a komandosi nie dość, że byli pod ręką, to byli już formacją zaprawioną w bojach.

Brytyjczycy byli pionierami, jeżeli chodzi o tworzenie oddziałów komandosów. Zresztą to słowo w polszczyźnie przejęliśmy właśnie od nich.

Brytyjczycy podjęli decyzję o utworzeniu oddziałów Commando latem 1940 r., po upadku Francji i ewakuacji swoich sił z Dunkierki. W zamyśle miały to być niewielkie formacje uderzeniowe, składające się ze świetnie wyszkolonych żołnierzy, które miały dokonywać błyskawicznych rajdów na okupowane przez Niemców wybrzeża Francji czy Norwegii. Wielkim orędownikiem tego typu operacji był

eprasa.pl 95c197360b

premier Winston Churchill, który stał się także motorem napędowym utworzenia formacji sił specjalnych, wbrew obstrukcji brytyjskiego War Office, które było im niechętne. W grę wchodził także czynnik propagandowy – zakładano, że udane operacje oddziałów Commando wpłyną dodatnio na nadwątlone klęskami morale brytyjskiego społeczeństwa. Był to także przekaz dla Berlina, że imperium nadal walczy i jest w stanie wymierzać bolesne i precyzyjne ciosy.

Jakie cele stawiał Londyn przed cudzoziemskimi siłami Commando?

Jeden z oddziałów Commando – No. 10 (Inter-Allied) – był bardzo specyficzny, ponieważ jednostka ta grupowała osiem narodowych kompanii, składających się z żołnierzy państw okupowanych przez Niemców, których rządy znalazły schronienie na terenie Wielkiej Brytanii. To właśnie w składzie tego oddziału funkcjonowała polska kompania jako 6th Troop, a poza nią były tam kompanie: dwie francuskie, holenderska, brytyjsko-żydowska (tzw. X-Troop), belgijska, norweska i śródziemnomorska. Planowano także utworzenie kompanii czechosłowackiej, włoskiej, a nawet japońskiej, do czego ostatecznie nie doszło. Wydaje się, że zamiarem Brytyjczyków było użycie tych jednostek na terenach macierzystych państw w momencie ich wyzwolenia spod niemieckiej okupacji – komandosi stanowiliby świetną forpocztę alianckich sił. Poza tym komandosi idealnie nadawali się do przeprowadzania różnego rodzaju misji specjalnych w terenie, gdzie z pewnością otrzymaliby wsparcie od swoich rodaków.

Co było bazą rekrutacyjną dla 1. Samodzielnej Kompanii Commando?

Oddziały Wojska Polskiego stacjonujące w Szkocji, a ściślej 2. Batalion Strzelców, tzw. Kratkowane Lwiątka, który stacjonował w miasteczku Cupar w hrabstwie Fife na wschodnim wybrzeżu Szkocji. Z tego właśnie batalionu pozyskano ochotników do kompanii.

Czy treningi faktycznie były skrojone pod tworzenie elity wojskowej?

Dla potrzeb szkolenia jednostek komandosów powołano specjalny ośrodek – Commando Depot w Achnacarry



DARIUSZ KALIŃSKI „AWANTURNICY I BOHATEROWIE. WOJENNYM SZLAKIEM POLSKIEJ »KOMPANII BRACI« – 1. SAMODZIELNEJ KOMPANII COMMANDO"
ZNAK HORYZONT

w Szkocji. Żołnierze poddani zostali tam ostremu reżimowi treningowemu. Organizowano marsze na wytrzymałość, specjalistyczne ćwiczenia strzeleckie, treningi w terenie górskim, desant z okrętów na umocnione wybrzeże nieprzyjaciela i wreszcie ćwiczono coś, co dziś nazwalibyśmy surwiwalem, czyli umiejętność przetrwania w terenie przy znikomych zasobach własnych. Kurs był bardzo wszechstronny i miał wyrobić w żołnierzach samodzielność w wykonywaniu zadań bojowych, inicjatywę, kreatywność, czujność oraz zdolność szybkiego podejmowania decyzji taktycznych. To była elita pod każdym względem. Żołnierzy formacji Commando cechował specyficzny esprit de corps, czyli duch wspólnoty, który polegał na tym, że komandosi nawet różnych narodowości stawali za sobą murem i gotowi byli skoczyć jeden za drugiego w ogień. Dowódca No. 10 (Inter-Allied) Commando, ppłk Dudley Lister, zapewniał Polaków, że gdyby doszło do jakiejś knajpianej potyczki, to on, Anglik, jako komandos przyjdzie z pomocą im, a nie swoim rodakom.

O wyczynach naszych komandosów było z pewnością głośno wśród polskich żołnierzy.

Pisała o tym dość obszernie polska prasa na uchodźstwie. Ponadto polska sekcja BBC wyemitowała audycję o ich walkach we Włoszech, stąd usłyszano o nich nawet w okupowanej ojczyźnie. Generalnie komandosi cieszyli się dużą estymą wśród pozostałych polskich żołnierzy.

Co polskim „specjalsom" udało się osiągnąć we Włoszech?

Polska kompania weszła do akcji w drugiej dekadzie grudnia 1943 r. Skierowano ją na front w rejonie górskiej miejscowości Capracotta, skąd 13 grudnia wyszedł pierwszy patrol bojowy komandosów na przedpole niemieckich pozycji. W rejonie tym kompania przebywała do 10 stycznia, cały czas prowadząc akcje patrolowe i działania wypadowe. Później doszło do wspomnianej pierwszej bitwy o Monte Cassino. Dalsze walki na froncie odbywały się już w składzie 2. Korpusu Polskiego – w czwartej bitwie o Monte Cassino w maju 1944 r. kompania wzięła udział w drugim, zwycięskim natarciu. Następnie w lipcu była bitwa o Ankonę, po czym kompania została rozwinięta do wielkości batalionu, choć wówczas zmienił się charakter formacji – z elitarnej jednostki specjalnej komandosi przekształcili się w piechotę zmechanizowaną, która miała działać w strukturze 2. Warszawskiej Dywizji Pancernej. W takim też charakterze komandosi uczestniczyli w ostatniej bitwie 2. Korpusu Polskiego, czyli w zdobyciu Bolonii.

Na ile poważnie brany był pod uwagę przerzut naszych komandosów do walczącej Warszawy?

Wydaje mi się, że to był gest rozpaczy Naczelnego Wodza, gen. Kazimierza Sosnkowskiego, który chciał w jakiś sposób zaznaczyć udział Wojska Polskiego na Zachodzie w powstaniu warszawskim. Początkowo łudzono się, że będzie to 1. Samodzielna Brygada Spadochronowa gen. Stanisława Sosabowskiego. Kiedy jednak Brytyjczycy odmówili transportu brygady do Polski, Sosnkowski próbował sięgnąć po komandosów. Naczelnemu Wodzowi odmówił jednak gen. Anders, który stwierdził, że odpowiednim oddziałem nie dysponuje, co było zgodne z prawdą, ponieważ kompania była wykrwawiona po bitwach o Monte Cassino i Ankonę. Poza tym próba przewiezienia komandosów niezbyt szybkimi samolotami transportowymi typu Dakota trasą nad Jugosławią i Węgrami, gdzie wciąż aktywne były nieprzyjacielskie myśliwce, mogła zakończyć się rzezią. Nie mówiąc już o tym, że tylko nieliczni komandosi przeszli przeszkolenie spadochronowe.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Dariusz Kaliński jest publicystą historycznym, znawcą drugiej wojny światowej, autorem książek o tamtym konflikcie, m.in. „Twierdza Warszawa" i „Czerwony najazd".

eprasa.pl 95c197360b

Fragment książki / „Obława na Wyklętych. Polowanie bezpieki na Żołnierzy Niezłomnych”

Kaźń cichociemnego



Tadeusz M. Płużański

Bolesław Kontrym przed wojną bezpardonowo bronił polskiej granicy przed sowieckimi prowokacjami, a w trakcie okupacji, jako cichociemny, z ogromnym poświęceniem walczył z Niemcami. Po aresztowaniu przez UB ślad po „Żmudzinie” urywa się na blisko cztery lata...

Aż do dziś nie miałam pewności, co się stało z dziadkiem. Czy został zamordowany w Warszawie czy może zabrany do Rosji? – mówiła wzruszona prof. Grażyna Kontrym-Sznajd, gdy okazało się, że Bolesław Kontrym został zidentyfikowany na „Łączce” Powązek Wojskowych w Warszawie. Major Bolesław Kontrym „Żmudzin” to postać prawie dziś zapomniana. Tymczasem ten oficer Policji Państwowej w II RP to symbol pokolenia, które oddało życie za ojczyznę. Kawaler Orderu Virtuti Militari, trzykrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych.



Bolesław Kontrym FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BIULETYN INFORMACYJNY AK STYCZEŃ 2005

[...]

Już w lutym 1922 r. rozpoczął pracę dla polskiego wywiadu, a konkretnie dla pułkownika Romualda Wolikowskiego, attaché wojskowego przy poselstwie RP w Moskwie. W działalności wywiadowczej pomagała mu poślubiona w 1919 r. Ija, z domu Mikołajewa. Kiedy Kontrym poczuł się zagrożony przez sowiecki kontrwywiad, wysłał do Polski – dzięki lewym papierom dostarczonym przez poselstwo RP – matkę, żonę i dwuletniego synka Władysława. Wkrótce – po sfingowaniu swojej śmierci – sam dołączył do nich, nielegalnie przekraczając granicę sowiecko-polską w grudniu 1922 r.

Po powrocie do Polski Bolesław Kontrym został zweryfikowany w stopniu porucznika i skierowany do służby w Straży Granicznej. Wobec jej likwidacji w lipcu 1923 r. automatycznie przeszedł (w stopniu aspiranta) do służby w Policji Państwowej (utworzona ustawą sejmową z 24 lipca 1919 r.). Pierwszym stanowiskiem, jakie otrzymał, był dowódca kompanii w Rubieżewiczach w pow. stołpeckim. Wkrótce dała o sobie znać jego ułańska fantazja. Pewnego dnia nagle – podczas pełnienia służby patrolowej – zniknął jeden z podwładnych Kontryma. Po kilku dniach wywiad dał znać, że zaginiony porucznik został osadzony w więzieniu NKWD w Mińsku. Porucznik Kontrym długo się nie zastanawiał. Pod osłoną nocy, wraz z kilkuosobowym oddziałem, wypuścił się kilka kilometrów w głąb Rosji, z zaskoczenia zaatakował sowiecki posterunek, a jego całą załogę aresztował i przeprowadził z workami na głowach na polską stronę. Tu oficjalnie ich aresztował. Następnie zawiadomił swoich przełożonych o zatrzymaniu po polskiej stronie sowieckiego patrolu: jednego oficera, czterech szeregowców. Zadzwonił do sowieckiego dowództwa w Mińsku, proponując wymianę na uwięzionego Polaka. Sowieci zaprotestowali,

eprasa.pl 95c197360b



Generał Władysław Sikorski podczas spotkania z cichociemnymi. Bolesław Kontrym trzeci z prawej FOT. NAC

tłumacząc, że jeńcy nie byli członkami rzeczonego patrolu. Jednak rokowania, prowadzone za pośrednictwem ambasady szwajcarskiej, po kilku tygodniach doprowadziły do wymiany jeńców i aresztowany porucznik wrócił do Polski.

[…]

Na obczyźnie

W czasie kampanii wrześniowej 1939 r. Kontrym został wysłany z Wilna do Zaleszczyk ze specjalną misją przekazania poczty dyplomatycznej dla rządu RP, po czym powrócił do Wilna. Internowany 19 września po przekroczeniu granicy litewskiej i osadzony w obozie w Kolatowie pod Kowlem. Z obozu razem z synem Władysławem i czterema towarzyszami uciekł w październiku roku 1939… taksówką. Następnie przez Tallin oraz Rygę na statku „Estonia" przybył do Sztokholmu. Przez Wielką Brytanię dotarł do Francji. Od grudnia 1939 r. dowodził kompanią w Oddziale Zapasowym 2. Dywizji Strzelców Pieszych, a od marca 1940 r. kompanią 3. Batalionu Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich. Brał udział w bitwie pod Narwikiem (maj–czerwiec 1940 r.). Za bohaterstwo dwukrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych i francuskim Croix de Guerre ze srebrną gwiazdą. Od lipca 1940 r. kierował działem paszportowo-wizowym placówki ewakuacyjnej żołnierzy polskich w Marsylii, podległej Wydziałowi Wojskowemu Konsulatu RP w Tuluzie. W październiku 1940 r. wyruszył w kolejną podróż – przedostał się przez Portugalię i Gibraltar do Wielkiej Brytanii. Tu znowu dowodził strzelcami, a we wrześniu 1941 r. został przydzielony do 3. Baonu 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej. Zaprzysiężony na rotę Armii Krajowej, w kwietniu 1942 r. przeszedł przeszkolenie dla cichociemnych. Opanowanie zasad konspiracji nie było dla niego nowością. Kontrymowi nadano pseudonimy Żmudzin i Biały (będzie używał głównie tego pierwszego) i zaopatrzono w dokumenty na nazwisko Bolesław Konopacki.

W nocy z 1 na 2 września 1942 r. Bolesław Kontrym został zrzucony do kraju w ramach operacji lotniczej „Smallpox" na placówkę „Rogi", położoną 16 km na północny wschód od Grójca. Awansowany do stopnia kapitana, wkrótce został jednym z dowódców akcji sabotażowo-dywersyjnej „Wachlarz". Na polecenie komendanta głównego Armii Krajowej, gen. Stefana Roweckiego „Grota", opracował plan odbicia więźniów w Pińsku. Przeprowadzoną 18 stycznia 1943 r. brawurową akcją dowodził jego przyjaciel z czasów służby w policji, por. Jan Piwnik „Ponury". W marcu 1943 r. Kontrym pełnił funkcję szefa Kedywu Okręgu AK Brześć. W lipcu 1943 r. został oddelegowany do Warszawy do dyspozycji delegata Rządu RP na Kraj i objął – pod pseudonimem Cichocki – stanowisko zastępcy komendanta i szefa Centrali Służby Śledczej Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa (podziemnej policji), o co prosił komendanta głównego AK już w listopadzie 1942 r. W tym czasie – jako „Żmudzin" – organizował specjalny oddział bojowy „Sztafeta – Podkowa" (później funkcjonujący tylko pod nazwą „Podkowa") i został jego dowódcą. Zadaniem tej 40-osobowej komórki była ochrona Delegatury Rządu oraz wykonywanie wyroków wojskowych i cywilnych sądów specjalnych Polskiego Państwa Podziemnego na niemieckich agentach, konfidentach gestapo, kolaborantach i szmalcownikach (wykonał 25 akcji likwidacyjnych). Jedną z akcji „Podkowa" przeprowadziła na przełomie września i października 1943 r. W centrum Warszawy przejęto opancerzony samochód typu Chevrolet, który był własnością Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. W samochodzie znajdowały się m.in. specjalne przepustki podpisane przez funkcjonariusza gestapo. Po telefonicznych pertraktacjach „Żmudzin" wymienił zdobycz na kilku żołnierzy AK aresztowanych przez policję polityczną Sipo. Jesienią 1943 r. „Podkowa" prowadziła też przygotowania do rozbicia więzienia na warszawskim Pawiaku. Akcja została jednak w ostatniej chwili odwołana przez Delegaturę. Na początku 1944 r. Kontrym opracowywał również plan opanowania obozu na Majdanku. Uznano go jednak za niewykonalny. Do wybuchu powstania warszawskiego oddział „Żmudzina" wykonał 25 akcji likwidacyjnych na agentach i konfidentach. Bolesław Kontrym współtworzył również organizację do walki z przestępstwami pospolitymi o kryptonimie Start (została zinfiltrowana przez komunistów).



Książeczka wojskowa Bolesława Kontryma
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, RYSMZ

O Godzinie „W" Kontrym z balkonu kamienicy przy pl. Dąbrowskiego zaczął strzelać z rewolweru do niemieckich żandarmów, co przypłacił ranami ręki i nogi. W powstaniu warszawskim „Podkowa" weszła w skład dowodzonej przez kpt. „Żmudzina" 4. kompanii w zgrupowaniu mjr. Włodzimierza Zawadzkiego „Bartkiewicza". Kontrymowi powierzono dowodzenie odcinkiem obejmującym ulice Królewską i Kredytową oraz pl. Małachowskiego. Przez cały

eprasa.pl 95c197360b

czas walk w Warszawie ta powstańcza reduta została utrzymana. W powstaniu Bolesław Kontrym został czterokrotnie ranny.

[...]

Po kapitulacji powstania 2 października 1944 r. dostał się do niewoli, zaopatrzony w legitymację AK wydaną na nazwisko Wójcik. Był więźniem w kilku obozach jenieckich, m.in. w Lamsdorf (Łambinowice k. Opola). W kwietniu 1945 r. uciekł z obozu Sandbostel, przeszedł linię frontu i dostał się na teren działania 1. Dywizji Pancernej gen. Maczka.

[...]

W „ludowej" Polsce

Do kraju wrócił w czerwcu 1947 r. W sierpniu Komisja Rehabilitacyjno-Kwalifikacyjna dla byłych funkcjonariuszy Policji Państwowej wystawiła mu zaświadczenie zezwalające na pracę w służbie państwowej. Został szefem działu administracyjno-gospodarczego w Centralnym Zarządzie Państwowego Przemysłu Fermentacyjnego. W kwietniu 1948 r. dostał służbowe mieszkanie w Warszawie przy ul. Mazowieckiej 11. To normalne życie było jednak tylko pozorem. Przez cały czas Bolesław Kontrym był śledzony przez Informację Wojskową. Jego inwigilację zlecił sam szef IW, płk Dymitr Wozniesienski. Teczkę założono mu już 15 marca 1947 r., czyli cztery miesiące przed powrotem do Polski. Inwigilacja doprowadziła do aresztowania. 13 października 1948 r. Kontrym został wywołany z pracy na rzekome spotkanie służbowe, po czym wywieziono go w nieznanym kierunku. Postanowienie o aresztowaniu Naczelna Prokuratura Wojskowa wydała ex post – 15 października 1948 r., czyli dwa dni po aresztowaniu. Rodzina dowiedziała się o aresztowaniu Bolesława od brata – Konstantego, który kilka dni później dostał polecenie bezzwłocznego stawienia się w Moskwie. Razem z Konstantym Kontrymem z Polski musieli wyjechać jego żona Miłka (wdowa po Tuchaczewskim) i adoptowany przez ojczyma syn Alik. Po latach do rodziny w Polsce dotarła wiadomość, że



TADEUSZ M. PŁUŻAŃSKI
„OBŁAWA NA WYKLĘTYCH. POLOWANIE BEZPIEKI NA ŻOŁNIERZY NIEZŁOMNYCH"
REPLIKA

gen. Konstanty Kontrym zmarł w szpitalu w Moskwie przy „skomplikowanym zabiegu chirurgicznym".

Po aresztowaniu ślad po „Żmudzinie" urywa się na blisko cztery lata. Dopiero w 1952 r. – już po wyroku na Bolesława Kontryma – rodzina dostała pierwsze kartki z więzienia przy ul. Rakowieckiej. Dopiero po latach, w wolnej Polsce, synowi Władysławowi udało się odtworzyć los ojca. Cząstkową wiedzę zdobył w 1957 r., kiedy uzyskał zezwolenie na wgląd do akt rehabilitacyjnych Sądu Wojewódzkiego dla miasta Warszawy. Józef Wesołowski, współwięzień z jednej celi na Mokotowie, zeznawał, że „Żmudzin" opowiadał mu, iż po aresztowaniu był w jakimś więzieniu pod Warszawą, gdzie dowieziono go z zawiązanymi oczami. Innemu więźniowi, Tadeuszowi Nowińskiemu, opowiadał, że w czasie przesłuchań „był często bity gumami i przez dłuższy okres czasu zakuwano go w kajdany podczas przesłuchań. Cela była stale oświetlona. Któregoś dnia wrócił Kontrym z przesłuchania ze zmiażdżonymi paznokciami u nóg [...]. W dzień wlewano nam permanentnie wodę do celi (ok. 10 wiader dziennie), którą musiał zbierać sam Kontrym szmatką. W nocy po przyjściu z przesłuchania lub gdy nie był przesłuchiwany, robiono mu pobudki co 10 min – ubrać i rozebrać się [...]. Znęcano się nad nim zarówno psychicznie, jak i fizycznie, a między innymi już to głodzono go, to znów przynoszono mu nadmierne jedzenie, np. 17 kanapek, każąc mu wszystko zjeść, a gdy nie mógł, to siłą wpychano mu do ust; to znów głodnemu dawano jedzenie, a gdy po nie sięgnął, bito go po palcach". Z kolei Kazimierz Moczarski opowiadał Władysławowi Kontrymowi, że widział „Żmudzina" bardzo pokaleczonego po jednym z przesłuchań.

[...]

Z dokumentów wynika, że postanowienie o wszczęciu śledztwa przeciwko Bolesławowi Kontrymowi wydał 30 października 1948 r. (17 dni po aresztowaniu) śledczy kapitan, później major, Edmund Kwasek. Celem śledztwa było „przyznanie się" „Żmudzina" do rzekomych przestępstw popełnionych w latach 1923–1944 [...]. Dlaczego część dokumentów ze śledztwa nie została dołączona do akt sądowych? Na to pytanie odpowiedź jest prosta – Bolesław Kontrym w śledztwie zachowywał się godnie, nikogo nie wydał, nikogo nie obciążył. Dlatego komunistyczni decydenci postanowili go zabić.

Postanowiony na szczytach władzy wyrok śmierci formalnie wydał 26 czerwca 1952 r. Sąd Wojewódzki dla m.st. Warszawy. Oskarżał wiceprokurator Prokuratury Generalnej Beniamin Wajsblech, który dwa miesiące wcześniej żądał kary śmierci dla gen. Emila Fieldorfa „Nila". Podczas procesu Kontrymowi zarzucono „działanie na szkodę narodu polskiego w okresie od roku 1925 do września 1939, przez przyczynianie się do rozbijania ruchu robotniczego i dręczenie działaczy komunistycznych, oraz że w okresie od września 1942 r. do sierpnia 1944 r., idąc na rękę władzy hitlerowskiego państwa niemieckiego, działał na szkodę narodu polskiego". Wyrok wydano na podstawie wymuszonych torturami zeznań świadków.

Po procesie sześć miesięcy spędził w celi śmierci. Nawet wtedy się nie załamał. Listy z tego okresu do matki i syna pełne są miłości i troski o najbliższych, ale również optymizmu i wiary, że zostanie ułaskawiony. 9 października 1952 r. Sąd Najwyższy zatwierdził wyrok śmierci na Bolesławie Kontrymie „Żmudzinie". Sporządzony w więzieniu protokół wykonania kary podaje, że zgon nastąpił 2 stycznia 1953 r. przez powieszenie. Taką datę podano w akcie zgonu w Urzędzie Stanu Cywilnego. Istnieją jednak poszlaki, że Kontrym mógł zostać stracony 20 stycznia 1953 r. i do końca był torturowany przez ubeckich katów. Piotr Szewczyk ps. Czer – cichociemny, przyjaciel „Żmudzina", który siedział w sąsiedniej celi na Mokotowie – opowiadał, że słyszał przez ścianę jęki i krzyki „Żmudzina", gdy oprawcy więzienni tłukli go pończochami wypełnionymi piaskiem. Być może były to ostatnie chwile jego życia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Powyższy tekst jest fragmentem książki Tadeusza M. Płużańskiego „Obława na Wyklętych" (wyd. Replika).

eprasa.pl 95c197360b



Wolf Biermann podczas koncertu w Kolonii, 1976 r.
FOT. WILHELM BERTRAM/DPA/PAP

1949–1989 / Pieśniarz rozdarty między NRD i RFN

Samotny wilk wśród bardów



Piotr Semka

Ponieważ pół życia spędził w dawnej NRD, a drugie pół w RFN, Wolf Biermann stał się dla Niemców ulubionym symbolem powojennego podziału kraju. Powolną ewolucję od uwielbienia komunizmu do zdecydowanego potępienia tej ideologii doskonale widać w jego twórczości

Moje życie to powieść łotrzykowska" – zwykł mawiać Biermann, niemiecki pieśniarz, poeta i były dysydent. Jego imię po niemiecku oznacza wilka i wielu przyjaciół, którzy znali go na różnych etapach życia, potwierdza, że doskonale do niego pasuje. Był wilkiem samotnikiem, chodzącym swymi ścieżkami. Ale zawsze lgnęli do niego ludzie, którzy chcieli słuchać jego pieśni. Traktowali je jak haust świeżego powietrza w dusznym NRD-owskim realnym socjalizmie.

Jego bronią była poezja, do której komponował swe pieśni. Dla Niemców jest takim samym symbolem niezależnego, wolnego pieśniarza, jakim u nas był Jacek Kaczmarski. Jedno było wspólne dla obu twórców – i Wolf, i Kaczmarski mieli szczęście dożyć chwil, gdy ich pieśni znały na pamięć tłumy i śpiewały je w czasach rewolucji. Jednak walcząc z systemem Niemiec, długo uważał się za komunistę. Tyle tylko że uważał, iż broni jakiegoś wyidealizowanego komunizmu, który miał być lepszy od tej ideologii, którą wciskano mu do głowy w NRD. Jego fani twierdzą, że to właśnie od pozbawienia go NRD-owskiego obywatelstwa w końcu 1976 r. zaczął się proces budzenia się opozycji przeciwko reżimowi Ericha Honeckera.

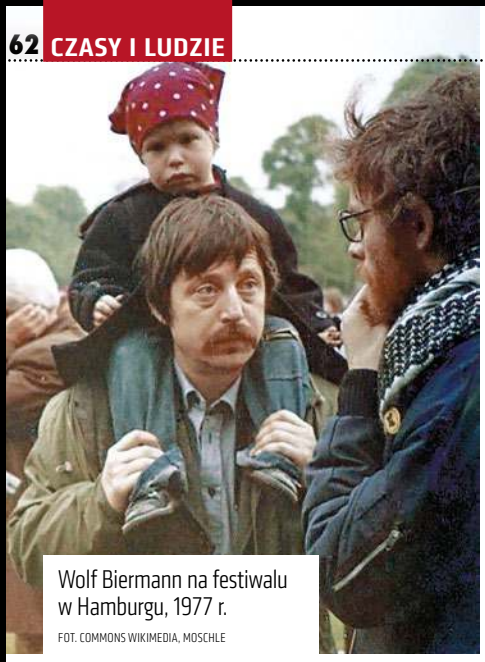
Biermann (rocznik 1936) ma dziś 86 lat i spędza jesień swego burzliwego życia w cichym domku w willowej dzielnicy Hamburga – Ottensen. Przekazał już wszystkie swoje dokumenty bibliotece państwowej w Berlinie, a Niemieckie Muzeum Historycznie niedawno poświęciło mu wielką wystawę w stolicy. Czy łatwo być pomnikiem za życia? Czym jego opozycyjna kariera różniła się od dokonań jego polskich odpowiedników, a w czym była podobna?

Płomienny wyznawca

Był synem komunisty. Ten element opozycyjnej biografii Biermanna przypomina losy Adama Michnika czy Karola Modzelewskiego w Polsce albo Tomasa Venclovy na Litwie. Ale ojciec Biermanna nie był komunistycznym dygnitarzem, któremu przysługiwały dyrektorskie stanowiska. Dagobert Biermann był komunistą i Żydem, przez co został wysłany w 1943 r. do komory gazowej Auschwitz-Birkenau. Biermann wspomina, że szara koperta z zawiadomieniem o śmierci ojca miała niemal prześmiewczy stempel „zwolnione od opłaty pocztowej". Tę kopertę, obok zdjęcia ojca, przechowuje do dzisiaj jak najcenniejszą relikwię.

Matka, Emma, była z zawodu hafciarką i zawsze strzegła pamięci o mężu. Gdy zakończyła się druga wojna światowa, młody Wolfa zrozumiał, że został niemal całkowicie pozbawiony rodziny.

eprasa.pl 95c197360b



Wolf Biermann na festiwalu w Hamburgu, 1977 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MOSCHLE

W czasie wojny zginęło ponad 30 jego rozmaitych krewnych. Młody chłopak wraz z matką mieszkał w Hamburgu, który od maja 1945 r. stanowił część brytyjskiej strefy okupacyjnej w Niemczech. Matka zapisała chłopaka do Socjalistycznej Młodzieży Robotniczej (SAJ), która była w rzeczywistości przybudówką niemieckich komunistów na Zachodzie. Gdy w 1950 r. komuniści w Berlinie Wschodnim zorganizowali wielkie wszechniemieckie spotkanie młodzieży, młodego Wolfa wybrano, aby jako przedstawiciel 800 zachodnioniemieckich pionierów złożył wobec prezydenta NRD Wilhelma Piecka uroczyste przyrzeczenie: „Nie znamy żadnych granic stref okupacyjnych. Znamy tylko jedne Niemcy ze stolicą w Berlinie".

W maju 1953 r. matka Biermanna podjęła decyzję, że chłopiec powinien uczyć się w NRD. Hamburska komórka partii komunistycznej wytypowała go wraz z 60 innymi młodymi ludźmi do wyjazdu do gimnazjum w NRD. Pobyt w internacie w Gadebusch wiąże się z pierwszym wspomnieniem Biermanna o bezwzględności systemu. Oto w jego szkole zorganizowano wówczas wiec, na którym wywołano na środek sali młodą dziewczynę należącą do Junge Gemeinde (JG), likwidowanej wówczas organizacji młodych ewangelików. Wodzirej partyjnego spektaklu zażądał od uczennicy, aby ta wyparła się przynależności do JG. Ona jednak dumnie stała pośrodku sali, podkreślając, że wyżej stawia prawdy wiary od ideologii komunistycznej. Biermann w swojej autobiografii po latach wspomina, że wtedy po raz pierwszy zrozumiał, iż dzieje się coś złego – samotna dziewczyna wystawiana jest na pośmiewisko kilkuset uczniów ustawionych w karne czworoboki pod ścianami sali. Jak wspomina, właśnie wtedy zaczął nabierać wątpliwości wobec „niemieckiego państwa robotników i chłopów". Ale i tak milczał, bo wiedział, że wszelkie pytania mogą skończyć się dla niego fatalnie. Wolał zagłuszać wątpliwości gorliwym studiowaniem ideologicznych broszur.

Krnąbrny towarzysz

W 1955 r. dostał się na Wydział Ekonomii Politycznej Uniwersytetu Humboldtów w Berlinie. Zgłębianie tajników ekonomii niespecjalnie go jednak fascynowało. Biermann stał się częstym gościem w Berliner Ensemble – awangardowym teatrze prowadzonym przez Bertolda Brechta i jego żonę Helenę Weigel. Z czasem został asystentem reżysera, a pod swoje skrzydła wzięła go sama wszechwładna pani Helena, z którą liczyli się nawet najwięksi bonzowie NRD. Biermann zaczyna komponować songi wzorowane na piosenkach Hannsa Eislera, współtwórcy przedwojennych musicali Brechta piętnujących zgniliznę kapitalizmu. Chłopak wierzy, że stanie się z czasem następcą Brechta, i składa aplikację członkowską do SED – Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec. Zachowało się nawet zdjęcie z 1962 r., gdy wraz z towarzyszką życia Brigitte Soubeyran i adoptowanym synem uczestniczy w pochodzie pierwszomajowym w Berlinie Wschodnim.

Biermann po kilku latach praktykowania w Berliner Ensemble chciał już robić coś sam, w gronie rówieśników. W 1961 r. powstał Teatr Młodych Studentów i Robotników, tzw. BAT. Ale życie nie stoi w miejscu – w sierpniu 1961 r. powstał mur berliński. Dwa lata później Biermann napisał sztukę „Berlińska ucieczka narzeczonej", która opowiada – bez jakiegoś specjalnego ideologicznego zadęcia – o rozdzieleniu pary narzeczonych. Ktoś wysyłał tekst sztuki do odpowiedniego urzędu i na twarzach życzliwych dotąd Biermannowi nadzorców partyjnych zgasły uśmiechy... Temat muru to temat tabu. Sztuka trafia na czarną listę, a teatr „BAT" zostaje rozwiązany. Władze przyglądają się teraz, czy Biermann wyciągnie lekcję z pierwszego ostrzeżenia. Młody poeta szarpie się między niechęcią do zginania karku a wolą kontynuowania tego, co uwielbia robić – pisania wierszy i komponowania do nich muzyki. Pechowo trafia na okres ochłodzenia atmosfery wobec świata artystycznego. Dzieje się to akurat, gdy Biermann zaczyna pisywać piosenki dla wschodnioberlińskiego kabaretu Distel.

Na XI plenum KC SED w 1965 r. ogłoszona została twarda linia wobec intelektualistów i artystów. Pierwszy sekretarz SED Walter Ulbricht oburzał się na tolerowanie przez wydziały kultury partii dowcipnisiów z Distela i znacząco zaznaczał: „W Moskwie jakoś obywają się bez kabaretów".

W tym czasie nagrania i wiersze Biermanna przenikają do RFN. Zachodni lewicowcy z chęcią zaczynają popularyzować kogoś, kto z jednej strony deklaruje się jako wierzący komunista, a z drugiej strony sarka na „stalinowski dogmatyzm". Ponieważ jego wiersze zostały objęte zakazem druku, młodemu poecie pozostało tylko szmuglowanie swojej twórczości na Zachód, gdzie wzbudzała ona coraz większe zainteresowanie. Przygotowywane po amatorsku nagrania jego pieśni zaczynają krążyć po całym NRD jako dzieła „drugiego obiegu".

Jego berlińskie mieszkanie przy Chausseestrasse 153 staje się quasi-dysydenckim salonem. Każdy, kto wie coś o Biermannie, stara się wcisnąć do jego mieszkania. Powtarza się dysydencki paradoks. Gdy władze chcą kogoś odizolować, wtedy lgną do niego wszyscy spragnieni wolnościowych treści. Zachowały się dziesiątki transkrypcji nagrań wykonanych przez agentów Stasi, którzy utrwalali na taśmach rozmowy towarzyskie z mieszkania Biermanna. Niekiedy dochodziło do zabawnych nieporozumień, które wyszły na jaw dopiero po wielu latach, gdy Biermann mógł zajrzeć do akt bezpieki. Przykładowo: w trakcie jednego ze spotkań poeta śpiewał przyjaciołom „Balladę o Stasi", w której złośliwie pisze, że NRD-owska bezpieka to jego „Eckermann". Biermann

eprasa.pl 95c197360b

miał na myśli Johanna Petera Eckermanna (1792–1854) – sekretarza Goethego, który znany był z tego, że zapisywał skrupulatnie każde zdanie wypowiadane przez swego mentora. Agent bezpieki nie znał nazwiska XIX-wiecznego pisarza i uznał, że Biermann powiedział, iż Stasi to jego „Henkermann" (oprawca). Jak się okazało, do podsłuchiwania Biermanna wysyłano tłuków nieznających literatury.

Lata 1967–1976 to okres, gdy Biermann znajduje się w dziwnym stanie zawieszenia. Jest na tyle znany po obu stronach muru, że władze obawiają się go aresztować, a jednocześnie jego działalność jest dla nich tak dolegliwa, że na szczytach SED wciąż trwają dyskusje, jak go uciszyć. Długo nie pozwalano mu wyjeżdżać na Zachód, ale gdy w 1973 r. dostał wreszcie zgodę na podróż do Hamburga, by odwiedzić chorą babcię, Biermann wykorzystał okazję i nagrał swoją pierwszą płytę w zachodnioniemieckim studiu nagraniowym we Frankfurcie nad Menem. Rok później władze próbowały go szantażować. Pozwoliły mu znów wyjechać do RFN, aby odebrał w Kolonii nagrodę im. Jacques'a Offenbacha, jednak za cenę wcześniejszego zrzeczenia się obywatelstwa NRD. Biermann zdecydowanie odmówił.

Wreszcie w listopadzie 1976 r. Biermann otrzymuje zgodę na wyjazd do Kolonii. 13 listopada, występując w wypełnionej po brzegi kolońskiej hali koncertowej, śpiewa swoje zakazane na terenie NRD songi. Po latach twierdzi, że czuł wówczas, iż zbliża się jakiś krytyczny moment w jego życiu. Ponoć ukazał mu się wtedy duch ojca. Trzy dni później została ogłoszona decyzja Biura Politycznego SED o pozbawieniu Biermanna obywatelstwa NRD. Nawet jednak w zastraszonym środowisku artystycznym i twórczym NRD ten krok wywołał zdecydowaną reakcję. Nigdy wcześniej żadnego obywatela NRD nie pozbawiono obywatelstwa w czasie jego wyjazdu za granicę. Ponadto zachodnioniemiecka telewizja ARD transmitowała w całości koncert Biermanna i dzięki temu, że na terenie NRD można było odbierać zachodnią telewizję, wiele osób obejrzało jego występ. List protestacyjny prominentnych pisarzy NRD przeciwko wygnaniu Biermanna podpisało ponad 100 twórców, co było jedną z największych demonstracji przeciwko władzy.

Wygnaniec

Wolf Biermann jak ognia bał się oskarżenia, że przeszedł na stronę kapitalistycznej RFN. Entuzjastycznie przyjęli go i ugościli czołowi kontestatorzy zachodnioniemieckiej rzeczywistości (oczywiście z pozycji lewicowych), jak np. pisarz Günter Wallraff. Ale Stasi nie zapomniała o swoim „podopiecznym". Jej agenci kręcili się wokół uciekiniera i pisali raporty o jego poczynaniach. Biermann dalej chce być komunistą, ale nie odpowiada mu zachodnioniemiecka Deutsche Kommunistische Partei, po cichu opłacana przez reżim Honeckera. W tej sytuacji pieśniarz postanawia wstąpić do Hiszpańskiej Partii Komunistycznej, która ma swój oddział wśród hamburskich emigrantów z Hiszpanii. Jednak powoli, ale coraz wyraźniej odwraca się od komunizmu, choć równocześnie nie rezygnuje z roli barda lewicy. Zarówno krytykuje reżim w Berlinie Wschodnim, jak i wzywa władze RFN do porzucenia energii nuklearnej i pisze pieśni dla ruchu pokojowego.



Wolf Biermann podczas koncertu w Lipsku, 1989 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV BILD, WALTRAUB GRUBITZSCH

W kwietniu 1982 r., po napisaniu osobistego listu do Ericha Honeckera, Biermann dostaje jednorazową zgodę na podróż do NRD, aby odwiedzić osadzonego w areszcie domowym umierającego dysydenta Roberta Havemanna. Jego pierwszy koncert po latach wygnania, w Lipsku 1 grudnia 1989 r., jest ogromnym triumfem. Biermann bierze także udział w opanowaniu przez ruchy demokratyczne siedziby Stasi w Berlinie (styczeń 1990 r.). Ujawnił wtedy nazwiska artystów i pisarzy z NRD, którzy byli donosicielami bezpieki. Kiedy w 1992 r. miał okazję, już w mniej rewolucyjnych okolicznościach, obejrzeć swoje akta, odkrył, że zajmowało się nim na wyłączność aż 70 różnych informatorów. „Elitą" tej grupy było 15 stałych szpiegów, którzy drobiazgowo opisywali jego życie najpierw na wschodzie, a potem także na zachodzie.

W latach 90. Biermann ostatecznie rozstał się z ideologią komunistyczną. Potrafił nawet rozliczyć się z – wcześniej świętą dla niego – postacią Bertolda Brechta. Jak pisze w jednym ze swoich esejów: „Najlepszym pomysłem Brechta było zostać komunistą. Jednocześnie najgorszym jego pomysłem było pozostać komunistą". W 2013 r. potwierdził zdecydowaną zmianę poglądów i zapowiedział, że będzie głosował na prawicową CDU, choć wcześniej zwykle wspierał SPD. U schyłku życia zaczął też coraz bardziej akcentować swoje żydowskie korzenie.

Biermann korzysta ze specjalnego statusu wynikającego z jego dziejowych perypetii. Ponieważ pół życia spędził w dawnej NRD, a drugie pół w RFN, stał się ulubionym symbolem powojennego podziału Niemiec.

Po ataku Rosji na Ukrainę w 2022 r. zdecydowanie krytykował decyzję Berlina o niedostarczaniu broni Ukrainie. „W czasie drugiej wojny światowej żołnierze rosyjscy, amerykańscy i brytyjscy ryzykowali życie, aby mały Wolf Biermann mógł przeżyć. Teraz Ukraina toczy taką samą walkę o wolność" – podkreślał.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 95c197360b



Krzysztof Masłoń

„Myślę, że ten mały człowieczek z kaczym nosem i kosmykiem ciemnych włosów opadających na czoło, ten kpiarz i trunkowiec, był osobistością królewską. Kule egzekucyjnego plutonu zabiły jedną z najcenniejszych możliwości polskiego piśmiennictwa" – pisał o nim Czesław Miłosz



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

1910–1943 / Tadeusz Hollender

Wróg tych chamów

W „Zdobyciu władzy" Czesława Miłosza o śmierci Tadeusza Hollendera rozmawiają ukryci pod czytelnymi pseudonimami Bunio i Gajewicz, czyli Janusz Minkiewicz i Jerzy Zagórski. A konkretnie mówią o wróżbach okupacyjnych:

„– Mnie wróżka nic nie chciała powiedzieć – Bunio garbił się z wyrazem smutku.

– Powiedziała tylko jedno zdanie: do osiemdziesiątego roku życia będzie pan jadał w dobrych restauracjach – Gajewicz kiwał głową z aprobatą.

– To się sprawdza, ale czasem na odwrót. Na przykład Tadeusz. Ostrzegaliśmy go, to on w kółko to samo – nie boi się Gestapo, wróżka przepowiedziała trzydziestego maja jego ślub. Aresztowali go trzynastego maja. Rozwalili dokładnie trzydziestego. Wróżka pomyliła linie miłości i śmierci".

W rzeczywistości Tadeusz Hollender aresztowany został – w wyniku donosu – w nocy z 18 na 19 maja 1943 r. Przesiedział 12 dni na Pawiaku, zanim Niemcy rozstrzelali go 31 maja tegoż roku na terenie spalonego getta warszawskiego, w dniu po jego 33. urodzinach. W Internecie możemy trafić na informację, że

eprasa.pl 95c197360b



Dom Tadeusza Hollendera w Leżajsku

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BANANIONTKO

miał żydowskie pochodzenia i zginął w getcie. I już.

Tadeusz Lubelski, siostrzeniec poety, w biografii swego wuja „Hollender tułacz" (Universitas, 2024) skrupulatnie odtworzył historię rodziny, ale żydowskich śladów w niej nie odnalazł, za to niderlandzkich antenatów jak najbardziej. Sam poeta w wierszu „O sobie samym" pisał: „Czterech obcych narodów krew w swych żyłach mając, patrzę, senny mieszaniec, na Dwudziesty Wiek". A w wierszu „Zeznanie rasowe" („Szpilki" 1938, nr 29) deklarował:

Babki dwie, daję słowo,
były czyste rasowo.
Nie miałem dziadków Icków,
obu po katolicku
księdz matce ziemi zwrócił
nie na jakimś kirkucie,
lecz, że tak się wyraże,
na solidnym cmentarzu.

Dziadek poety pisał podręczniki, uczył niemieckiego w Stanisławowie. Ojciec – zmarły w 1967 r. Antoni Hollender – był inżynierem mierniczym, jego pierwszą posadą było kierownictwo urzędu katastralnego w Leżajsku. Tam też przyszedł na świat Tadeusz. Jego matka – Ida z Pisarskich – zmarła, gdy miał zaledwie dziewięć lat. „Został mu ojciec – pisze Tadeusz Lubelski – przeciw któremu wcześnie zaczął się buntować i z którym do końca łączyła go trudna relacja". Tymczasem ojciec został burmistrzem w Tyśmienicy, z czego przyszły poeta pokpiwał sobie w swoich dziecięcych wierszach. Te bowiem – rzec można – pisywał od zawsze. W Tyśmienicy nie było gimnazjum, chłopiec więc uczył się w Stanisławowie i Tłumaczu. Rodzina przeprowadziła się następnie do Złoczowa, ale Tadeusz coraz bardziej się usamodzielniał, by na studiach związać się z najważniejszym dla siebie miejscem – Lwowem – gdzie studiował na Uniwersytecie Jana Kazimierza prawo i polonistykę, w rezultacie nie kończąc żadnego kierunku. Ze szczętem pochłonęła go bowiem literatura.

Niezwykły temperament

Jego pierwszy wieczór literacki odbył się w 1931 r. we lwowskiej czytelni akademickiej. Poznał go wtedy jego późniejszy przyjaciel, Aleksander Baumgardten, który ze spotkania tego zapamiętał, że Tadeusz z naciskiem zwracał uwagę, by jego nazwisko odmieniać „Hollendera", a nie „Hollendra", no i że bardzo seplenił. Innym jego przyjacielem został późniejszy wybitny prozaik Teodor Parnicki. Ciekawe, że na początku studiów obaj akademicy (tak wtedy mówiono o studentach) wzięli udział w burdach o charakterze antysemickim, i to bynajmniej nie po stronie żydowskiej. Parnicki wylądował nawet wtedy w areszcie. A poglądy szybko zmienili. I choć Hollender współredagując pismo „Wczoraj – Dziś – Jutro", deklarował program „bezprogramowości", jego lewicowość stała się oczywista.

Szybko też stał się znanym autorem, w swoich tekstach bezpardonowo atakując lwowski establishment literacki z szefującym związkowi pisarzy Ostapem Ortwinem i uchodzącym za miejscowego wieszcza Henrykiem Zbierzchowskim na czele. A choć jako krytyk propagował awangardowość w literaturze, to sam trzymał się kurczowo poetyki Skamandra, nieprzypadkowo swój debiutancki tom „Czas, który minął" (1936) dedykując „Julianowi Tuwimowi i Kazimierzowi Wierzyńskiemu – największym poetom, jakich znałem, mistrzom mojej młodości".

Jerzy Putrament wspominał go ze zjazdu polonistów w Wilnie w 1933 r. jako „potwornie brzydkiego, o kaczym nosku, rozcapierzonych zębach, sterczącym do góry czubie, ale też i niezwykłym temperamencie życiowym i pisarskim, o zacięciu satyrycznym i z burzliwą, choć nierówną twórczością".

Mankamenty urody nie przeszkadzały mu specjalnie w nawiązywaniu bliższych stosunków z przedstawicielkami płci pięknej pewnie dlatego, że wszystkie podkreślały jego wdzięk. Kochał się zresztą zawzięcie, m.in. w późniejszej świetnej aktorce Ryszardzie Hanin, którą zamożna rodzina żydowska wysłała do Paryża, by odseparować ją od „chudego literata". Miało się jednak okazać, że odtrąciwszy jednego, za męża wybrała drugiego, a mianowicie Leona Pasternaka, twórcę już nie lewicowego jak Hollender, a po prostu komunistycznego autora słynnej pieśni „Oka".

Pomnikami obrastasz...

Jesienią 1933 r. przyczynił się do powstania jednego z ważniejszych tytułów prasy międzywojennej, miesięcznika, a potem dwutygodnika „Sygnały". Był redaktorem tego pisma, następnie współredagował je z Karolem Kurylukiem, by po odejściu z redakcji nadal z nim współpracować. Choć akceptował przygotowywanie w maju 1936 r. we Lwowie współorganizowanego przez KPP spędu nazwanego Polskim Kongresem Pracowników Kultury, to na samej imprezie go nie było. Coraz mocniej zarysowywały się bowiem różnice dzielące go od jego, zdawałoby się, ideowych sojuszników. „Jednym z organizatorów Zjazdu – czytamy w książce Tadeusza Lubelskiego – był jego kolega ze studiów Marian Naszkowski, od 1935 w KPP, w przyszłości ważny peerelowski działacz. Wspominał po latach, że bezskutecznie namawiał go do współudziału, w czasie dyskusji w jego »typowo cygańskim pokoiku. Tadeusz wiele rzeczy przyznawał, ale jego wybujały indywidualizm i wrodzony duch przekory nie pozwalał mu na myślenie kategoriami

eprasa.pl 95c197360b

ułożonymi w jakiś system. Bał się, że marksizm to zamknięty, zakończony katechizm, w którym nie ma miejsca dla intelektualistów jego pokroju«".

Gdy jednak coraz głośniej mówiono o tym, że „Sygnały" to bolszewicka jaczejka finansowana przez Sowietów, napisał „Wiersz z dna upadku", zaczynający się strofą:

Dziś właśnie dzwonił do mnie Stalin
(ten człowiek wielbi mnie tajemnie,
wciąż mnie hołubi, ciągle chwali,
nie może obejść się beze mnie).

Z dalszej części utworu dowiadujemy się, jak Stalin obiecał sprzedać carskie brylanty, byle tylko wspomóc edycję lwowskiego pisma. Dementowanie plotki sprowadzało rzecz całą do absurdu.

Pisał Hollender wiersze o tematyce społecznej, ale nie mniejszą wagę przywiązywał do liryki osobistej. Wyżywał się w felietonistyce i satyrze. Sporo też tłumaczył. Jego najważniejszym osiągnięciem translatorskim stała się powieść „Wołyń" Ułasa Samczuka. Jego autorską prozę, wydaną w 1938 r. satyryczną powieść „Polska bez Żydów", trudno z kolei uznać za osiągnięcie. W przeciwieństwie do takiego wiersza jak „Ojczyzna":

Któż cię jutro spamięta, ogromne nazwisko,
jaki błękit wytrzyma twe ogniste krzyże,
nas jeszcze sobą gnieciesz, do nas schodzisz blisko,
bijąc w szyby zawieją wspomnień o Sybirze.

Ciebie – słupem ognistym widzieli w męczarniach,
gdy śmierć spadała pętlą spod gałęzi dębów,
ciebie tłoczył robociarz w podziemnych drukarniach,
a czytywał cię nocą, zaciskając zęby.

Tobie legł na bateriach, sobą drogę mościł
pierwszy chłop w czarnym dymie wściekłych detonacyj,
umiano umrzeć za ciebie, kochanko wolności,
trójkordonowa fikcjo wszystkich emigracyj.

I szeptano wciąż – jutro. I mówiono – rano,
że wolnością, równością jak młodość się sprężysz,
a zbudziłaś się oto matką jaśnie panów,
białorączków, rycerzy, pomników i księży.

Przeciw synom się własnym pancerzysz przeszłością,
pomnikami obrastasz, a głodem zagrażasz,
co poczniesz z naszym buntem, co z naszą młodością,
stającą przeciw tobie, a przy twych ołtarzach.
Na tłumy bezrobotnych prących ulicami
spoglądasz mocarstwowym, kamiennym obliczem...
– Miliony odepchniętych! – nie dla nas, nie dla nich
dymią twoje kominy i załgane znicze.

Komu w twych magazynach, stalowa i lotna,
śpi śmierć konna, powietrzna, polowa i piesza...
– Ojczyzno mocarstwowa! Pani bezrobotna!
Wdowo po powieszonych! Któryż raz ich wieszasz.

Chmurz się groźnie, a błyskaj spiżowo nad nami,
włócz nami jak chmurami po skrwawionym niebie!
– My pod twoje pomniki kładziemy dynamit,
aby rozmiótł twe kłamstwa, a ukazał – Ciebie!

Najpiękniejsza perspektywa

Na początku 1937 r. Tadeusz Hollender przeniósł się do Warszawy, by objąć dział literacki w radykalnym „Głosie Powszechnym". Z miejsca nawiązał też współpracę z wieloma innymi tytułami. Tadeusz Wittlin w poświęconym Hollenderowi rozdziale „Ostatniej cyganerii" opowiadał: „Ktoś z daleka wyciąga ramię w górę i powiewa ręką. – Tadziu! Tadzio-Tadzio! Chodź do nas! – woła właściciel powiewającej ręki i wspina się na palcach, bym go lepiej dostrzegł, gdyż jest małego wzrostu. Wyzbywam się wątpliwości i pomiędzy stolikami zaczynam przeciskać się w jego kierunku. Tadeusz Hollender, świetny młody poeta i satyryk, serdecznie się ze mną przyjaźni niemal od dnia, w którym przyjechał do Warszawy z rodzinnego Lwowa. Teraz, witając się ze mną, w szerokim uśmiechu ukazuje dziąsła pozbawione kilku zębów na przodzie i z przyzwyczajenia gładzi krucze skrzydło czupryny zaczesanej na prawą stronę i wypucowanej brylantyną. Hollender na pewno nie jest przystojny, lecz ma nieodparty urok, którym z miejsca zjednywa sobie serca bardziej niż niejeden pięknotek".

Swój wiersz „List ze Lwowa" dedykował Hollender innemu Wittlinowi – Józefowi Wittlinowi. Pisał w nim:

I znowu wraca, z rączki do rączki,
po czarnej kawie fusy na dnie,
uszanowanie, całuję rączki!...
Jak najwyczajniej rzygać się chce.

W drugim tomie jego poezji, z 1938 r., „Ludzie i pomniki" znajdziemy utwór „L'Enfant terrible de Leopol", a w nim te słowa:

– Wiem – byłeś miastem mieszczan, pieśni
i żołnierzy,
„skarbnica" i „stanica", „kresowe ognisko",
Dla mnie – jak wszystkie miasta – pod gwiazdami leżysz,
więc daleko, a jednak jakże sercu blisko.
[...]
Chcę umrzeć którejś nocy przy twoich dziewczętach,
żadna nagroda miasta nie należy mi się.
Pamiętaj – twój nie dla mnie „Zasłużonych cmentarz",
pochowaj mnie osobno, Semper Fidelisie.

Zmagał się z tym miastem zawzięcie, a przecież kochał Lwów. Bo i jakże go nie kochać? W efekcie spod jego pióra wychodziły tak piękne wiersze jak „We Lwowie":

Tutaj po jedenastej łukami perspektyw
przesuwa noc latarnie jak perły na sznurach,
szumi park, drzemie głowa nad paskiem korekty,
noc usiada chmurami na siedmiu pagórach.

Może Rzym, może Londyn morzem mgły podrywa,
może florencki Kraków na tym lwowskim rynku,
bo któż wie, ile troski i życia ubywa
w spłakanym harmoniami łyczakowskim szynku.

O, bo żadne Warszawy, Paryże i Rzymy
nie kryją takiej pustki na wylotach ulic,
gdy w mrok bram, po dziesiątej zamkniętych, tulimy
twarze – i tylko smutku już nam nie utulić.

Tu patrzymy z teatru w najpiękniejszą w świecie
perspektywę, utkaną lampami przez mroki,
tu wracamy uliczką przez mgliste stulecia
pod ormiańską katedrę, prującą obłoki,

tu śpiewamy piosenki, wychodzimy z kina,
tu znudzeni czytamy prasę po kawiarniach,
tu długo się nam młodość kończy i zaczyna,
tu zagarniamy życie, nim nas śmierć zagarnie.

Tu nagle, niespodzianie – Bernardyński kościół,
po nieprzespanej nocy, o którejś nad ranem,
prosty, śmigły, cudowny, piękny jak najprościej
pod pogodą niebiosów i burzą kasztanów.

Tu miłość. Tu aleje. Tu jesienią cmentarze.
Tu wszystkie parki lwowskie w niebo strzelające.
Tu włóczęgi po mieście, jeśli noc przeklęta,
a gdy słodka – czekanie na wybuchy słońca.

Czekanie na wybuchy, na świty czerwieńsze,
które wciąż burza czasów niepewnych odwleka.

eprasa.pl 95c197360b

Piszę – noc jest słodka – na swym trzecim piętrze.
Zamykam wiersz nad miastem. I czekam. I czekam.

Wróg czerwonych

Do tego najważniejszego dla siebie miasta powróci, by przeżyć w nim okupację sowiecką. Po aresztowaniu ojca poczuł się odpowiedzialny za rodzinę, zajął się handlem, podejmował różne dorywcze prace. W życiu literackim okupowanego Lwowa nie brał udziału. Nawet nie próbował zapisać się do nowej organizacji literackiej – Związku Pisarzy Zachodniej Ukrainy. Jedyny ślad po nim w „Czerwonym Sztandarze" to dwie literki TH przy nazwisku tłumacza bajki satyrycznej Lebiediewa Kumacza. To wszystko. Janusz Kowalewski w „Kulturze" paryskiej w 1949 r. opowiadał o spotkaniu w mieszkaniu Haliny Górskiej związanym z akcją zbierania podpisów afirmujących najazd bolszewicki: „Tadeusz Hollender namiętnie przemawiał przeciw podpisaniu. Hollender, przed wojną raczej sympatyk komunizmu i Rosji, teraz był zdecydowanym wrogiem tych chamów. Był autorem i kolporterem ostrych dowcipów antybolszewickich, które dziś obiegają cały chyba świat […]". Po latach Tadeusz Banaś wyznał w „Odrze", że Karol Kuryluk musiał opuścić redakcję „Czerwonego Sztandaru" po tym, jak wypomniano mu druk przywoływanego już tutaj wiersza o telefonującym do autora Stalinie. No to był wybryk pisarski ani do pomyślenia, ani tym bardziej do wybaczenia.

Poeta pozwalał sobie na ryzykowne dowcipy. Andrzej Chciuk relacjonował jego „występ" w kolejce rejestrującej mężczyzn nadających się do służby wojskowej: „Hollender zaczął w ten sposób, że Polska obszarników i wyzyskiwaczy już się skończyła, że polskie czołgi były z dykty i z tektury, że dopiero czołgi sowieckie pokazały, co to jest technika. – Widzieliście te najnowsze czołgi sowieckie! Ma taki potwór 52 ludzi obsługi! – Ludzie słuchali go ostrożnie, nie wiedząc, czy nie mają do czynienia z prowokatorem. – Jeden przy kierownicy! – mówił głośno. – Jeden przy hamulcu! – podnosił głos jeszcze wyżej i zaczekawszy dla efektu chwilkę, podawał krzyczącą pointę: – A pięćdziesięciu pcha! I już dawał nura, ubawiony śmiechem, jaki kawał wywołał".

30 czerwca 1941 r. Lwów zajęli Niemcy. W lipcu Tadeusz wyjechał znów do Warszawy, by założyć tam – jak mówił – podziemne pismo literackie.

Nie umkniesz przeznaczeniu

Nie tylko redagował i kolportował konspiracyjne czasopisma. Współpracował z Biurem Informacji i Propagandy Komendy Głównej Armii Krajowej; Helena Martin pisała o nim, że „przemienił się z przedwojennego pacyfisty w żołnierza Podziemia". Wygłaszał tajne odczyty, często dla bardzo wielu słuchaczy. Używał pseudonimu Tomasz Wiatraczny, tak też podpisywał swoje utwory, bo nie zaniedbywał pracy literackiej. Choć czasu na nią nie miał za wiele. Niemniej to jego „Wspomnienie z Grecji", nawiązujące do jedynego wyjazdu poety za granicę w roku 1938, zdobyło pierwszą nagrodę (ex aequo z utworem Anny Świrszczyńskiej) w podziemnym konkursie poetyckim imienia Józefa Czechowicza, w którym jurorami byli Iwaszkiewicz, Andrzejewski i Wyka. To „Wspomnienie z Grecji" znalazło się w wydanej konspiracyjnie w końcu 1942 r. antologii „Słowo prawdziwe". Autor przemawiał w nim do okupującego Grecję niemieckiego żołnierza:

Daleko stąd do Renu, daleko, daleko,
gorące tutaj lata na nadbrzeżnym piachu,
zawsze ci będzie obco wśród tych drobnych Greków;
toteż co dzień się wpatruj w płomienisty zachód,
gdzie płyną twoje rzeki, sterczą twoje góry,
inne kwitną winnice i twe pola inne,
gdzie szumi twoje morze, północne, ponure,
i miasta, które co dzień sypią się w ruiny…
I – wtedy – chłopcze z Niemiec, rzucony daleko
rozkazem swego wodza, który nie rozumie
słodkiej mowy poetów starożytnych Greków,
nad grobem starych wodzów pogrąż się w zadumie.
W tym kraju się urodził Los, jego legendy,
o których w mitologii uczono nas w szkołach
ten Los znajdzie cię zawsze, odszuka cię wszędy,
nie umkniesz przeznaczeniu, kiedy on zawoła.
I twój wódz mu nie umknie. – Gdy był jeszcze dzieckiem,
ten Los zapisał w księgi przyszłe jego czyny
i zapisał mu koniec jak w tragedii greckiej,
byś miał swe Maratony i swe Salaminy,
byś mógł zwiedzić te miejsca, znać to greckie lato,
Milcyjadesów ślady i Temistoklesów
Poznać – i kiedy los ten powie twarde – „kato",
Tuż przed ziejącą paszczą czarnego Hadesu…

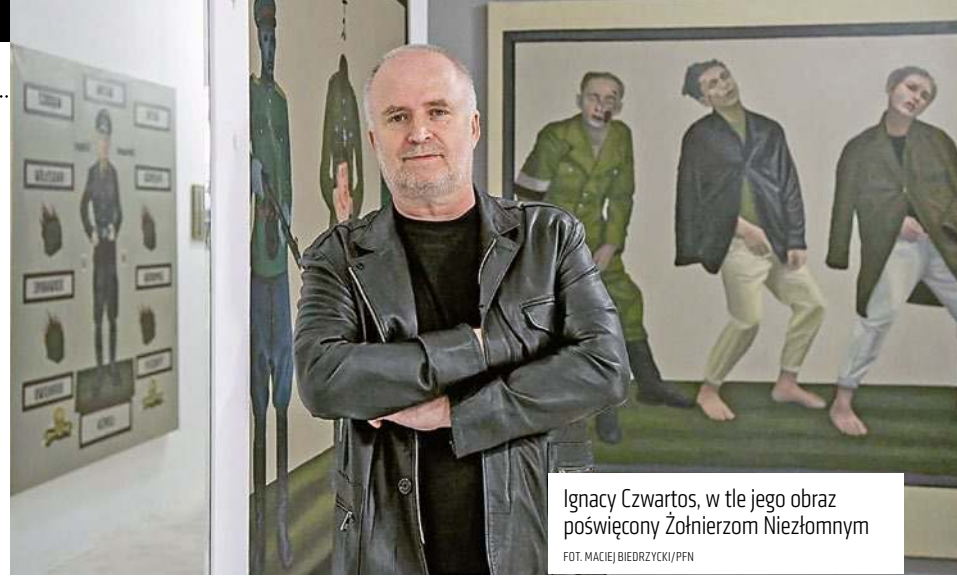


Czesław Miłosz po latach pisał, że tak właśnie „ujawniła się władczość Tadeusza Hollendera, władczość, czyli zdolność utrzymania właściwego dystansu wobec wydarzeń, cecha niemal niespotykana u innych autorów antologii, zanurzonych z głową w żywiole wojny. Jego „Wspomnienie z Grecji" zwrócone do niemieckiego żołnierza i wróżące mu, że tak samo jak greccy pasterze wskazują drogę kato, kyrie, kato – ciągle naprzód, panie – wskaże mu drogę Los, wołając kato przed bramą Hadesu – jest wzorem okolicznościowego poematu w tradycji klasycznej".

„Hollender – kontynuował Miłosz – był zupełnym przeciwieństwem najmłodszych poetów Warszawy, a jego drwiący umysł nie skłaniał go do przychylnej oceny ich pism, w których, jak przypuszczam, widział egzaltację i rodzaj miłosnej korespondencji ze śmiercią. Myślę, że ten mały człowieczek z kaczym nosem i kosmykiem ciemnych włosów opadających na czoło, ten kpiarz i trunkowiec, był osobistością królewską. Kule egzekucyjnego plutonu zabiły jedną z najcenniejszych możliwości polskiego piśmiennictwa. Chociaż, gdyby dożył końca wojny, nietrudno sobie wyobrazić kłopoty, jakich by swoją bezkompromisowością wszystkim przyczyniał".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 95c197360b



Ignacy Czwartos, w tle jego obraz poświęcony Żołnierzom Niezłomnym

FOT. MACIEJ BIEDRZYCKI/PFN

Książka miesiąca / Odrzucanie dziedzictwa

Requiem dla utraconej Polski

Suwerenność. To słowo jak mało które zostało przez Polaków zdeprecjonowane. Czy Polacy chcą jeszcze wolności? Czy wiedzą, czym jest wolna, suwerenna Polska czy raczej znają jedynie podległość, wystarczają im przeciętność i gra „w drugiej lidze"? Książka została wydana po raz pierwszy w 2008 r., lecz nic nie straciła na aktualności. Więcej: dziś jest aktualna bardziej niż kiedykolwiek, a stawiane w pracy tezy zdają się jeszcze bardziej wyraziste. Sam autor podkreśla zresztą, że kiedy kilkanaście lat temu pisał tę książkę, miał nadzieję, że najczarniejsze scenariusze, które kreśli, się nie spełnią. Obecnie już wie, że procesy dekulturacji zaszły za daleko i zapewne nie da się ich cofnąć m.in. dlatego, że duża część Polaków sama tego nie chce. Książka została wznowiona w tym roku i wzbogacona przez autora o aktualne myśli.

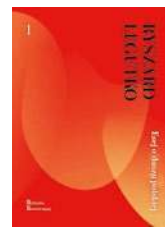
Druga wojna światowa, a jeszcze bardziej komunistyczne rządy w Polsce, które siłą narzuciła nam Moskwa, sprawiły, że polskie społeczeństwo zostało głęboko przemodelowane. Najpierw Niemcy, a potem Sowieci nie tylko pozbawili nas dziedzictwa historycznego, miejsc pamięci i terytoriów, lecz także wyrwali nam część duszy, pamięci o tym, kim jako naród byliśmy, z czego wyrośliśmy i na czym opieraliśmy naszą tożsamość. Przyczyniła się do tego w dużej mierze anihilacja polskiej inteligencji – ludzi, którzy byli „nośnikami" polskości, którzy prawdziwie rozumieli, co znaczy powiedzenie „noblesse oblige" czy, szerzej mówiąc, odpowiedzialność obywatelska. Polskich naukowców i intelektualistów w znacznej części wymordowano. Elita, w prawdziwym rozumieniu tego słowa, została zastąpiona ludźmi znikąd, którzy nie mieli żadnego poczucia ciągłości, potrzeby kontynuowania dziedzictwa przodków i cywilizacji, której przez tysiąc lat byliśmy częścią.

Część polskiej duszy świadomie zabił w naszym narodzie reżim komunistyczny. Mordu, dosłownie i w przenośni, dokonali sowieccy watażkowie i ich krajowi akolici. Naszą historię ośmieszono, sprowadzono do groteski. Polaków przekonywano, że nic, co działo się przed 1945 r., nie jest warte kontynuacji; że nie ma żadnego sensu, aby wzdychać za „przegniłą" polityką dwudziestolecia czy „rozpasaniem" Polski szlacheckiej. Jedyną szansą i środkiem do celu był komunizm, który miał dać Polakom prawdziwe szczęście. Nic takiego oczywiście nie następowało, a ogromna rzesza Polaków trwała tylko w coraz większym odrętwieniu, godząc się na doraźne korzyści i wzdychając za „krainą pewexów", często nie mając pojęcia, że Zachód przesiąknięty jest „uniwersyteckim" komunizmem.

Polacy są zatem – jak pisał kiedyś Dariusz Karłowicz – jak Jason Bourne. Nie pamiętają o swoich korzeniach, ktoś odebrał im poczucie tożsamości, choć mimo to gdzieś na dnie duszy kołaczą się u nich echa wspomnień o dawnym jestestwie.

Niesamowicie prawdziwa i niesamowicie smutna. Tak w skrócie można opisać pracę prof. Legutki. Każdy, w którego sercu wciąż tkwią tęsknota za utraconą bezpowrotnie Polską czy też podskórna świadomość, że jesteśmy częścią czegoś większego i naszym obowiązkiem jest aspirować do wielkości i podmiotowości na arenie dziejów, powinien tę książkę przeczytać. Czy tak bardzo spolaryzowany naród polski, którego część świadomie wyrzekła się (lub jest na dobrej drodze, aby to zrobić) własnego dziedzictwa i imponderabiliów, które nas ukształtowały, ma jeszcze szansę stać się rozgrywającym, a nie tylko rozgrywanym? ©℗

Anna Szczepańska



RYSZARD LEGUTKO
„ESEJ O DUSZY POLSKIEJ"
FRONDA

eprasa.pl 95c197360b

Żydzi zasłużeni dla Polski

Asymilacja Żydów na ziemiach polskich była zjawiskiem o niewielkiej skali. Dlatego też trzeba cenić tych stosunkowo nielicznych Żydów, którzy identyfikowali się z polskimi dążeniami do niepodległości i udowodnili to, walcząc o jej odzyskanie, oraz nie można o nich zapominać. Mówienie w tym kontekście o Żydach jest pewnym skrótem, ponieważ ta grupa bojowników składała się z ludzi, którzy określiliby się jako Żydzi i Polacy zarazem lub Polacy pochodzenia żydowskiego albo Polacy wyznania mojżeszowego, wreszcie po prostu – jako Polacy.

Przełomową pracą, która ukazywała udział Żydów w walce o niepodległość Polski, była obszerna książka dr. Marka Gałęzowskiego „Na wzór Berka Joselewicza. Żołnierze i oficerowie pochodzenia żydowskiego w Legionach Polskich", zawierająca ponad 600 życiorysów legionistów. Oczywiście Żydzi, mężczyźni, a także kobiety walczyli o niepodległość nie tylko w Legionach. Dlatego też Marek Gałęzowski napisał i wydał teraz książkę przedstawiającą ich udział w walce o niepodległość i granice w latach 1914–1918. Jest to częściowo uzupełnienie wspomnianej książki. Przynosi ona jednak przede wszystkim życiorysy żydowskich uczestników i uczestniczek obrony Lwowa przed Ukraińcami w listopadzie 1918 r., bajończyków, oficerów WP poległych w wojnie z Rosją bolszewicką. Są także życiorysy zamordowanych przez sowiecki komunizm i przez Niemców.

Wielu bohaterów książki to ludzie związani ze Lwowem. Helena Feldstein (Felsztyn) wspierała, wraz z córką, legionistów, działając m.in. w Lidze Kobiet NKN. Była ona żoną lwowskiego radnego Hermana Feldsteina, działacza ruchu asymiliatorskiego. Ich syn Roman, członek POW, to jeden z najmłodszych obrońców Lwowa w 1918 r., walczący w oddziale dowodzonym przez brata – Tadeusza, legionistę. Poległ w następnym roku podczas wojny polsko-ukraińskiej. Jeszcze młodsza od Romana była Elżbieta Blaustein, 15-latka broniąca Lwowa z karabinem w ręku. Podczas listopadowych walk w tym mieście dowódcą komendy placu był płk Józef Misch. Dytiatyn to miejsce boju z Armią Czerwoną we wrześniu 1920 r., upamiętnione na tablicach Grobu Nieznanego Żołnierza. Bohaterem tej bitwy był por. Jakub Fast. ©℗

Tomasz Stańczyk



MAREK GAŁĘZOWSKI
„»TAM, GDZIE NAJWIĘKSZE NIEBEZPIECZEŃSTWO, SZEDŁ PIERWSZY«. SYLWETKI ŻYDÓW – UCZESTNIKÓW WALK O NIEPODLEGŁOŚĆ I GRANICE 1914–1921"
IPN

Przedmioty niezwykłe

Wbrew temu, co sugeruje podtytuł, nie jest to historia książek i ich czytelników. Raczej historie. Ale jakże pasjonujące. Trafimy na front drugiej wojny światowej, by przekonać się, że w lekturze można się pogrążyć, nawet będąc pod ostrzałem, poznamy los książek z pokładu „Titanica", przyjrzymy się z bliska paleniu i cenzurowaniu książek oraz zastanowimy się nad wolnością druku w kontekście „Mein Kampf". Będzie nieco magicznie (o książkach talizmanach) i przerażająco (o woluminach oprawianych w ludzką skórę). ©℗

Radosław Wojtas



EMMA SMITH
„PRZENOŚNA MAGIA. HISTORIA KSIĄŻEK I ICH CZYTELNIKÓW"
BO.WIEM



MAREK A. KOPROWSKI
„KACI WOŁYNIA"
REPLIKA

SYLWETKI ZBRODNIARZY

Kto zaplanował ludobójstwo na Polakach? Jak potoczyły się losy katów z UPA? Czy ci mordercy mieli chwile zawahania czy za wszelką cenę dążyli do depolonizacji „ich" Wołynia poprzez wymordowanie mężczyzn, kobiet i dzieci? Książka napisana została także z wykorzystaniem banderowskich źródeł. ©℗ ***(p.w.)***



WINCENTY ŁASZEWSKI
„HISTORIA OBJAWIEŃ MARYJNYCH", T. II
FRONDA

CUD SŁOŃCA

Autor opisuje największe objawienia maryjne wieków XIX i XX. W tym także to, które nieco ponad 100 lat temu sprawiło najwięcej problemów przeciwnikom Kościoła. 13 października 1917 r. w pobliżu Fatimy kilkadziesiąt tysięcy osób, czekając na objawienie Matki Bożej, zaobserwowało na niebie niezwykłe zjawisko – Słońce zaczęło... wirować. ***(p.w.)***



HELEN J. NICHOLSON
„SYBILLA JEROZOLIMSKA"
PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

TAJEMNICE KRÓLOWEJ

Sybilla ma mnóstwo sekretów i niełatwo było napisać książkę na jej temat. Nie wiadomo, kiedy się urodziła, gdzie mieszkała przez większość życia ani nawet ile miała dzieci. Wiadomo natomiast, że jej rządy w Jerozolimie przypadły na kluczowy moment w dziejach państw krzyżowych. Sybilla stała się symbolem desperackiego oporu łacinników wobec naporu armii Saladyna. ©℗ ***(p.w.)***

eprasa.pl 95c197360b



Pomnik Iwana Paskiewicza przed Pałacem Namiestnikowskim
FOT. HENRYK PODDĘBSKI/MUZEUM WARSZAWY

Warszawski konterfekt

Ignacy Baliński z rodzinnej Wileńszczyzny przyjechał do Warszawy koleją w sierpniu 1873 r. Wysiadł na Dworcu Terespolskim, późniejszym Brzeskim. Z tego samego dworca w 1939 r. odjedzie pociągiem, by nigdy już nie wrócić do miasta, gdzie spotkał go najszczęśliwszy dzień w życiu, gdy – jak wspominał – „we wtorek dnia 12 listopada 1918 roku, jako pierwszy prezes Rady Miejskiej z wyborów, mogłem ogłosić na ratuszu:

– Stolica Polski jest wolna. Wolna od wszelkich okupantów. Ruskich. Pruskich czy rakuskich.

Ale nie śniło mi się także, iż po takim dniu będę u schyłku życia pisał swoje wspomnienia jako przymusowy uchodźca z dala od Kraju".

Autor wznowionych właśnie przeuroczych „Wspomnień o Warszawie", pisarz i działacz społeczny, w II RP sędzia Sądu Najwyższego i senator z ramienia endecji zmarł w Anglii w roku 1951. Pięć lat wcześniej napisał książkę opowiadającą o dawnej Warszawie, po której – zacytujmy Zygmunta Nowakowskiego – „oprowadza nas od frontu i przez tylne schody, haftując jej konterfekt staromodny, vieux jeu, a przecież majstersztyk realizmu, dokładny do absurdu, który graniczy z artyzmem. Jest to właściwie sztuka dla sztuki, Warszawa dla Warszawy, en face, z obu profilów, trois quarts, z góry, od dołu".

W tej Warszawie nie ma jeszcze tramwajów, dopiero od niedawna działa kanalizacja. Ale najważniejsze – to miasto jest okupowane i odczuwa się to na każdym kroku. Przed Pałacem Namiestnikowskim stał pomnik Paskiewicza, a każdej wiosny 3 maja młodzież przynosiła fiołki do Ogrodu Botanicznego pod resztki fundamentów kościoła Opatrzności, którego budowę uchwalił Sejm Czteroletni. Jak dowiadujemy się, „w setną rocznicę – 3 maja 1891 roku – pochody pod ten fundament były tak gromadne, że wywołały ostrą reakcję władz z udziałem kozaków z nahajkami po całym mieście, licznymi aresztowaniami, a następnie »zsyłkami« administracyjnymi. Od tego czasu pozwolono otwierać Ogród Botaniczny i park Łazienkowski dla publiczności dopiero po 8 maja". ©℗

Krzysztof Masłoń



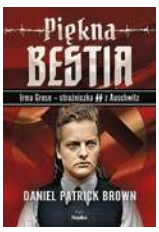
IGNACY BALIŃSKI
„WSPOMNIENIA O WARSZAWIE"
PIW

Bestia w kobiecej skórze

Więźniarki Auschwitz-Birkenau nazywały ją „piękną bestią". Irma Grese zawsze przywiązywała ogromną wagę do perfekcyjnego wyglądu, nawet gdy przystępowała do katowania swoich ofiar. Ta 20-latka była panią życia i śmierci ok. 30 tys. kobiet zamkniętych w Lager C w Birkenau. W tak młodym wieku awansowała na SS-Oberaufseherin (starszą przełożoną SS) – był to drugi najwyższy stopień dla kobiet służących w tej formacji. Aby zrobić tak wielką „karierę" w SS, Grese musiała pokazać przełożonym, że jest w stanie wykonać każde, nawet najbardziej makabryczne polecenie. Autor książki uważa, że w trakcie drugiej wojny światowej żadna inna Niemka nie miała na swoim sumieniu tylu ofiar.

Gdy Brytyjczycy w końcu ją pojmali, była nadzorczyni z Auschwitz-Birkenau próbowała ich przekonać, że zabijanie było jej obowiązkiem wobec Rzeszy. Podczas jej procesu jedna z byłych więźniarek twierdziła, że Grese zabijała średnio 30 osób dziennie. A jak wyglądało życie uczuciowe tej młodej kobiety? Dość powiedzieć, że jej kochankiem był... doktor Josef Mengele. Brown twierdzi, że w całej historii ludzkości nie było bardziej odrażającej pary kochanków. Cóż, trudno z nim polemizować w tej kwestii. ©℗

Piotr Włoczyk



DANIEL PATRICK BROWN
„PIĘKNA BESTIA"
REPLIKA

eprasa.pl 95c197360b

Naddunajska twierdza

Bitwa o Budapeszt to jedna z najkrwawszych bitew stoczonych podczas drugiej wojny światowej. Zdobycie węgierskiej stolicy kosztowało Armię Czerwoną 34 tys. zabitych, rannych i zaginionych. Autor opisuje w swojej książce m.in. daleko idące oczekiwania Stalina, który chciał zdobyć Budapeszt z marszu, za pomocą nagłego szturmu. Rzeczywistość nie pozwalała jednak na urzeczywistnienie marzeń sowieckiego przywódcy. Zbudowana na przedpolach miasta linia Attyli była solidnym systemem umocnień opartych na drogach wodnych, trudnych do sforsowania nawet dla bolszewickich jednostek pancernych.

I choć armia węgierska nie posiadała zbyt wiele dobrze wyposażonych elitarnych jednostek wojskowych – choć Dywizja Spadochronowa „Szent László" (część jednostki walczyła w Peszcie), Grupa „Billnitzer" (składająca się m.in. z dział szturmowych) czy 1. Dywizja Kawalerii (przekształcona w 1. Dywizję Huzarów broniącą wyspy Csepel) biły się znakomicie – to to, że Węgrzy walczyli w obronie swojej ojczyzny, powodowało, iż czynili to z wielką determinacją i poświęceniem. Przykładem godnym wspomnienia były zacięte boje pod Kecskemét. 4. Brygada Zmechanizowana Gwardii chciała oskrzydlić to miasto 31 października 1944 r. Czerwonoarmiści ponieśli wówczas z rąk słabej węgierskiej 8. Dywizji Rezerwowej jedne z najwyższych strat dziennych w postaci 109 zabitych i 249 rannych. Przeciwnicy spod znaku czerwonej gwiazdy potrafili docenić wolę oporu Węgrów. Oficer artylerii Aleksander Rogaczew po latach tak wspominał: „Węgrzy byli bardzo antysowieccy i mściwi. Walczyli zaciekle do końca, aż dotarliśmy na ich terytorium… Walczyłem z Niemcami, Węgrami i Rumunami, jeśli porównam ich jako przeciwników, to najsilniejsi byli oczywiście Niemcy. Na drugim miejscu za ich okrucieństwo i upór w walce ulokowałbym Węgrów. Cała reszta była słaba…".

Przywołując ofiarność węgierskich obrońców stolicy, trzeba jednak wyraźnie zaznaczyć, że trzonem defensywy wojsk Osi były siły niemieckie. Bez nich obrona szybko by się załamała. Stanowiły je dwie dywizje Waffen-SS, 8. Dywizja Kawalerii SS „Florian Geyer" oraz utworzona w kwietniu 1944 r. siostrzana 22. Ochotnicza Dywizja Kawalerii SS, czasami przedstawiana mylnie jako nosząca nazwę „Maria Theresa". Oba te związki taktyczne wraz z wehrmachtowskimi 13. Dywizją Pancerną i opartą na kadrach SA Dywizją Pancerną „Feldherrnhalle" zostały całkowicie unicestwione podczas trwającego od 26 grudnia 1944 r. do 13 lutego 1945 r. oblężenia Budapesztu.

Z okrążenia udało się wyrwać zaledwie ok. 700-osobowej grupie złożonej częściowo z żołnierzy Waffen-SS, których skierowano później do 37. Ochotniczej Dywizji Kawalerii SS „Lutzow". Na początku bitwy stany osobowe niemiecko-węgierskiego garnizonu wynosiły ok. 100 tys. żołnierzy, z czego 45–48 tys. było Niemcami. Komendantem twierdzy był, skazany później na 25 lat łagru, SS-Obergruppenführer Karl Pfeffer-Wildenbruch, dowódca IX Korpusu Górskiego SS, odznaczony Krzyżem Kawalerskim (w polskiej literaturze to odznaczenie przedstawiane jest jako Krzyż Rycerski) z Liśćmi Dębu, natomiast działaniami sił węgierskich kierował gen. Iván Hindy, dowódca 1. Korpusu Armijnego, rozstrzelany po wojnie w 1946 r. przez komunistów. Obaj generałowie i ich podkomendni, działając pod presją rozkazów władz zwierzchnich, pomimo podejmowanych wysiłków nie byli w stanie odwrócić tego, co było nieuniknione – upadku miasta i zdobycia go przez, trzeba przyznać, znakomicie walczące, wsparte ciężką artylerią oddziały sowieckie. ©℗

Arkadiusz Karbowiak



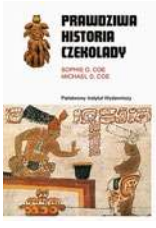
KAMEN NEVENKIN
„FESTUNG BUDAPEST. ZDOBYCIE WĘGIERSKIEJ STOLICY 1944–45"
WYDAWNICTWO BELLONA

Używka bogów

Dzieje kulinariów znajdują się w kręgu zainteresowań badaczy stosunkowo od niedawna. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu wielu naukowców nie uznawało bowiem historii kuchni za wystarczająco „poważną", by poświęcać jej więcej uwagi. Jak się jednak okazuje, dzieje kulinariów dają niesamowity wgląd w to, jak toczyły się losy całych cywilizacji. Kakaowiec właściwy (*Theobroma cacao*), nazwany w ten sposób przez Karola Linneusza (który notabene określeniem tym połączył Światy Nowy i Stary), to – choć może to zaskakiwać – roślina, która odegrała jedną z ważniejszych ról w naszej historii.

Jako pierwsi nasiona kakaowca do celów spożywczych wykorzystywali ok. tysiąca lat przed naszą erą mieszkający na terenach dzisiejszego Meksyku starożytni Olmekowie. Przez setki lat, aż do czasów współczesnych, kakaowiec był „elitarną" rośliną. Czekoladę spożywali tylko najbogatsi (trzeba dodać, że przez wieki spożywano ją w formie płynnej; twarda wersja czekolady, czyli znane nam dziś tabliczki, istnieje stosunkowo od niedawna). Książka małżeństwa Coe jest nietypową i fascynującą podróżą od kultur prekolumbijskich do współczesnych wielkich koncernów spożywczych produkujących czekoladę dla miliardów konsumentów na całym świecie. ©℗

Anna Szczepańska



SOPHIE D. COE, MICHAEL D. COE
„PRAWDZIWA HISTORIA CZEKOLADY"
PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

eprasa.pl 95c197360b



Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Z dziejów kancelu i szejmingu w Polsce

Przegapiłbym 35. rocznicę powstania „Gazety Wyborczej", gdyby ona sama nie urządziła sobie jubileuszu. Zresztą bardzo skromnego – to już nie czasy prezydentury Kwaśniewskiego czy poprzednich rządów Tuska, kiedy fetom, fajerwerkom i laudacjom nie było końca. Oczywiście znowu rozbrzmiały te same frazesy, jak to rzekomo gazeta jest ponadpartyjna i obiektywna, jak broni demokracji, praworządności i wartości, pan Michnik pokrygował się w wywiadzie udzielonym swemu podwładnemu, że w ogóle nie chciał, że został tym naczelnym tylko na chwilę i wcale się nie spodziewał, że to tak długo będzie… (Ha, ha. O tym, jak Michnik zabiegał u Wałęsy o powierzenie mu gazety Solidarności, opowiadali naoczni świadkowie, w tym Ryszard Bugaj, a jak rękami i nogami bronił się, kiedy Agora próbowała go wysłać na emeryturę, to sam pamiętam, bo na bieżąco sporo o tym pisano). Ale ogólne przesłanie obchodów brzmiało: wciąż jeszcze żyjemy.

Pamiętam z młodości, jak na propagandowych plakatach „40 lat Polski Ludowej" dopisywało się: „i wystarczy" – i gdybym miał pod ręką analogiczny plakat obwieszczający jubileusz „Wyborczej", napisałbym na nim to samo. Ale przyznać muszę, że w przeszłości odegrała ona rolę pionierską na skalę całej Europy, a może i zachodniego świata – choć w dziedzinie niechwalebnej. A mianowicie to Adam Michnik był prekursorem medialnej „cancel culture". Zanim na dobre zapanowała ona w mediach zachodnich, rozpanoszyła się za jego sprawą w Polsce.

Na początku lat 90. nie było oczywiście jeszcze tej nazwy. Pisząc swoją „michnikowszczyznę", musiałem ukuć własne określenie: „dyskurs wykluczania". Ale jak zwał, tak zwał, ważne jest, że prawie połowę aktywności gazety Michnika od samego jej zarania można streścić jako tworzenie wielkiej, codziennie aktualizowanej listy proskrypcyjnej. Komu się nie podaje ręki, kogo się nie czyta, kogo się nie dopuszcza do udziału w ważnych wydarzeniach, kto nie ma prawa zabierać głosu, nie mówiąc o decydowaniu. W wywiadach Michnik pozował na demokratę, cytując Wolterowskie „nienawidzę tego, co mówisz, ale oddałbym życie za to, żebyś mógł to mówić". W praktyce robił wszystko, żeby każdy głos sprzeczny z jego obsesjami został uciszony, zdelegalizowany, a każdy polemista opluty, wyszydzony lub w inny sposób pozbawiony możliwości szerzenia „ideologicznych miazmatów". Aby podpaść pod ten mechanizm, nie trzeba było nawet wchodzić z „Wyborczą" w spór, wystarczyło być od niej niezależnym, niebezpiecznym potencjalnie – i tak pozostało, czego najnowszym przykładem wściekła szarża przeciwko Kanałowi Zero Stanowskiego.

Napisałem „prawie połowę", co nie znaczy, że pozostała aktywność jubilatki mieściła się w normach dziennikarskich. Drugą prawie połowę jej dokonań z tych wszystkich lat stanowił „shaming" – to słowo też jeszcze nie istniało, kiedy Michnik rozkręcał kampanie szejmingowe na całego, z „Sąsiadami" Grossa na czele. Bronisław Wildstein nazwał tę jego działalność „pedagogiką wstydu", ale upokarzanie dotyczyło nie tylko Polski jako takiej. Biedni niech się wstydzą, że „nie poradzili sobie w transformacji", wykluczeni, że są wiochą i zaściankiem, pokrzywdzeni przez komunę i nowe, wyrosłe z niej elity, że okazały się frajerami…

> / Prawie połowę aktywności gazety Michnika **od samego jej zarania można streścić jako tworzenie wielkiej, codziennie aktualizowanej listy proskrypcyjnej**

Cóż, „Wyborczej" już wystarczy, ale samemu Michnikowi z okazji jubileuszu życzę, żeby długo żył – tak by mógł długo rozpamiętywać upadek swego nikczemnego dzieła. ©℗

eprasa.pl 95c197360b

/ Felieton



Piotr Semka

Śmierć wieje z Polski

Czy znają państwo powieści Jozefa Kariki? Ten urodzony w 1978 r. autor dreszczowców, a także dziennikarz, stał się niezwykle popularny na Słowacji. W swoich thrillerach łączy w przedziwną mieszankę realia słowackiej polityki, tamtejszego świata mafijnego i elementy nadprzyrodzone. Z jednej strony jest on autorem książek o prasłowiańskiej magii, z drugiej strony napisał książkę „W cieniu mafii", która w bardzo realistyczny sposób pokazuje zakres władzy słowackich gangsterów nad wieloma gałęziami biznesu oraz skalę skorumpowania struktur państwowych, policyjnych i samorządowych.

Jedną z powieści Kariki, wydanej także po polsku, jest „Wiatr". Zawiera ona odniesienia do Polski, więc przeczytałem ją z dużym zainteresowaniem. Bohaterem powieści jest zwykły, nudny księgowy. Trzyma się z dala od tajemnic kryminalnych i nadprzyrodzonych. Wszystko do momentu, gdy znajduje na parkingu porzuconą kamerkę. Oglądając film uwieczniony na tym urządzeniu, odkrywa coraz bardziej przerażające losy dwojga kierowców, których prześladuje tajemnicza postać ubranej na czarno staruszki. Z pomocą dawnej koleżanki policjantki ustala, że ofiary wypadku zginęły na pewnym odcinku szosy na Orawie – w regionie Słowacji przylegającym do Polski.

Na odcinku tym w ciągu roku ginie podejrzanie wielu kierowców. Po pewnym czasie bohater książki wraz z zaprzyjaźnioną policjantką i jej partnerem życiowym odkrywają kolejną prawidłowość – do wypadków dochodzi zawsze, gdy wieje mocny wiatr z gór.

I tu pojawia się w książce polski wątek. Owym współsprawcą tragedii okazuje się nasz górski wiatr nazywany halnym. Co prawda, autor książki przyznaje, że panuje opinia, iż halny występuje tylko w południowej Polsce, głównie na Podhalu, ale okazuje się, że nie jest to prawda. Bohaterowie książki nie dają wiary zapewnieniom miejscowych, że podhalańskie wietrzysko załamuje się na grzbietach najwyższych partii Tatr i prawie nie przenika na Słowację. Docierają do wspomnień słowackiego poety Vladimíra Roya, który leczył się przed wojną z gruźlicy w sanatorium w słowackich Tatrach. Roy opisywał, że kiedy zbliżał się halny, przewożono pacjentów w inne rejony, bo w przeciwnym razie ich stan psychiczny – a także fizyczny – gwałtownie się pogarszał. Nie będę państwu psuł przyjemności czytania dalszej części powieści, powiem tylko, że halny personifikowany przez upiorną postać ubranej na czarno staruszki staje się demonem, który opanowuje umysły bohaterów książki i doprowadza do licznych śmierci.

Skąd pomysł na takie zdemonizowanie naszego halnego? Owszem, jest publiczną tajemnicą, że kiedy w Zakopanem wieje ten wiatr, góralom, delikatnie mówiąc, „odwala". Rośnie liczba bójek, samobójstw, a niekiedy nawet i morderstw. Wzrastają ogólna nerwowość, lęk i złe emocje. Ale żadnych legend o morderczym wpływie halnego na demony, szczególnie te doprowadzające do morderstw, nie znalazłem.

> Trudno nie zadać sobie pytania, czy ten **motyw morderczego wiatru z północy nie jest echem pewnej nieufności Słowaków wobec sąsiadów zza Tatr**

Owszem, „Wielka księga demonów polskich" wspomina o tzw. wietrzycy, demonie powietrznym występującym w folklorze góralskim. Ma on wywoływać groźne wichury, porywać różne przedmioty, kaleczyć ludzi i odbierać im mowę. Ale – jak głosi podanie góralskie – można było go zabić, ciskając w wiatr poświęconym nożykiem. Ugodzona zjawa miała upadać zakrwawiona na ziemię, a lokalne burze i wichury momentalnie się uspokajały.

Trudno nie zadać sobie pytania, czy ten motyw morderczego wiatru z północy nie jest echem pewnej nieufności Słowaków wobec sąsiadów zza Tatr. Aby takie podejrzenia rozwiać, autor każe bohaterowi deklarować, że uwielbia Polskę, ale już jego opis tego, jak główny protagonista jedzie samochodem na północ w głąb Polski, to istne pandemonium pełne morderczych zjaw.

Zawsze ciekawi nas, jak my, Polacy, jawimy się naszym sąsiadom. W tym kontekście powieść Jozefa Kariki to smakowity kąsek. ©℗

eprasa.pl 95c197360b



Walki w Konstantynopolu na ilustracji Theophilosa Hatzimihaila FOT. THEOFILOS MUSEUM

1405–1453 / Ostatni władca Bizancjum

Cesarz spod Złotej Bramy



Anna Szczepańska

Konstantyn XI Paleolog – jak pisał historyk Donald Nicol – po swej śmierci doczekał się większej chwały niż za swych krótkich i nieszczęśliwych rządów. Ostatni cesarz Bizancjum osobiście bronił murów Konstantynopola

Władca Cesarstwa Bizantyńskiego zginął 29 maja 1453 r. gdzieś w okolicy Złotej Bramy przy murach Teodozjusza w Konstantynopolu. Kronikarze nie są zgodni, czy jego ciało odnaleziono. Według powstałej tuż po jego śmierci legendy ciało Konstantyna miał zabrać z pola bitwy Anioł Pański, który zamienił je w marmur i ukrył w jednej z piwnic pod Złotą Bramą. Cesarz ma tam spoczywać dopóty, dopóki nie zbudzi go Boży wysłannik, który poprowadzi lud chrześcijański do walki przeciw muzułmanom i pomoże przepędzić ich z Nowego Rzymu. Turcy także wierzyli w tę opowieść. Wkrótce po zajęciu Konstantynopola przeszukiwali Złotą Bramę, lecz ciała cesarza nie odnaleźli. Kazali ją wówczas zamurować. Brama do dzisiaj pozostaje zapieczętowana.

Legenda o cesarzu, który pozwoli wrócić chrześcijanom nad Bosfor, jest żywa także współcześnie, zwłaszcza wśród Greków. Jednym z najbardziej znanych przykładów jest poemat „Fletnia króla" Kostisa Palamasa, opublikowany w 1910 r.:

Ze snów marmurowych królem się obudzę,
Z mego mistycznego grobowca powstanę
By w Złotej Bramie mur otworzyć na oścież;
I zwyciężyć kalifów i carów,
Ścigając ich za Jabłoń Czerwoną,
W dawnych granicach zakosztuję spoczynku.

Biedny cesarz

W upadku Konstantynopola jedni upatrywali karę Bożą za sprzeniewierzenie się ortodoksji, inni doszukiwali się znaków niebios. Tak jak pierwszym władcą Rzymu był Romulus, a ostatnim Romulus Augustulus, tak pierwszym władcą Konstantynopola był Konstantyn Wielki, a ostatnim Konstantyn XI. Na dodatek matki zarówno pierwszego, jak i ostatniego Konstantyna nosiły imię Helena. Mało kto wówczas uznawał taką zbieżność za przypadek.

Mit ostatniego Paleologa zasiadającego na cesarskim tronie narodził się wraz z jego śmiercią. Wielu Greków wieszczyło jednocześnie jego rychły powrót. Poszukiwano też jego potomków. Wśród mieszkańców dawnego Bizancjum pojawiały się historie np. o synu Konstantyna, który w dorosłym wieku przejdzie na islam, aby zniszczyć państwo sułtanów od

eprasa.pl 95c197360b

środka. Tego typu opowieści można zaliczyć do ludowych bajań, gdyż skądinąd wiadomo, że Konstantyn XI zginął jako podwójny wdowiec, nie doczekawszy potomka. Nie przeszkadzało to jednak w tworzeniu najbardziej fantastycznych mitów, spośród których tym, który przetrwał do dziś, jest wspomniana legenda o cesarzu, którego zbudzi Anioł.

Opowieść ta wywodzi się z legendy o biednym człowieku. W greckiej tradycji istnieje opowieść mówiąca, że Turcy zostaną odepchnięci znad Bosforu do miejsca zwanego Czerwoną Jabłonią lub Monodendrion, gdzie urodzić miał się Mahomet. Przeciwko Izmaelitom wystąpić miał „biedny cesarz" imieniem Ptocholeon, który choć uchodzi za zmarłego, pojawi się w świętym mieście i wygna niewiernych aż do Czerwonej Jabłoni. „Biednego cesarza" wyczekiwano w czasie ostatniego oblężenia Konstantynopola. Kiedy się nie pojawił, a miasto upadło, przepowiednię zaczęto interpretować inaczej: to zaginiony cesarz Konstantyn, którego ciała nie odnaleziono, miał być tym, który wybawi miasto od wrogów. „Odezwij się! Gdzie jesteś? Żyjesz czy zginąłeś od własnego miecza? Są tacy, którzy mówią, że znalazłeś schronienie pod prawicą Wszechmogącego. Czyżbyś naprawdę był żywy, a nie martwy?" – pytał anonimowy poeta z Rodos w napisanym już w 1453 r. lamencie nad Konstantynopolem pt. „O upadku miasta".

Despota

Upadek Cesarstwa Bizantyńskiego był ogromnym wstrząsem dla chrześcijańskiego świata. Na Wschodzie przyczyn zniszczenia Bizancjum upatrywano w odejściu od ortodoksji, na Zachodzie mówiono o heretykach znad Bosforu, którzy nie chcieli wrócić na łono jedynego Kościoła. Podbój islamski miał być karą za grzechy Bizantyńczyków – tak twierdziła przynajmniej część mieszkańców świata zachodniego. Wielu władców, w tym sam papież, rozumiało jednak, że zajęcie Konstantynopola będzie miało katastrofalne skutki dla chrześcijaństwa. Muzułmanie, zdobywając Nowy Rzym, mieli otwartą drogę do Europy.

O nieszczęście, które spotkało Konstantynopol, posądzano też pech, który towarzyszył Konstantynowi XI niemal od początku jego życia. Choć ostatecznie jego imię zostało unieśmiertelnione, a on sam zginął jako bohater, to do ostatniej chwili, trwając przy boku poddanych, trudno rzec, czy gdyby nie ostatnie tygodnie jego życia, zapisałby się na kartach historii tak chwalebnie.

Konstantyn XI urodził się 8 lutego 1405 r. jako czwarty z siedmiu synów cesarza Manuela II i serbskiej księżniczki Heleny Dragasz. Z racji tego, że był niezwykle przywiązany do matki, używał czasem miana Konstantyn Dragasz.

Najstarszy z braci, Jan, miał zostać następcą ojca na cesarskim tronie. Kolejni synowie – Teodor i Andronik – otrzymali we władanie despotat Morei i Tessalonikę. Dla Konstantyna zabrakło



Konstantyn IX Paleolog
FOT. COMMONS WIKIMEDIA



Godło Cesarstwa Bizantyjskiego
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

już ziemi, toteż miał pozostać przy ojcu w Konstantynopolu. Do wielkiej polityki wkroczył w 1422 r., kiedy Turcy oblegali Konstantynopol, a jego ojciec leżał złożony chorobą. W tym czasie następca tronu Jan przebywał na Zachodzie, błagając o pomoc dla osłabionego Bizancjum. Na czas jego nieobecności i z racji choroby Manuela Konstantyn został ogłoszony regentem z tytułem despoty. Dzięki jego zabiegom w lutym 1424 r. podpisano pokój z Osmanami.

Trochę ponad rok później zmarł Manuel II, a na tronie zasiadł Jan VIII. W dowód wdzięczności za zasługi Konstantyna podarował mu wówczas pas lądu wzdłuż Morza Czarnego od miasta Mesembria do Derkos. Wkrótce Jan i Konstantyn wspólnie poprowadzili kampanię przeciwko władcy Epiru, Carlo Tocco, który zagrażał posiadłościom ich brata Teodora. Po zwycięskich walkach Konstantyn pojął za żonę siostrę Tocco, Magdalenę. Niestety, kobieta zmarła półtora roku później.

Rosnące znaczenie Konstantyna nie podobało się Teodorowi oraz młodszym braciom – Tomaszowi i Demetriuszowi. Chodziło przede wszystkim nie o przynależność niedużych nabytków ziemskich, ale o cesarski tron. Jan VIII, choć trzykrotnie żonaty, wciąż nie miał potomka, przeczuwano więc, że władzę przekaże jednemu z braci. Największe szanse miał Konstantyn, wyraźnie faworyzowany przez Jana.

W drugiej połowie 1437 r. Konstantyn przybył nad Bosfor, gdzie po raz drugi objął regencję na czas nieobecności Jana VIII, który wybierał się do Italii, by uczestniczyć w soborze w Ferrarze i Florencji, które zakończyły się podpisaniem unii Kościołów. W 1441 r. Konstantyn ożenił się ponownie. Wybranką była Katarzyna, córka władcy Lesbos, Dorina I Gattilusio. I w tym wypadku Konstantyn nie miał szczęścia – Katarzyna zmarła rok później, w czasie tureckiego oblężenia wyspy Lemnos, na której oboje znaleźli się, zdążając do Konstantynopola.

W 1444 r. Konstantyn postanowił zaatakować osmańskie posiadłości w Grecji, wiedząc, że sułtan jest zajęty wydarzeniami w innej części Europy (bitwa pod Warną). Despota osiągnął liczne sukcesy, zajmując np. Ateny i Teby, lecz

eprasa.pl 95c197360b

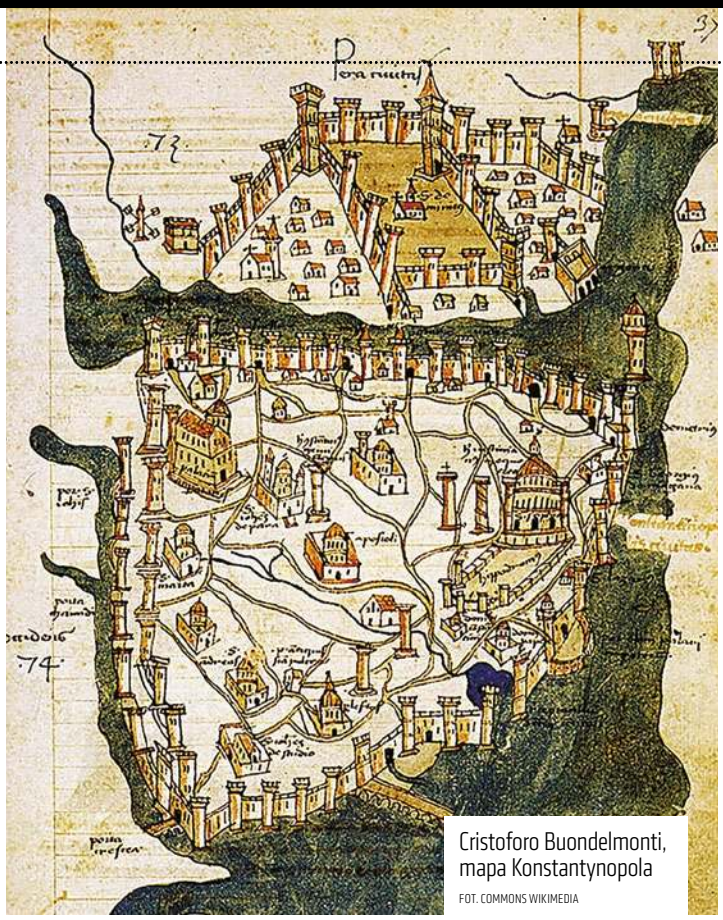
były one ulotne, gdyż już dwa lata później Murad II skierował swe wojska do Grecji. Morea została spustoszona, a Konstantyn musiał zrezygnować z jakiejkolwiek ekspansji.

Na cesarskim tronie

Jan VIII Paleolog zmarł w październiku 1448 r. Na łożu śmierci wyraził wolę, aby jego następcą został Konstantyn. Choć próbowali ubiec go młodsi bracia, to za Konstantynem wstawiła się matka, ogłaszając się regentką cesarstwa dopóty, dopóki Konstantyn nie dotrze do miasta. Jednocześnie, aby inny syn nie zdążył się koronować, wysłała swoich ludzi naprzeciw orszakowi Konstantyna, który został koronowany w Mistrze. Ta sprawa wywołała, z prawnego punktu widzenia, nieco zamieszania (za „poprawną" uznawano bowiem intronizację dokonaną w Konstantynopolu przez tamtejszego patriarchę). Legalność koronacji kwestionowano jednak krótko, gdyż wobec zagrożenia osmańskiego kwestia ta miała drugorzędne znaczenie.

Jednym z pierwszym kroków cesarza Konstantyna XI było wysłanie posłów do sułtana w celu podpisania pokoju. Kolejną kwestią było znalezienie małżonki. Tą sprawą zajął się zaufany człowiek Konstantyna, wielki logoteta, a zarazem dziejopis, Jerzy Sfrantzes. Jego podróż po okolicznych dworach trwała dwa lata. Kiedy zdawało się już, że znaleziono odpowiednią kandydatkę, wydarzenia, które nastąpiły w imperium osmańskim, uniemożliwiły Konstantynowi realizację jego osobistych planów.

W lutym 1451 r. zmarł sułtan Murad II. Jego następcą został młody i niedoświadczony Mehmed II. Wielu z radością powitało taki obrót spraw. Na zagranicznych posłach Mehmed faktycznie robił dobre wrażenie, lecz były to pozory.



Cristoforo Buondelmonti, mapa Konstantynopola

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Konstantyn szybko na własnej skórze przekonał się, że ma do czynienia nie z bojaźliwym młokosem, lecz z przywódcą z krwi i kości.

Tuż po objęciu rządów przez Mehmeda Konstantyn wysłał do niego nieroztropny list. Zwrócił się w nim z prośbą o zwiększenie renty dla przebywającego w Konstantynopolu Orchana, który



Gentile Bellini „Portret Mehmeda II"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, VICTORIA AND ALBERT MUSEUM, NATIONAL GALLERY

– oprócz Mehmeda – był jedynym żyjącym przedstawicielem dynastii Osmanów. Mehmed potraktował to jako groźbę wykorzystania Orchana w wewnętrznych rozgrywkach sułtanatu. Postanowił więc jak najszybciej dać bizantyńskiemu cesarzowi nauczkę. Tym bardziej że sam znajdował się w trudnej sytuacji – nie miał na dworze posłuchu, a nawet obawiał się o swoje życie. Potrzebował spektakularnego sukcesu.

Wiele wskazywało na to, że wojna z Turkami wybuchnie lada chwila. Tymczasem Bizancjum znajdowało się w bardzo niekorzystnym położeniu. Mury Konstantynopola, choć nigdy zbrojnie niezdobyte, wymagały renowacji. Bizantyńczycy potrzebowali rekrutów, floty, amunicji, zapasów. Cesarz był jednak optymistą – z racji podpisanej przed laty unii Kościołów we Florencji liczył, że Zachód ruszy na pomoc zagrożonemu miastu nad Bosforem. Gorzkie było jego rozczarowanie.

Możnym z Zachodu niespieszno było iść na ratunek Konstantynopolowi. Po pierwsze, zdecydowanie nie doceniono ambicji Mehmeda II, a po drugie (i może istotniejsze) Konstantyna XI uważano za fasadowo nawróconego heretyka, który dla chwilowych korzyści gotów był uznać zwierzchność papieża czy niektóre dogmaty, które wcześniej Kościół wschodni odrzucał. W samym Konstantynopolu bazyleus także nie miał łatwego życia. Przeciwnicy unii z Rzymem zarzucali mu koniunkturalizm i twierdzili, że żadna groźba wojny nie jest warta tego, by wyrzec się prawdziwej wiary. Konstantyn w ostatnich latach życia wciąż stawał przed wyborem pomiędzy dżumą i cholerą: kiedy zabiegał o pomoc w Rzymie, narażał się swoim poddanym. Kiedy natomiast, aby uspokoić swoich, dawał do zrozumienia, że unia florencka była koniecznością, by zyskać wsparcie Zachodu, mógł być pewien, że szpiedzy doniosą o jego stanowisku papieżowi.

eprasa.pl 95c197360b

W sytuacji, z której nie było dobrego wyjścia, jedynym rozwiązaniem okazało się odwołanie do miejscowych układów. Konstantynopol leżał w newralgicznym punkcie między Europą i Azją, tutaj krzyżowały się interesy kupców z najodleglejszych krain. Tutaj wreszcie przemożne wpływy mieli Wenecjanie i Genueńczycy. To im zależało najbardziej, aby Konstantynopol nie dostał się w ręce muzułmanów. Niestety, mimo zagrożenia, z którego zdawano sobie sprawę, nie posłano do Bizancjum żadnej większej pomocy. Obrony miasta podjął się namiestnik Wenecji w Konstantynopolu, Girolamo Minotto. Genua nie udzieliła oficjalnej pomocy, obawiając się Turków. Na własny koszt przybyło do Nowego Rzymu kilku znamienitych obywateli z oddziałami zbrojnymi. Wśród nich znajdował się Giustiniani Longo, którego wiedza z zakresu sztuki oblężniczej okazała się zresztą bezcenna.

Pod murami

Pod koniec 1452 r. Mehmed wysłał do Konstantyna ultimatum, które brzmiało: „Poddaj miasto albo stań do walki". 5 kwietnia 1453 r. jego wojska podeszły pod mury Konstantynopola.

Od kilku tygodni trwały przygotowania do obrony. Z rozkazu Konstantyna XI mury Teodozjusza wzmacniano, kopano rowy, gromadzono zapasy. Tuż przed nadejściem Turków cesarz zlecił przerzucenie łańcucha przez zatokę Złoty Róg, która miała uniemożliwić atak na miasto od północy. Specjalnie skonstruowana zapora była zrobiona z drewna, pokryta gwoździmi i żelaznymi ogniwami, której jeden koniec przymocowany był do murów Konstantynopola, a drugi do murów Galaty. Kiedy na horyzoncie pojawiły się wojska tureckie, bazyleus opuścił pałac cesarski na Blachernach i udał się w miejsce, gdzie mury Konstantynopola były najsłabsze. Na pierwszej linii frontu pozostał do samego końca.

11 kwietnia Osmanowie rozpoczęli bombardowanie miasta. Turcy dysponowali potężnymi działami i wielkimi pociskami, jakich nie widziano dotąd pod Konstantynopolem. Ostrzał trwał nieustannie przez wiele godzin. Turcy wielokrotnie szturmowali mury Teodozjusza. Najczęściej atakowali w nocy przy dźwięku trąbek, kastanietów i wśród dzikich okrzyków, które wywoływały przerażenie wśród obrońców Konstantynopola. Na domiar złego do miasta dopłynęła już liczna turecka flota. Bizantyńskie i weneckie okręty, choć dobrze wyposażone i dowodzone przez doświadczonych wojowników, nie mogły równać się z liczniejszą flotą wroga. Dzięki cesarzowi obrońcy przynajmniej kilka razy zdołali ocalić mury (choć nieustannie były naprawiane, to jednak były coraz bardziej nadwątlone).



Joseph Benjamin-Constant „Wejście Mehmeda II do Konstantynopola"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUSEE DES AUGUSTINS

Przebywający w czasie oblężenia w mieście wenecki lekarz Nicolo Barbaro, autor kroniki opisującej szczegółowo przebieg walk, zanotował, że cesarz bez przerwy był przy obrońcach Konstantynopola, dodawał im otuchy i bardzo przeżywał każde niepowodzenie. 18 kwietnia, gdy Turcy z furią uderzyli na mury, Barbaro pisał: „Pełen smutku Cesarz zaczął płakać". Szturm został jednak odparty. Gdy obrońcy mogli cieszyć się sukcesem, Barbaro notował: „Ich modlitwy do Mahometa nie były wystarczające, by dać im zwycięstwo, a nasz Wiekuisty Bóg wysłuchał modlitw nas, chrześcijan".

W istocie, od samego początku oblężenia modlitwy w konstantynopolitańskich świątyniach nie ustawały. Po murach obnoszono najświętsze ikony, nieustannie biły dzwony, wzywając ludzi do modlitwy. Niemal każdy, kto akurat nie był zaangażowany w obronę miasta (a broniły go także kobiety i dzieci, np. nosząc kamienie i piasek), spędzał czas na modlitwie, błagając Boga o ocalenie świętego miasta. Modlił się także Konstantyn, który już na początku oddał całą sprawę w ręce Chrystusa i Jego Matki.

Upadek

28 maja w obozie osmańskim zapanowała nienaturalna cisza. Wrogowie odpoczywali przed ostatnim atakiem. Tego dnia wszyscy mieszkańcy miasta spotkali się w świątyni Hagia Sophia na Eucharystii. Procesję poprowadził cesarz Konstantyn. W jej trakcie bazyleus wygłosił mowę, która przeszła do historii – jak pisał Edward Gibbon – jako wzruszająca, żałobna oracja na pogrzebie cesarstwa rzymskiego. Po nabożeństwach cesarz udał się ponownie pod mury miasta. Według ostatniej pewnej informacji na temat cesarza stał on wraz ze swoimi żołnierzami pod Bramą św. Romana, kiedy rano 29 maja 1453 r. tureckie działa dokonały potężnego wyłomu w murze, a do środka zaczęli wdzierać się Osmanie.

Istnieje przynajmniej kilka wersji tego, co w kolejnych minutach działo się z bazyleusem. Mówiono, że rzucił się na własny miecz lub popełnił samobójstwo, wieszając się, gdy tylko ujrzał Turków wchodzących do miasta. Ta wersja wydaje się jednak mało prawdopodobna. Cesarz – jak mówiono – w ostatnich chwilach miał porzucić cesarskie insygnia i atrybuty władzy i stanąć do walki u boku swych poddanych jako zwykły żołnierz. To też mogłoby wyjaśnić, dlaczego później – jak mówili niektórzy – wśród morza ciał nie odnaleziono jego zwłok. Jak pisał Barbaro: „Cesarz rzucił się do walki z furią ze swym mieczem i upadał, i podnosił się, i gdy upadł ponownie, już nie żył".

Część ówczesnych dziejopisów jest zdania, że szczątki cesarza jednak znaleziono (tylko dzięki temu, iż nosił purpurowe buty), a jego odciętą głowę Mehmed, nazwany w tamtej chwili Zdobywcą, kazał wywieźć do Adrianopola jako trofeum. Jak faktycznie było? Tego zapewne nigdy się już nie dowiemy. A może, jak chce grecka tradycja, Konstantyn XI Paleolog śpi pod Złotą Bramą i zbudzi się kiedyś, aby ocalić święte miasto.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 95c197360b



FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Nowoczesność puka do drzwi / Wyjątkowo owocne 365 dni

Rewolucja 1885 r.



Tymoteusz Pawłowski

Rok 1885 oddziela nowoczesność od średniowiecza. Współczesny człowiek nie potrafiłby funkcjonować w roku 1879, natomiast Juliusz Cezar odnalazłby się tam całkiem dobrze. Rzymski wódz czułby się jednak zagubiony w roku 1891, podczas gdy my nie mielibyśmy z tym większych problemów

Gdy sięgniemy do podręczników czy leksykonów, dowiemy się, że „rewolucja przemysłowa to zmiany zapoczątkowane w XVIII w. w Wielkiej Brytanii, a trwające do końca XIX w., które doprowadziły do przejścia od gospodarki opartej na rolnictwie oraz produkcji manufakturowej do produkcji fabrycznej". Jest to częściowa prawda, w tej narracji umyka bowiem to, że początek rewolucji miał zupełnie inny przebieg na początku i na końcu. Umyka również treść przemian: w XVIII w. zmiany dotyczyły głównie produkcji – dzięki mechanizacji rolnictwa, wprowadzeniu maszyn parowych i zmianom w metalurgii zaczęto wytwarzać olbrzymie ilości tanich tkanin. Sto kilkadziesiąt lat później, na zakończenie rewolucji, zmiany dotyczyły głównie życia codziennego.

Rewolucję przemysłową określa się wiekiem pary i elektryczności, jednak najważniejszym wydarzeniem pierwszej fazy rewolucji przemysłowej było wynalezienie w 1765 r. przędzarki mechanicznej zwanej Spinning Jenny. Historycy i inżynierowie są w tej kwestii w miarę zgodni, ponieważ początki rewolucji przemysłowej to przede wszystkim przemysł tkacki. Nieco złośliwie można dodać, że trudno jest podać dokładną datę powstania silnika parowego czy nawet określić, „czym jest XVIII-wieczny silnik parowy".

Odpowiedź na pytanie, co było najważniejszym wydarzeniem drugiej fazy rewolucji – tej związanej z elektrycznością – jest jednak dużo trudniejsza. Idąc tropem „elektrycznym", możemy podać dokładną datę: 12 stycznia 1882 r. – wówczas w Londynie otwarta została dla publiczności pierwsza elektrownia zasilana węglem. Określenie „dla publiczności" jest dość ważne, ponieważ nieco wcześniej istniały generatory prądu, wykorzystywano je jednak do celów badawczych i przemysłowych. Londyńska elektrownia zapewniała dostawy prądu społeczeństwu, a więc dawała olbrzymi rynek zbytu producentom elektrycznych artykułów gospodarstwa domowego. Być może jednak najważniejszym wydarzeniem XIX w. było zaprezentowanie w 1885 r. „bezpiecznego bicykla marki Rover", czyli roweru w znanej nam postaci.

Przyjemności

Świat został zmieniony przez urządzenia napędzane elektrycznością. Takie jak tramwaj: już w 1883 r. zainaugurowano linię w Brighton, działającą do dzisiaj. Ale przede wszystkim takie wynalazki zasilane z domowej sieci elektrycznej jak telefon, żarówka, żelazko, kuchenka, suszarka do włosów, odkurzacz, pralka, lodówka (wymienione tu w kolejności wprowadzania na rynek). Względnie niewielkie artykuły gospodarstwa domowego zmieniły świat w dużo większym stopniu niż silnik parowy czy przędzarka mechaniczna.

Aż do ostatniego dwudziestolecia XIX w. prowadzenie domu było niesamo-

eprasa.pl 95c197360b

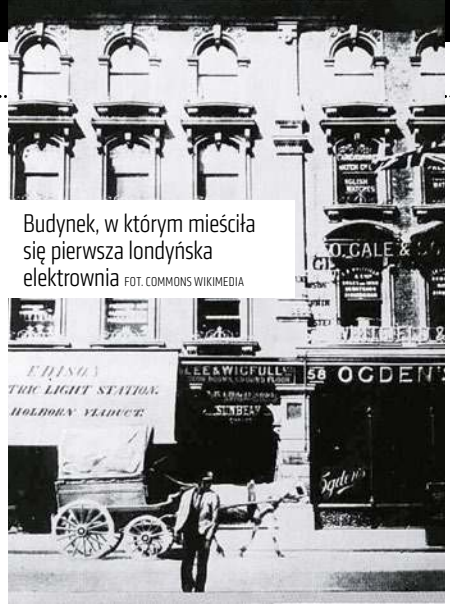
wicie pracochłonne. Codziennie trzeba było kupić świeżą żywność. Codziennie trzeba było wyprać ubrania – rodziny były dużo liczniejsze niż dzisiaj – a później uprasować, bo czyste i uprasowane ubranie było wyznacznikiem pozycji społecznej. Niemal codziennie trzeba było zebrać kurz i wytrzepać dywany, natomiast włosy myto raz na tydzień. Nie czyniono tego częściej, bo schnięcie długich włosów mogło trwać kilka godzin, a w chłodnych porach roku niosło za sobą ryzyko przeziębienia, zapalenia płuc i śmierci.

Urządzenia zasilane prądem pozwoliły zaoszczędzić niesamowicie dużo czasu, co w największym stopniu zmieniło życie kobiet. Niektórym na lepsze, a innym… chyba na gorsze. Codzienne obowiązki domowe były tak pracochłonne, że niemal wszystkie domy zatrudniały pomoce domowe. Dziś jest to luksus, ale wówczas zatrudnienie „dziewczyny do pomocy" kosztowało tyle, ile jedzenie i opierunek oraz nieco kieszonkowego. Zatrudnienie się do pomocy było typową ścieżką kariery dziewcząt ze wsi, które mogły albo wydać zarobione kieszonkowe na potańcówki, aby znaleźć sobie męża w mieście, albo zaoszczędzić je i wrócić do rodzinnej wsi jako dobra partia. Nowe elektryczne wynalazki sprawiły, że wiejskim dziewczynom trudniej było znaleźć pracę w mieście.

Dla dobrze sytuowanych gospodyń domowych zmiany były pozytywne. Przede wszystkim przestały być już tylko gospodyniami domowymi. Zaoszczędzony czas



Reklama rowerów marki Rover z 1885 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA



Budynek, w którym mieściła się pierwsza londyńska elektrownia FOT. COMMONS WIKIMEDIA

mogły poświęcić np. na życie towarzyskie, bardzo ułatwione dzięki telefonom – pozwalającym umówić się na spotkanie – oraz tramwajom – pozwalającym na spotkanie dojechać. Mogły też poświęcić się kształceniu, szczególnie że oświetlenie elektryczne czyniło czytanie prasy i książek łatwiejszym i zdrowszym dla oczu. Mogły też połączyć jedno i drugie, organizując się i walcząc o równouprawnienie: teraz faktycznie miało to sens, ponieważ kobiety nie musiały już poświęcać całego swojego czasu na zajmowanie się domem i mogły zająć się karierą zawodową, konkurując z mężczyznami. Warto jednak pamiętać, że gdy kobiety zajmowały się domem, mężczyźni nie próżnowali, tylko zarabiali na jego utrzymanie.

Nowoczesność

Istniał jeszcze jeden drobny problem domowy, zajmujący czas i jednocześnie sprawiający, że nie moglibyśmy odnaleźć się w XIX-wiecznym świecie. Było nim gotowanie. Ówczesne kuchnie węglowe – niepozwalające na osiągniecie wysokich temperatur – wymagały zupełnie innej techniki kulinarnej. Obiady gotowały się – piekły lub dusiły – pół dnia. Zajmowało to nie tylko czas, lecz także uwagę: przypalenie pieczeni czy potrawki było dużo bardziej prawdopodobne niż obecnie, ktoś musiał cały czas być w kuchni i doglądać obiadu. O drzemce w ciągu dnia można było zapomnieć. Kuchenki elektryczne i gazowe – te drugie znane były wcześniej, ale stały się popularne dopiero w latach 80. – w istotny sposób zmieniły sposób przygotowania posiłków, przepisy i przyzwyczajenia kulinarne: ot, chociażby sprawiały, że obiad można było łatwo i szybko odgrzać.

Nie wszystkie zmiany związane były z elektrycznością. Większość nas marzłaby w XIX-wiecznych domach i mieszkaniach. Część z nas nie potrafiłaby nawet uruchomić pieca węglowego, a jedynie nieliczni potrafiliby utrzymać w nim ciepło przez całą mroźną grudniową noc. Na szczęście pod koniec XIX w. popularne stały się centralne ogrzewanie i kaloryfery.

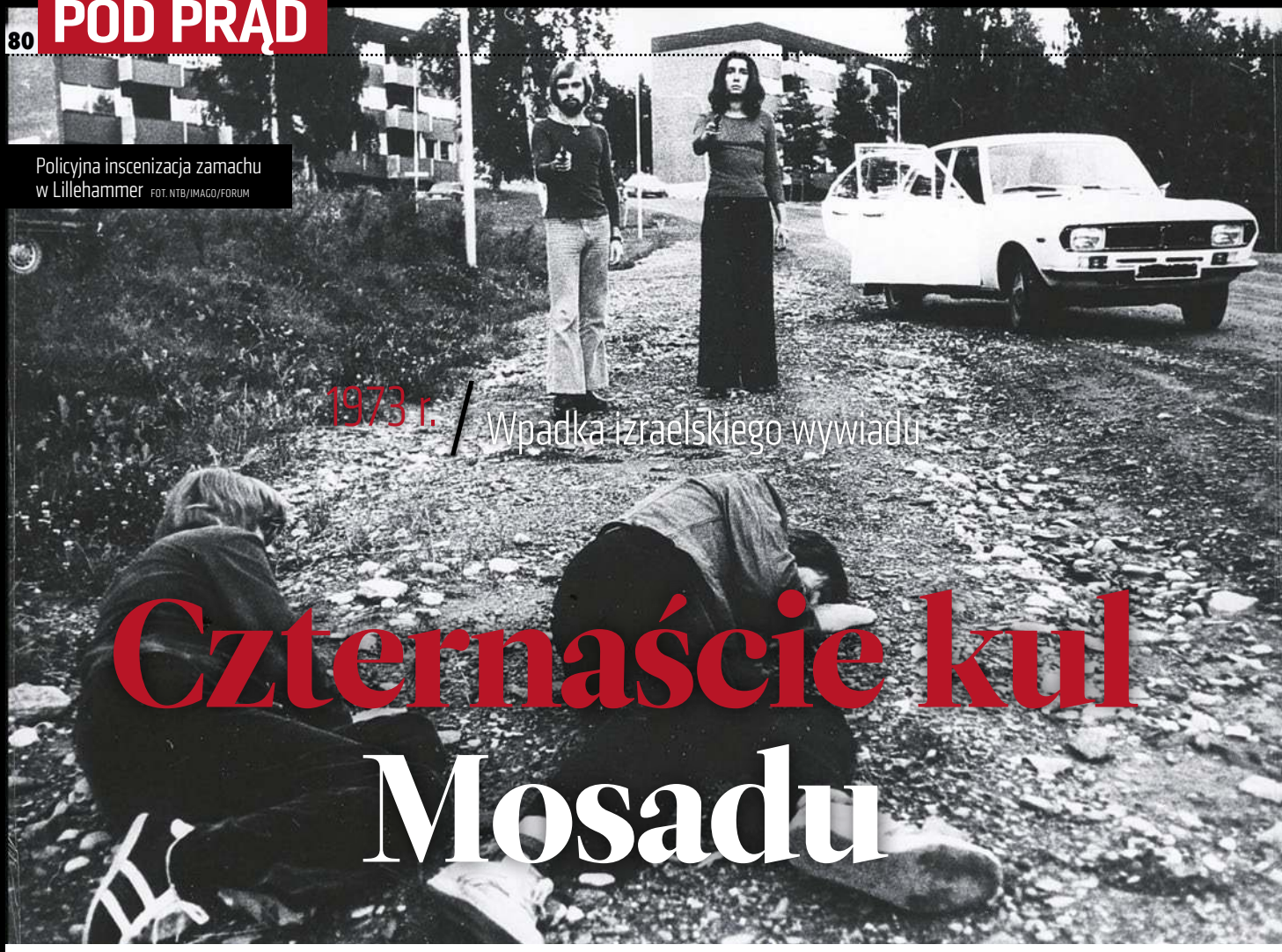
Problemem byłoby również załatwianie potrzeb fizjologicznych. Z reguły wychodziło się na zewnątrz, do – nomen omen – wychodka. Oczywiście jeśli był, bo inaczej trzeba było udać się po prostu za stodołę, szczególnie jeśli mieszkało się na wsi. Co jednak robić dalej w czasach, w których nie istniał papier toaletowy? Korzystano więc ze szmat, wody czy gazet – niektóre z nich sprzedawano z otworem w rogu, aby łatwiej wieszać na haku wbitym w ścianę ubikacji. Papier toaletowy wprowadzono na rynek w 1857 r., ale minęło trochę czasu, zanim stał się on popularny.

Czas pomiędzy wprowadzeniem danego produktu na rynek a jego popularyzacją jest bardzo istotny. Czasami pomysł przyjmował się szybko, a czasem trwało to całe dziesięciolecia. Bogaty angielski arystokrata mógł się cieszyć komfortem podobnym do XXI-wiecznego już w latach 80. czy 90. XIX w. Ubogi mieszkaniec peryferii poznawał te wygody w połowie wieku XX.

Dlaczego jednak symbolem nowoczesności jest rower? Otóż ten wynalazek nie byłby możliwy bez wszelkich małych udoskonaleń technicznych powstałych przez poprzednie sto kilkadziesiąt lat. Bez niego nie byłyby możliwe zmiany, które nastąpiły na przełomie wieków XIX i XX, a które ukształtowały współczesny świat w stopniu większym nawet niż elektryczność. Rower pozwolił mieszkańcom miast – nawet ubogim – na podróże za miasto. Pozwolił poznawać ojczyznę, łączył ludzi – lepiej niż tramwaj – umożliwił rozprzestrzenianie się idei i uczuć. To rower jest odpowiedzialny za ukształtowanie się nowoczesnych narodów, za patriotyzm, a także za nacjonalizm. Ma również jeszcze jedną zaletę: stał się modny w ciągu jednego sezonu: w 1885 r. na rowerach jeździł prawie cały świat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 95c197360b



Policyjna inscenizacja zamachu w Lillehammer FOT. NTB/IMAGO/FORUM

1973 r. / Wpadka izraelskiego wywiadu

Czternaście kul Mosadu



Piotr Zychowicz

W 1973 r. w Lillehammer agenci Mosadu przeprowadzili zamach na groźnego terrorystę. Niestety... pomylili ludzi

Autobus zatrzymał się na przystanku. Otworzyły się drzwi i wyszedł z niego młody mężczyzna. Odwrócił się i podał rękę kobiecie. Pomógł jej opuścić pojazd, bo sama już z trudem się poruszała. Była w zaawansowanej ciąży. Młody człowiek wziął ją pod rękę i ruszyli w stronę mieszkania. Wracali z kina i byli w znakomitych humorach. Żartowali, co pewien czas przystawali, żeby się pocałować.

Zajęci sobą nie zauważyli, że za nimi powoli sunie biały osobowy peugeot z czterema mężczyznami w środku. Nagle kierowca przyspieszył, po czym gwałtownie zahamował przed idącą chodnikiem parą. Chłopak i dziewczyna zatrzymali się zaskoczeni. Z samochodu wyskoczyło dwóch ludzi. Światło latarni błysnęło na lufach pistoletów Beretta.

Ciszę nocy przerwał huk wystrzału, potem drugi, trzeci i czwarty... Z odległości kilkudziesięciu centymetrów zabójcy wpakowali w chłopaka 14 pocisków kalibru 5,6 mm. Został podziurawiony jak sito. Zanim upadł na chodnik, już nie żył. Dziewczyna zaczęła przeraźliwie krzyczeć, a zabójcy wskoczyli do samochodu. Kierowca wcisnął pedał gazu i biały samochód ruszył z piskiem opon.

W środku siedzieli agenci Mosadu, którzy właśnie wykonali wyrok na Alim Hasanie Salamie zwanym Czerwonym Księciem, przywódcy słynnego Czarnego Września, organizatorzy wielu krwawych zamachów terrorystycznych. Tak się przynajmniej wydawało Izraelczykom. Nazajutrz, ku swemu zaskoczeniu, dowiedzieli się bowiem, że zabili niewinnego człowieka.

Ich ofiarą padł Ahmed Boucziki, kelner marokańskiego pochodzenia. A ponieważ do zabójstwa doszło na obcym gruncie – w górskim kurorcie Lillehammer w Norwegii – oznaczało to dla izraelskich egzekutorów poważne kłopoty. Tej fatalnej pomyłki dopuścili się 21 lipca 1973 r., a już tego samego dnia norweska policja wpadła na ich trop.

Jedna z sąsiadek Bouczikiego i jego norweskiej żony widziała zabójstwo z okna swojego mieszkania. I zapisała numer rejestracyjny pojazdu zabójców. Nazajutrz dwaj funkcjonariusze operacyjni Mosadu przyjechali do lotniskowej wypożyczalni samochodów, aby zwrócić białego peugeota. Był to zdumiewający

eprasa.pl 95c197360b

błąd. Oczywiście natychmiast zostali aresztowani.

Klaustrofob z Mosadu

Przesłuchani przez policję zdradzili adres tajnego mieszkania Mosadu w Lillehammer. Tam policja aresztowała kolejnych dwóch Izraelczyków. Oni również załamali się w śledztwie i wydali kolejnych kolegów. Jeden z nich cierpiał na klaustrofobię i zgodził się zeznawać za… przeniesienie go do większej celi.

W efekcie norweskie służby aresztowały agentów Mosadu jednego po drugim. Przy tej okazji przejęły również ściśle tajne dokumenty izraelskich służb oraz klucze do kryjówki Mosadu w Paryżu. Francuska policja nie traciła czasu – wkroczyła do mieszkania i rozbiła w drobny mak izraelską siatkę szpiegowską działającą nad Sekwaną. W ręce Francuzów wpadły nazwiska, adresy i numery telefonów izraelskich agentów!

Norwescy detektywi nie mogli uwierzyć, że Mosad – który uchodził za jedną z najsprawniejszych służb świata – przeprowadził całą operację tak po dyletancku. A jego agenci wpadli jak dzieci. Zabójcy marokańskiego kelnera poszli pod sąd, który posłał ich do więzienia, a Izrael musiał wypłacić rodzinie zamordowanego chłopaka 400 tys. dol. odszkodowania. Reputacja państwa żydowskiego, a szczególnie jego tajnych służb, legła w gruzach.

Zabójstwo w Lillehammer było elementem operacji „Gniew Boży", czyli akcji odwetowej podjętej przez izraelskie tajne służby po słynnej masakrze w Monachium w 1972 r. Komando palestyńskich terrorystów z organizacji Czarny Wrzesień zaatakowało wówczas wioskę olimpijską i na oczach zszokowanego świata zamordowało 11 izraelskich sportowców i trenerów.

Izraelska premier Golda Meir uznała wówczas, że tak straszliwej zbrodni nie można puścić płazem. Że świat musi zobaczyć, iż nie można już bezkarnie zabijać Żydów. Na jej rozkaz w Mosadzie utworzona została ściśle tajna jednostka zabójców o kryptonimie Kidon, co po hebrajsku znaczy „oszczep".



Jeden z terrorystów palestyńskiej organizacji Czarny Wrzesień podczas zamachu na olimpiadzie w Monachium, 1972 r.
FOT. COURTESY EVERETT COLLECTION/EAST NEWS

W jej skład weszli najlepsi izraelscy komandosi. Zostali wszechstronnie wyszkoleni w metodach sabotażu, walki wręcz i nożem. Potrafili prowadzić każdy pojazd mechaniczny. Ale przede wszystkim nauczono ich, jak błyskawicznie pozbawić życia człowieka. A następnie pozbyć się ciała.

Członkowie „Kidonu" przez kolejne 20 lat jeździli po świecie i likwidowali bojowników Czarnego Września. Strzelali do nich, podawali im zatrute czekoladki, dusili i wysadzali w powietrze. Jednego z organizatorów monachijskiej masakry, Mohammada Dauda Audę, znanego jako Abu Daud, „nieznani sprawcy" w 1981 r. sześciokrotnie postrzelili w brzuch w warszawskim hotelu Victoria.

Tragiczna historia z Lillehammer jest kolejnym dowodem na to, że nawet najlepsi czasem się mylą. Nie inaczej jest z izraelskimi tajnymi służbami. Choć bez wątpienia należą one do światowej czołówki, to im również czasem powinie się noga.

W objęciach Miss Universe

Trudno choćby uznać za w pełni udany kolejny zamach na „Czerwonego Księcia". Mimo kompromitacji w Lillehammer „Kidon" nie zrezygnował bowiem z planu wyeliminowania Alego Hasana Salamy. Główny organizator masakry izraelskich sportowców w Monachium musiał zginąć.



Ali Hasan Salama FOT. WIKIPEDIA

Była to postać nietuzinkowa. Arabski terrorysta playboy, który uwielbiał markowe garnitury, szybkie samochody, luksusowe jachty i piękne kobiety. Wystarczy napisać, że jego żoną była… Miss Universe. Salama był stałym bywalcem najmodniejszych i najdroższych klubów Bliskiego Wschodu i Europy. Był też niezwykle czujny i ostrożny.

Szczęście odwróciło się od niego 22 stycznia 1979 r. w Bejrucie. Agentka Mosadu zdetonowała silny ładunek wybuchowy ukryty w samochodzie pułapce, gdy obok przejeżdżał konwój pojazdów „Czerwonego Księcia". Bejrutem wstrząsnęła potężna eksplozja – w promieniu kilometra wszystkie szyby wyleciały z okien.

Palestyński terrorysta zginął ze swoimi czterema ochroniarzami. Ulica jednak nie była pusta. W eksplozji straciło życie czworo przypadkowych osób, a kilkanaście zostało rannych. Mosad znowu musiał się gęsto tłumaczyć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 95c197360b

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

HANKA ORDONÓWNA BYŁA JEDNĄ Z NAJWIĘKSZYCH GWIAZD W POLSCE W OKRESIE MIĘDZYWOJENNYM. NAZYWANO JĄ KRÓLOWĄ POLSKIEGO KABARETU, A JEJ PIOSENKI BYŁY WIELKIMI PRZEBOJAMI, JAK NP. ,,MIŁOŚĆ CI WSZYSTKO WYBACZY'' Z FILMU ,,SZPIEG W MASCE''.

♪♩
MIŁOŚĆ CI WSZYSTKO WYBACZY
SMUTEK ZAMIENI CI W ŚMIECH
MIŁOŚĆ TAK PIĘKNIE TŁUMACZY
ZDRADĘ I KŁAMSTWO I GRZECH
CHOĆBYŚ JĄ PRZEKLĄŁ W ROZPACZY
ŻE JEST OKRUTNA I ZŁA
MIŁOŚĆ CI WSZYSTKO WYBACZY
BO MIŁOŚĆ MÓJ MIŁY TO JA
♪♪♩

JEŹDZIŁA W TRASY KONCERTOWE PO CAŁYM ŚWIECIE. KRÓTKO PRZED WYBUCHEM II WOJNY ŚWIATOWEJ POWRÓCIŁA Z TOURNEE PO STANACH ZJEDNOCZONYCH. 1 WRZEŚNIA 1939 ROKU NA DWORCU GDAŃSKIM ŚPIEWAŁA DLA ŻOŁNIERZY ZMIERZAJĄCYCH NA FRONT. TOWARZYSZYŁ JEJ MIECZYSŁAW FOGG.

...A KIEDY WRACA WIDZI W MIĘŚCIE MGŁA
I JAKBY KONIEC BARWNYM SNOM
A JEDNAK SERCE ZE WZRUSZENIA DRGA
I NAGLE WIEM TU JEST MÓJ DOM...
♪♪♩
WARSZAWA GDAŃSKA

TRZY MIESIĄCE PÓŹNIEJ NIEMCY ARESZTOWALI JĄ I OSADZILI NA PAWIAKU. ZARZUCANO JEJ WSPÓŁPRACĘ Z WYWIADEM ANGIELSKIM. DZIĘKI KONTAKTOM MĘŻA ORDONÓWNY – HRABIEGO MICHAŁA TYSZKIEWICZA, UDAŁO SIĘ DOPROWADZIĆ DO JEJ UWOLNIENIA. PIOSENKARKA WYJECHAŁA WRAZ Z MĘŻEM DO WILNA. JEDNAK PO ANEKSJI WILEŃSZCZYZNY PRZEZ ZSRR, TYSZKIEWICZ ZOSTAŁ ARESZTOWANY PRZEZ NKWD I TRAFIŁ DO WIĘZIENIA W MOSKWIE. NATOMIAST HANKA ORDONÓWNA ZOSTAŁA ZESŁANA DO UZBEKISTANU.

TO BYŁY NIEZWYKLE CIĘŻKIE DLA NIEJ MIESIĄCE. TAK OPISYWAŁA WARUNKI PANUJĄCE W OBOZIE: ,,CZY CHORY, CZY ZDROWY, MUSIAŁ IŚĆ CODZIEŃ DO ROBOTY. MIESZKALIŚMY PO OSIEMNAŚCIE OSÓB W JEDNEJ IZBIE BEZ SZYB I NIEOPALANEJ. SPALIŚMY NA GOŁEJ ZIEMI I ROBACTWO NAS STRASZNIE ŻARŁO''. WSZYSTKO TO SPOWODOWAŁO U NIEJ NAWRÓT GRUŹLICY.

KHY! KHY!

TRAFIŁA DO TOCKOJE NAD WOŁGĄ, GDZIE BYŁ OŚRODEK FORMOWANIA ARMII POLSKIEJ. TAM DAWAŁA WYSTĘPY, A TAKŻE WRAZ Z MĘŻEM POŚWIĘCIŁA SIĘ OPIECE NAD DZIEĆMI, CO OPISAŁA PÓŹNIEJ W KSIĄŻCE ,,TUŁACZE DZIECI'', WYDANEJ POD PSEUDONIMEM WERONIKA HORT.

SŁUCHAJCIE, JUTRO WYRUSZAMY W DŁUGĄ PODRÓŻ. UDAŁO NAM SIĘ ZNALEŹĆ MIEJSCE, GDZIE ZNAJDZIECIE SWÓJ NOWY DOM.

ZAMIESZKAŁA WRAZ Z MĘŻEM W PALESTYNIE. MIMO POSTĘPUJĄCEJ CHOROBY WCIĄŻ WYSTĘPOWAŁA NA SCENIE, A JEJ WIDOWNIĄ BYLI ŻOŁNIERZE 2. KORPUSU POLSKIEGO. PO ZAKOŃCZENIU WOJNY NIE WRÓCIŁA DO POLSKI. MIESZKAŁA W BEJRUCIE, GDZIE ZMARŁA 8 WRZEŚNIA 1950 ROKU.

ŚWIĘTY ANTONI, ŚWIĘTY ANTONI
SERCE ZGUBIŁAM POD MIEDZĄ
OJ CO TO BĘDZIE ŚWIĘTY ANTONI
GDY SIĘ, SĄSIEDZI DOWIEDZĄ...
♪♪♩

wyrzykowski & jasiński 2024

eprasa.pl 95c197360b

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA WIOLETTA SAWICKA: „WILCZE DZIECI”

Dziecko wobec wojny jest zawsze ofiarą, niezależnie po której stronie frontu się urodziło.

Historie i świadectwa „wilczych dzieci”, czyli wojennych sierot z obecnych terenów Warmii i Mazur oraz obwodu kaliningradzkiego, które jeszcze długo po 1945 roku ukrywały się w lasach.

Upadek Trzeciej Rzeszy rozpoczął się z chwilą wkroczenia Armii Czerwonej do Prus Wschodnich, pierwszego terytorium Rzeszy, do którego dotarli sowieccy żołnierze. Rosjanie wystawili Niemcom bardzo wysoki rachunek za zbrodnie popełnione przez nazistów na froncie wschodnim. Bojowy szlak czerwonoarmistów znaczyły stosy bestialsko pomordowanych bezbronnych ludzi, masowe gwałty, grabieże, pożary i powszechna dewastacja mienia. Nikt nie był bezpieczny od żądnych zemsty sowieckich zdobywców. Śmiertelne żniwo wśród ludności cywilnej zbierał też przeraźliwy głód. Gdy umierały matki, dzieci, często kilkuletnie, zostawały same.

Według różnych źródeł w lasach i ruinach tych terenów ukrywało się około dziesięciu tysięcy sierot. Niektóre źródła podają, że nawet dwadzieścia tysięcy. By zdobyć cokolwiek do jedzenia, przemierzały pieszo wiele kilometrów. Przekradały się też na Litwę, gdzie żebrząc o żywność, miesiącami, czasem latami, tułały się od wioski do wioski. Kilka dekad później nazwano je wilczymi dziećmi.

Ktoś mógłby rzec - co to za nazwa! Ale czyż nie jesteśmy trochę, jak wilki? Razem z wilkami spędzaliśmy czas w lasach - mówi jedno z byłych „wilcząt”. To jest prawdziwa opowieść o nich.



155 zł

oszczędność 42 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO S.A.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 95c197360b

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

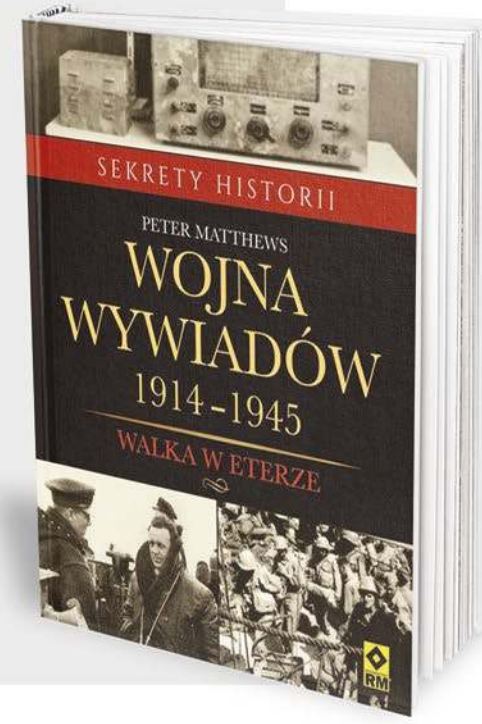
ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA PETER MATTHEWS: „WOJNA WYWIADÓW 1914-1945”

Wojna wywiadów 1914-1945. Walka w eterze

Podczas pierwszej wojny światowej szybko rozwijająca się łączność radiowa objęła swym zasięgiem całą kulę ziemską. Równocześnie pojawiła się nowa dziedzina wywiadu wojskowego, zajmująca się szyfrowaniem, odszyfrowywaniem oraz analizowaniem tysięcy radiowych telegramów i meldunków. Radiooperatorzy i kryptolodzy ze sławnego ośrodka wywiadowczego brytyjskiej Admiralicji, znanego jako Room 40, położyli podwaliny pod osiągnięcia kryptoanalityków z Bletchley Park z lat drugiej wojny światowej. Podczas tej wojny zmagania wywiadów sygnałowych, znanych też pod angielską nazwą Sigint (od signals intelligence), wiązały się z wykorzystaniem różnych maszyn szyfrujących, a agenci i kryptolodzy z Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec, Związku Radzieckiego, Stanów Zjednoczonych i Japonii starali się wzajemnie przechytrzyć, stosując coraz bardziej złożone kody. Swój udział w złamaniu kodu słynnej niemieckiej Enigmy mieli też Polacy.

Ta książka odkrywa tajemnice historii wywiadu sygnałowego podczas obu wojen światowych. Dopuszcza do głosu bezpośrednich uczestników zdarzeń: niemieckich kryptologów pracujących po wojnie dla aliantów, brytyjskich specjalistów od łamania szyfrów, a także amerykańskich i rosyjskich kryptoanalityków.



152 zł

oszczędność 33 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO S.A.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 95c197360b